

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 9/71

1953



• *«La Culture» • Revue mensuelle •*

St. ZARZEWSKI:

FETYSZE I FIKCJE EMIGRACJI

J. PRETWIC: **RADIO I RADIOCI**

St. KORBOŃSKI:

**„ŚWIT” – TAJEMNICA NACZELNEGO
WODZA**

SPIS RZECZY :

Stanisław Zarzewski :	<i>Fetysze i fikcje emigracji</i>	3
Józef Pretwic :	<i>Radio i radioci</i>	23
Czesław Miłosz :	<i>O wierszach Jastruna</i>	32
Witold Gombrowicz :	<i>Fragmenty dziennika</i>	45



Bogumił Andrzejewski :	<i>Siedem urywków ze Słownika Biograficznego</i>	58
------------------------	--	----

ARCHIWUM POLITYCZNE

Juliusz Mieroszewski :	<i>List z Wyspy</i>	63
Londyńczyk :	<i>Kronika angielska</i>	70

SPRAWY I TROSKI

Maria Danilewiczowa :	<i>Czytelnik polski w W. Brytanii</i>	73
-----------------------	---	----

NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI

Stefan Korboński :	<i>„Świt” — tajemnica Naczelnego Wodza</i>	84
E. Wreciona :	<i>„Burza” we Lwowie?</i>	107

Z OSTATNIEJ CHWILI

Dr A. Gamm :	<i>Wypożyczalnia członków</i>	109
--------------	-------------------------------------	-----

KRONIKA KULTURALNA

Szymon Szyszman :	<i>Rękopisy Morza Martwego</i>	114
J. U. :	<i>Biust i kółko</i>	122
Jan Torosiewicz :	<i>Wystawy Paryskie</i>	124

KSIAŻKI

(j.u.) :	<i>Niemcy a rewolucja przemysłowa</i>	127
Zygmunt Stermiński :	<i>Totalitarna demokracja</i>	130
Olga Żeromska :	<i>W obronie fikcji</i>	134
Jan Winczakiewicz :	<i>Pogrążeni w przeszłości</i>	139
Krzysztof Górski :	<i>„Pani Sapowska” i bohaterski pies</i>	145
(j) :	<i>Notatki Wydawnicze</i>	147
(j) :	<i>Przegląd miesięczników</i>	148
—	<i>Nadesłane nowości wydawnicze</i>	152



J. Olechowski, C. Jeśman, Z. Bohusz-Szyszko, M. K. Pawlikowski, W. Wein- traub, M. K. Wańkowicz :	<i>Listy do Redakcji</i>	154
--	--------------------------------	-----

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Wrzesień — Septembre 1953

INSTYTUT



LITERACKI

Noty biograficzne autorów

Szymon SZYSZMAN, ur. w 1909 r. Studia mat.-przyr. na Uniw. St. Batorego w Wilnie ukończył w r. 1933. Pracował w laboratoriach naukowych, poświęcając się jednocześnie badaniom historycznym. W ostatnich latach poświęca się całkowicie studiom Karaizmu.

Maria DANILEWICZOWA, ur. 1907, pisarka i bibliotekarka; prace w Bibl. Nar. w Warszawie i Polish Univ. College Library w Londynie. Ukazały się w druku: „Tymon Zaborowski, życie, twórczość”, „Libraries of Poland” i „Blisko i daleko” (opowiadania).

Jan WINCZAKIEWICZ, ur. w Kielcach 1921; dziennikarz; uzyskał dyplom literatury francuskiej w Grenoble w 1942 r.; udział w walkach P. S. Zbr. w II Wojnie Światowej; odznaczony Krzyżami Virtuti Militari i Walecznych. W latach 1945-46 wyd. w Paryżu kilka zbiorów poezji; przekłady z poezji hiszp. m.in. poezje Lorci, wydane w zbiorze w 1952 przez Oficynę Poetów i Malarzy w W. Bryt.

Przedłużający się strajk pocztowy we Francji całkowicie dezorganizował naszą pracę uniemożliwiając nam kontakt z czytelnikami i współpracownikami. W miarę otrzymywania zaległej korespondencji będziemy załatwiać wszystkie sprawy — prosimy więc wszystkich o cierpliwość i wyrozumienie.

Imprimé en France

Imprimerie RICHARD, 24, rue Stephenson, Paris (XVIII^e)

Fetysze i fikcje emigracji

Jedną z cech polskiego myślenia politycznego jest zamiłowanie do fikcji. Polacy potrafią wywindować fikcję polityczną na takie wyżyny, że z nich — właśnie rzeczywistość wygląda jak cień, jak coś, co można wywołać wiarą, przepędzić zaklęciem. Pseudo-mocarstwowość lat 1936-1939, hurra-legalizm okresu emigracyjnego, walka stronnictw emigracyjnych o nieistniejącą władzę w imię ratowania niezagrożonej przez nikogo (poza Bierutem) demokracji polskiej, wiązanie przesadnych nadziei z rzeczami, które choć cenne, jak np. zjednoczenie, nie należą jednak do czynników, rozstrzygających o realizacji głównego celu — oto przykłady atmosfery myślenia imaginacyjnego, w której porusza się polityka polska.

Prawda, że fikcja polityczna nie jest wynalazkiem polskim i nie tylko przez Polaków jest uprawiana, ale jest wielka różnica pomiędzy rolą, którą gra ona w polityce polskiej a znaczeniem, które ma w polityce innych narodów. Gdy np. rząd brytyjski traktuje państwa satelickie jako suwerenne albo uważa ich przedstawicieli za neutralnych kandydatów do międzynarodowej komisji w sprawie jeńców na Korei, jest to operowanie fikcją, którą rząd brytyjski uważa za dogodną dla siebie, ale w którą oczywiście sam nie wierzy. Rząd sowiecki operuje gigantyczną fikcją, którą wpaja setkom milionów ludzi, a której treść stanowi twierdzenie: „Wschód komunistyczny — to raj, Zachód kapitalistyczny — to piekło”. Robiąc wszystko, co leży w jego mocy, rząd sowiecki dąży przy tym do tego, aby fingowany charakter tego sloganu nie ujawniał się ani we własnym imperium ani zagranicą, przez co stwarza sytuację, w której np. obiektywna niedostateczność jego osiągnięć w zakresie dobrobytu ludności imperium sowieckiego nie staje się, w oczach „spreparowanych” psychicznie milionów, zbyt silnym argumentem przeciwko niemu. Operowanie fikcją, w którą się samemu nie wierzy, może czasem być użyteczne. Ale fikcja, we własnym mniemaniu jej autora identyfikowana z rzeczywistością, jest zawsze szkodliwa z punktu widzenia interesów polityki tegoż autora. Zło polskich

fikcji politycznych polega na tym, że Polacy sami w nie wierzą i sami siebie oszukują. Przedwrześniowe „silni, zwarci, gotowi” jest tragicznym przykładem złudy, w którą Polacy istotnie wierzyli. Dziś inne fałszywe mirażę rządzą polskim myśleniem politycznym i robią spustoszenie w głowach tych, którzy w nie wierzą. Jak widzimy, zachodzi istotna różnica pomiędzy fikcją w polityce, kultywowaną przez Polaków, a polityką fikcji, uprawianą nieraz przez inne narody.

Nie jest przypadkiem, że bohaterski, ale będący zaprzeczeniem realizmu politycznego, naród polski jest najlepszym w świecie sojusznikiem innych narodów a zarazem — jakże często — najgorszym obrońcą własnych interesów. Spróbujmy rzucić trochę światła na to smutne zjawisko — od strony doświadczeń emigracyjnych.

EMIGRACJA

Czym są, z punktu widzenia wartości narodowo-politycznej, owe setki tysięcy Polaków, rozsianych w kilkudziesięciu państwach świata? Jaki jest wpływ losów emigracyjnych na rzeczywisty duchowy związek tych ludzi z krajem?

Na terenie tego zagadnienia rządzi nami wszechwładny werbalizm, na który składają się frazesy patriotyczne, slogany ogólnikowe i oświadczenia typu sentymentalnego. Niemal wszyscy przyzwyczailiśmy się np. do charakteryzowania ogółu Polaków na uchodźstwie jako tych, którzy „pozostali tu, aby walczyć o wolność Polski”. Motyw emigracji tak ujęty jest niewątpliwie wynikiem pomieszczenia pojęć i braku umiejętności czy chęci patrzenia rzeczywistości wprost w oczy. Jeżeli chodzi o tęsknotę za krajem, o „stan serc” znakomitej większości emigrantów, to nie ulega kwestii, że sprawa przedstawia się pomyślnie. Dużo jest patriotyzmu w Polakach, zwłaszcza w tych, którzy na ten temat nie deklamują. Z tego bynajmniej nie wynika, że rozstrzygającym motywem pozostania i pozostawiania przeciętnego Polaka na emigracji jest motyw walki o wolność Polski i że ta walka stanowi istotną treść życia tegoż przeciętnego Polaka na emigracji.

Dziewięćdziesiąt dziewięć procent Polaków, Czechów, Łotyszów, Estończyków i ludzi innych narodowości spoza żelaznej kurtyny nie wraca do swych krajów ze strachu: boją się rządów bolszewickich. Nie jest to żaden przejaw walki ani nawet choćby jakiś filozoficzny wstręt do totalizmu, jest to po prostu, u tych 99 %, zwykły strach przed znanymi metodami bolszewickich rządów. Jest błędem identyfikowanie motywu strachu z motywem walki o wolność. Jest błędem pomijanie faktu, że pozostawanie niektórych Polaków zagranicą, ma charakter wprawdzie nie związany ze strachem, ale również nie mający nic wspólnego z motywami politycznymi. Błędy te są szkodliwe dlatego, że są wyrazem zakłamania, które poprzez idealizowanie rzeczy nie po-

zwala na należytą ocenę swych sił i musi prowadzić do błędów w działaniu politycznym. Piłsudski przed pierwszą wojną światową nie twierdził, że „cały naród walczy o niepodległość”, lecz szukał sposobów działania w oparciu o nielicznych Polaków; wychodził z założenia, że siłę polską trzeba budować na rzeczywistej aktywności niewielu, a nie na fingowanej ideologii wszystkich. Czy było to stanowisko słuszne? Niewątpliwie tak, gdyż po roku 1863 milionowe masy narodu polskiego pogodziły się z niewolą trójzaboru, a tylko nieliczni, przede wszystkim Piłsudski, nie mogli „żyć w wychodku” według znanego jego powiedzenia.

Stwierdzając te fakty, nie należy potępiać ani narodu polskiego wtedy, ani emigracji dziś. Emigracja, jak każda społeczność, jest w swej masie sumą jednostek przeciętnych, od których — w warunkach niewojennych oraz w okresach mniej lub więcej zarysowującego się braku wyraźnych nadziei — nie można oczekiwać ani heroizmu ani szczególnego idealizmu. Wspomnienie sprzed kilku lat: w chwili demobilizacji Polskich Sił Zbrojnych niewielu znalazło się Ulatowskich, prawie wszyscy zaakceptowali posado-dajny Korpus Przysposobienia, następnie w niejednym wypadku angielski freehold *) przyćmił sen o polskiej wolności, a z ofiary tych którzy zginęli pod Monte Cassino, wyrosła nie tylko sława oręża polskiego, ale także prawo żyjących do wolności i Assistance Board. Sądzę, że protesty à la Ulatowski, choć mające wielką wartość moralną, nie są politycznie wydajne. Myślę też, że nieuzasadnione jest mniemanie, jakoby masa emigracyjna cierpiała i walczyła dziś dla Polski.

Należy jednak uświadomić sobie, że dzisiejszy frazeologiczny werbalizm polski nie jest wyłącznie owocem polskiej skłonności do wielkich słów: w znacznej mierze wyrasta on z atmosfery współczesnej demokracji, opartej na wszechrozstrzygającym kryterium większości. W atmosferze tej, gdy jakaś słusznie czy niesłusznie pożądana cecha nie jest dostatecznie powszechna, to się niefrasobliwie i po prostu przypisuje ją „większości” albo „wszystkim”. I tak oto dochodzi do skutku uogólnienie, że „zostaliśmy na emigracji dla walki o Polskę”, a daleki od wspaniałości, choć zrozumiały, motyw osobisty zostaje pasowany na patriotyczną cnotę całej emigracji. Wszystko to przypomina trochę sposób bycia naszych sfer gospodarczych, które przed wojną ubierały swoje zrozumiałe dążenie do zysku w szaty zbawiania Ojczyzny.

Atmosfera waleńców fingowanych jest złem politycznym. Żeby skutecznie działać w polityce, trzeba przede wszystkim zrobić rachunek własnych sił. Żeby zrobić rachunek własnych sił, trzeba „odbrązowić” emigrację, odkłamać samych siebie, urealnić swój sposób myślenia.

Weryfikując wartość narodowo-polityczną ogółu emigracyjnego, należy też przestrzec przed iluzją, że wartość ta jest niezmieniana w czasie. Emigracja w roku 1953 jest czymś innym niż

*) Forma kupna nieruchomości.

była w pierwszych latach wojny; w dalszych latach, w razie przeciągania się niepomyślniej koniunktury międzynarodowej, będzie czymś innym niż jest dziś. Tęsknota za krajem, jak wszelka tęsknota, jest zjawiskiem, którego natężenie słabnie w miarę upływu czasu. Dzieci, które Polski nie znają lub nie pamiętają, czerpią polskość z „drugiej ręki”.

Zresztą nie tęsknota jest czynnikiem rozstrzygającym w zagadnieniu tak ważnym jak np. zagadnienie reemigracji. Sprawa ta jest o wiele bardziej skomplikowana niż sądzą ci, którzy wszystko rozstrzygają frazesem patriotycznym. Historia uczy, że emigracja bywa masowa, reemigracja nigdy masowa nie jest. Różnica pomiędzy emigracją zarobkową a emigracją polityczną zaczyna się z biegiem czasu, gdyż emigracja polityczna wrasta ekonomicznie w nowy grunt, od którego trudno jest się jej następnie oderwać: tym trudniej, im dłużej trwa okres emigracji, tym trudniej im wyższy jest poziom gospodarczy kraju imigracji w stosunku do kraju ojczystego. Temu prawu ekonomicznemu podlegają przede wszystkim dwie kategorie ludzi: duży procent ludzi młodych i tzw. ludzie prości, których losy w wyżej uprzemysłowionym kraju imigracji kształtują się na ogół w sposób stosunkowo pomyślny. Do tych dwóch kategorii dochodzi jeszcze trzecia: ludzie mniej lub więcej niezdolni do pracy, których sytuacja życiowa w kraju takim jak np. Anglia jest lepsza, niż byłaby w Polsce, zwłaszcza w braku oparcia rodzinnego. Ciśnienie momentów życiowo-ekonomicznych na szerokie koła emigracji jest więc bardzo silne. Działanie tych momentów stwarza zupełną zagadkę co do tego, jaki procent Polaków powróciłby do Kraju, gdyby emigracja miała potrwać np. jeszcze pięć lat.

Nie wiadomo zresztą nawet jak w tej chwili w rzeczywistości wygląda związek duchowy setek tysięcy emigrantów z polskością. Jaki procent Polaków czyta prasę polską? Książki polskie? Jaki procent dzieci uczy się po polsku? Jaki procent dzieci pamięta Polskę? Jaki procent stanowią dzieci, które urodziły się na obczyźnie? Jaki procent Polaków zawarł związki małżeńskie z nie-Polakami? Czy tendencja zawierania takich związków rośnie, a jeżeli tak, to w jakim stopniu? W jakiej atmosferze narodowej wychowują się dzieci w małżeństwach mieszanych? Jak przedstawia się proces asymilowania się młodzieży i dorosłych w różnych krajach imigracji? Ilu młodych Polaków zgłosiłoby się na ochotnika do wojska polskiego, gdyby ono zostało odbudowane np. w roku 1958? W związku z tymi wszystkimi pytaniami, które stanowią tylko część zainteresowań, wchodzących tu w rachubę, trudno jest zdefiniować walory narodowo-polityczne, reprezentowane przez emigrację. Ankieta „Kultury” daje pewien przedsmak orientacji w tej sprawie, nie jest jednak podstawą orientacji pełnej.

O ile chodzi o bardziej ściśle rozumianą „świadomość polityczną mas emigracyjnych”, to nie można przyjmować zbyt pochopnie, że stanowi ona wyraźny aktywny. Znakomita większość emigrantów, o ile sądzić można bez szeroko i konkretnie przeprowadzonej ankiety, wykazuje poglądy mgliste, np. jej sympa-

ty i antypatii do Rządu noszą piętno rzeczy słabo ugruntowanej. Nie wiadomo też, jaką politykę emigracja uważa za słuszną skoro mówi się tylko o tym, kto jest przeciwko komu, ale nie mówi się o tym, kto jest za czym. W szerokich kołach społecznych nie ma żadnej dyskusji, żadnej walki na temat meritum polityki polskiej, która to dyskusja merytoryczna cechuje współczesne społeczeństwa politycznie wyrobione i która tak wydatnie charakteryzowała społeczeństwo polskie podczas pierwszej wojny światowej. To ostatnie można zresztą łatwo zrozumieć: wtedy grała żywa treść polityczna, były dramatyczne napięcia, dziś natomiast, gdy legalizm jest zawołaniem głównym Rządu, a igraszki polityczne charakteryzują działalność stronnictw, głucha cisza w sprawach najważniejszych jest odpowiedzią społeczeństwa. Przemówienia galówkowe, a nawet płacenie składek na Skarb Narodowy nie zmieniają istoty tego obrazu.

Z drugiej strony masowość i przeciąganie się pozostawiania Polaków na emigracji same w sobie nie mają znaczenia zbyt wielkiego jako „protest” przeciwko stosunkom panującym w kraju. Taki protest, trwający lata, przestaje być protestem, jest dziś, bez względu na swą genezę, po prostu faktem, którego obcy już prawie nie zauważają.

Przyszły historyk prawdopodobnie oceni bardzo wysoko pracę naszego wojska czasu drugiej wojny światowej, ale zapewne nie dopatrzy się znamion politycznej wielkości w tej emigracji. W odgórnym jej warstwach za dużo jest bowiem samopodporacji i śmieszności tytułomani, za dużo mamy pseudopatrzącościowych mężów stanu, którzy „plwają na siebie i zrają jedni drugich” bez istotnego powodu z uszczerbkiem dla akcji niepodległościowej, za mało, przynajmniej dotąd, ujawnionej głębokiej myśli politycznej, za dużo patosu i dekoracyjności w aparacie symbolicznych władz, które nazbyt upodobniają zewnętrznie stronę swego „urzędowania” w Londynie do zwykłego we własnej stolicy wzoru, i w ten sposób podkopują powagę symboliki państwowej w oczach ludzi, myślących kategoriami rzeczywistości politycznej. A przy tym wszystkim szeroko rozlewa się morze animozji osobistych, cuchnie atmosfera rozpaskudzonych funduszy społecznych, istota „sprawy, dla której obrony zostaliśmy na emigracji”, ztraca się w ścieraniu się małych dążeń wielkiej armii polityków. W obliczu tych zjawisk bezsilne są jednostki, które dziesiątki lat życia i pracy dały Polsce naprawę. Milczą szerokie masy emigracyjne, patriotyczne, uczciwie i ciężko pracujące, wykazujące zdrowy rozsądek i poczucie rzeczywistości oraz podziwu godną zdolność trwania w trudnych warunkach, choć pozbawione szczególnych cnót, które im przypisuje kalkulacja polityczna jednych i szlachetna egzaltacja innych.

Taka jest prawda o emigracji. Ustalenie prawdy o rzeczywistości, sprowadzenie rzeczy do właściwych proporcji jest zawsze pożyteczne z politycznego punktu widzenia. Nie podzielają tego zdania ludzie, którzy myślą, że rzeczywistość można zagadać frazesem i że stwierdzanie prawd przykrych jest defetyzmem.

LEGALIZM

Jedni Polacy nazywają legalizm „najważniejszym naszym atutem politycznym”, inni nie idą tak daleko w ocenie jego znaczenia, jeszcze inni, choć teoretycznie stoją na gruncie legalizmu, w praktyce postępują tak, jak gdyby był on niczym, wreszcie są i tacy, którzy posuwają się do nieprzyzwoitych ataków na osobę Prezydenta Rzeczypospolitej. W związku z tym nasuwa się pytanie, jakie jest obiektywne miejsce legalizmu w hierarchii czynników, decydujących o odzyskaniu niepodległości. Spróbujmy sprecyzować rzecz z tego właśnie punktu widzenia.

Przede wszystkim sprawa zasadnicza: „Czy państwo istnieje w okresie, w którym jego istotne funkcje nie mogą być wykonywane?” Ogólna i rygorystyczna odpowiedź na to pytanie nie jest rzeczą prostą. Podczas 150 lat panowania nad Polską trzech zaborców było rzeczą jasną, że Państwo Polskie nie istniało. W czasie okupowania przez Niemców licznych krajów europejskich było rzeczą równie jasną, że odnośne państwa istniały. Ale czy istniało np. Państwo Abisyńskie w okresie, gdy Abisynię rządził Mussolini? Dziś Państwo Abisyńskie znów istnieje, ale czy jest to *to samo państwo*, sprzed najazdu Mussoliniego, restytuowane, czy też *nowe państwo*, tak jak nowym państwem była Polska 1918-1939 w stosunku do dawnej Rzeczypospolitej, choć dawną i nową Polskę łączyła tysiącletnia tradycja narodowa, religijna i kulturalna? Z tych przykładów widać, że odpowiedź na postawione pytanie nie tylko nie jest prosta, widać również, że nie może być czysto prawna. Do rozumowania trzeba bowiem włączyć dwa czynniki, oba istotne choć relatywne, ważniejsze niż jakiejkolwiek formułki prawne: czynnik czasu i stopień głębokości przewrotu, dokonywanego się w życiu narodu w związku z rozpoczęciem i ustaniem realnych funkcji państwowych.

Nie ma dziś realnych funkcji suwerennego Państwa Polskiego. Nie ma tego, co stanowi rzeczywistą istotę wszelkiej w ogóle władzy: owego powszechnego, podświadomego poczucia obywateli, że Rząd jest naczelnym ośrodkiem dyspozycji politycznej. Poczucie to istniało w latach wojny, gdy Rząd Polski w Londynie rozkazywał ćwierćmilionowej armii zagranicznej i Armii Krajowej i gdy wywierał decydujący wpływ na życie i postawę zarówno żołnierzy polskich jak i cywilnych obywateli, zarówno w kraju jak zagranicą. Państwo Polskie było wtedy pod ziemią, Państwo Podziemne było rzeczywistością, Rząd Polski był w Londynie, Rząd był rzeczywistością. A dziś? Jak dziś to wygląda w powszechnym odczuciu? Można z pewnością powiedzieć, że dziś poczucie, iż Rząd jest naczelnym ośrodkiem dyspozycji politycznej, nie jest powszechne wśród Polaków ani w kraju ani na emigracji. Obiektywnie mówiąc, pozycja Rządu Polskiego pogorszyła się po zakończeniu wojny.

Byłoby błędem sądzić, że istotą rzeczy jest tu cofnięcie uznania Rządowi Polskiemu przez mocarstwa. Rządy Franco i Mao-Tse-Tunga nie są uznawane przez pewne państwa a jednak nie ulega kwestii, że są rzeczywistymi a nie symbolicznymi rządami Hiszpanii i Chin. Fakt pogorszenia się pozycji Rządu Polskiego nie został również spowodowany przez czyjaśkolwiek „złą wolę”. Wynika on z doniosłych procesów życiowych, których nie da się zagadać argumentem legalizmu. Odbudować pozycję Rządu można tylko przez staranną analizę tych procesów i wyciągnięcie stąd właściwych wniosków.

(a) — Przede wszystkim należy zwrócić uwagę na to, że stosunek społeczeństwa do problemu „istotności” rządu jest zawsze zjawiskiem dynamicznym, zmienia się on ciągle, jak samo życie. Podczas wojny i okupacji kraju przez wroga nie jeden rząd działał zagranicą. W tym czasie żadnemu obywatelowi, poza notorycznym zdrajcą, nie przyjdzie do głowy, że rząd emigracyjny przestał być prawdziwym rządem i że władze okupacyjne są czynnikiem stałym. Jest tak dlatego, że świadome czy podświadome przekonanie mówi obywatelowi: „To przemienie wraz z wojną, która nie może trwać wiecznie”. I choćby wojna długo nawet trwała, rząd emigracyjny, który w swej pracy politycznej stale zdaje egzamin wobec swych obywateli, jest dalej rządem, gdyż za taki jest powszechnie przez nich uważany i ma na nich realny wpływ. Ale po wojnie, w czasach pokojowych albo pseudo-pokojowych jak dzisiejsze, upływ czasu jest nieuchronnie czynnikiem destrukcyjnym z omawianego punktu widzenia. W takich bowiem czasach, w odczuciu jednych ludzi w ogóle nie ma widoków na restytucję przedwojennego status quo, w odczuciu do innych, a tych jest znakomita większość, widoki te są bardzo niejasne, a wskutek tego niepewne. O ile wojna kończy się bez przywrócenia niepodległości kraju, to w warunkach powojennych dzień za dniem, rok za rokiem, coraz bardziej uwidocznia się brak realnego wpływu rządu emigracyjnego na teraźniejszość i przyszłość, i — o ile nie jest on szczególnie aktywny — coraz częściej pojawia się pytanie, przedtem nie spotykane: „Czy to *naprawdę* jest rząd? Czy to *jeszcze* jest rząd?” Po kilkunastu latach rząd emigracyjny jest w takim samym stopniu rządem, w jakim, rozdzielone na tyle lat wypadkami wojennymi małżeństwo, jest — małżeństwem. Po ćwierćwieczu emigracji mało komu przyszłoby na myśl, że rząd emigracyjny jest czymś więcej niż prywatnym gronem polityków. W okresie 150 lat niewoli Polski, pomijając sprawę sekund historycznych, w których zaznaczała się wierność „Pieczęcie Rządu Narodowego”, zginęło w szerokich masach narodu polskiego nie tylko pojęcie własnego rządu, ale i samo pojęcie państwa, które to pojęcia odrodziły się w powszechnej świadomości dopiero w roku 1918. Nieublagana, choć ledwo dostrzegalna, jest walka Czasu z Instytucją Prawną.

(b) — Ale także, i nawet, z punktu widzenia ducha prawa, moment legalizmu, choć wciąż jeszcze pozytywny, ma tym mniej-

sze znaczenie im bardziej się oddalamy od chwili pęknięcia państwowego organizmu Polski, im słabszym „roztworem woli narodu” są kolejne mianowania następcy Prezydenta. Prezydenci Mościcki, Raczkiewicz i Zaleski są konstytucyjnymi, jednakowo legalnymi, Prezydentami Rzeczypospolitej, ale oczywiście nierówny jest ich związek z żywymi siłami politycznymi narodu polskiego.

(c) — Znaczenie Rządu, jako czynnika w wielkiej grze politycznej, maleje. Najlepszym tego dowodem jest fakt, że natężenie atakowania Rządu przez Sowiety słabnie na ogół z biegiem czasu.

(d) — Społeczność emigracyjna bardzo mało wie o Rządzie i jego działalności. Niemalże jest Polaków, którzy nie znają nazwiska Prezydenta Rzeczypospolitej. Jeżeli wszyscy Polacy znają nazwisko gen. Andersa, to nie dlatego, że jest on Generalnym Inspektorem (nieistniejących) Polskich Sił Zbrojnych, ale dlatego, że jest istotnie popularny w związku z rolą, którą odegrał podczas wojny. Większość Polaków styka się z przejawami działalności Rządu przede wszystkim w postaci deklaracji, składanych z okazji uroczystości czy rocznic narodowych. Względnie mało — w stosunku do liczności ogółu emigracyjnego — ilość osób, płacących na Skarb Narodowy, jest wskaźnikiem popularności Rządu wśród Polaków na emigracji. Rząd niewątpliwie stałby się czynnikiem bardziej ważkim, gdyby więcej wiadano o jego pracy. Nie wszystko przecież jest w działalności Rządu tajne, mógłby on przeto dużo powiedzieć publicznie o swoich pracach istotnych.

W tym stanie rzeczy nasuwa się pytanie, czy teza, że „legalizm jest wielkim”, a zwłaszcza „największym naszym atutem politycznym”, ma zdrowy sens? I drugie pytanie: jakie jest rzeczywiste, obiektywne znaczenie legalizmu pośród czynników, decydujących o odzyskaniu niepodległości? Przede wszystkim zajmijmy się pierwszym pytaniem. Odpowiadamy na nie negatywnie z trzech następujących powodów:

(1) — Kategorie prawne, tytuły formalne odgrywają najczęściej rolę drugorzędą w walce o stworzenie lub restytucję państwa. Tylko mądra i aktywna polityka stwarza wielkie wartości polityczne. Legiony Piłsudskiego i działalność Dmowskiego w okresie pierwszej wojny światowej były ważniejsze dla sprawy polskiej niż tytuły prawne obecnego Rządu emigracyjnego. Oczywiście: twórcza polityka plus legalizm — to ideał. Ale nijaka polityka plus legalizm — to niewiele. Gdy zaś legalizm towarzyszy polityce wyraźnie złej, w sytuacji trudnej na miarę historyczną, to staje się rzeczą wprost szkodliwą, gdyż do setnej potęgi podnosi ciężar ujemnych następstw tej polityki, jak to było np. w wypadku legalnego Premiera Mikołajczyka.

(Warto tu dodać pewne obserwacje natury psychologicznej. Gdy jakieś pojęcie nie ma pełnego pokrycia życiowego, to właśnie jego zwolennicy, nieświadomie i wbrew zamierzeniom, tę

rozbieżność uwypuklają, a to przez ustawiczne dodawanie określeń, mających na celu podwindowanie rzeczy do poziomu pożądanego. Gdy się na codzień mówi „legalny” Rząd a nie po prostu „Rząd”, brzmi to zupełnie niepotrzebnie tak, jak „Demokratyczna” Republika Wschodnio-Niemiecka w nazwie państwa, wywołuje wrażenie, jakie by niewątpliwie powstało, gdyby ktoś na codzień mówił „moja ślubna żona” zamiast po prostu „żona”. Z drugiej strony mówienie o „przywiązaniu mas emigracyjnych do legalizmu” jest wyrazem myślenia biurokratycznego. Masy, o ile widzą w rządzie swego rzeczywistego i dobrego przewodnika, są do niego przywiązane, myślą o nim w kategoriach „nasz Rząd”, ale w sercu mas z pewnością nie żyje artykuł konstytucji o następstwie Prezydenta, jako walor sam w sobie).

(2) — Także z punktu widzenia stosunku do kraju hurralegalizm nie wydaje się rzeczą szczęśliwą. Podczas okupacji niemieckiej, gdy Rząd emigracyjny wywierał istotny wpływ na życie polityczne kraju, kraj widział w tym Rządzie naprawdę kierowniczy ośrodek polityczny narodu. Jak jest dziś, nie wiemy dokładnie, choć w uzasadniony sposób można przypuszczać, że brak jest w kraju powszechnie pozytywnego ustosunkowania się do Rządu emigracyjnego. Powstał w Polsce zupełnie nowy układ stosunków, całkowicie odmienny od okresów 1918-1939 i 1939-1945, narastają tam nowe siły społeczne i polityczne, rosną w sposób organiczny choć w znacznej mierze utajony, i one to właśnie, te nowe siły będą prawdopodobnie tym rządem, który rozpisze po-Bierutową konstytuante, jeżeli i gdy rozwój wypadków do tego doprowadzi. Wcale nie wiadomo, czy choćby ta, wstępna i jedyna, czynność państwowa przypadłaby w udziale Rządowi emigracyjnemu po jego ewentualnym powrocie do kraju. Czy więc legalizm może być „największym atutem” w oczach kraju? Takim atutem mogłoby być jedynie przekonanie kraju, że rząd, choćby w pewnym stopniu, jest faktycznym czynnikiem w grze międzynarodowej. Ale tego przekonania nie ma nawet emigracja. Emigracja czuje bowiem, słusznie czy niesłusznie, że w Rządzie „nic się nie dzieje”. „Posłowie Lechistanu” są dziś w kilku państwach, ale co więcej można o nich powiedzieć poza tym, że są?

(3) — Wreszcie rzecz najważniejsza. Oto naród polski jest w sytuacji tak ciężkiej, tak beznadziejnie skomplikowanej, że chyba trudno byłoby znaleźć podobną sytuację w tysiącletniej jego historii. Po 150 latach niewoli, po dwudziestu zaledwie latach wolności, po stracie 10 milionów obywateli, znów bezmała dziesięciolecie niewoli bez wyraźnych widoków na odzyskanie wolności, wśród wrogów agresywnych i zdecydowanych, pośród przyjaciół wątpliwych, przy skłóceniu wewnętrznym o rzeczy, będące niczym wobec narodowego „być albo nie być” — jakże straszliwe są trudności prowadzenia polityki niepodległościowej, zwłaszcza w braku osobistości na miarę np. Piłsudskiego. Czy w tych warunkach jakakolwiek rzecz formalno-prawna może być określana jako czynnik pierwszorzędnej wagi? Z pewnością nie,

gdyż byłoby to zupełne wypaczenie hierarchii wartości politycznych.

W narodzie polskim niezrównanie bohaterskim w walkach zbrojnych o wolność, po stokroć bohaterskim podczas ostatniej okupacji niemieckiej, takie fałszywe ustawianie zawołań politycznych nieraz się zdarzało. Wystarczy przypomnieć tu tak zwany atut moralny Polski, która „pierwsza przeciwstawiła się Hitlerowi, która nie miała Quislinga” — atut nierealny w świecie niemoralnym. Ten rzekomy atut wypalił się już całkowicie w nieubłaganym toku wypadków. Tak samo z czasem ustać będzie musiało młoczenie sieczki legalistycznej.

Z powyższego nie wynika, że legalizm jest rzeczą pozbawioną wszelkiej wartości politycznej. Rząd emigracyjny, który przetrwał i trwa, jest symbolem ciągłości idei państwowej, z którą wolność kraju nierozzerwalnie jest związana. Symbole mają znaczenie, sztandary są przechowywane w skarbcu walorów moralnych. Jeżeli chorążowie mają poczucie rzeczywistości życia, jeżeli wiadomo powszechnie nie tylko do czego zmierzają, ale także choćby w przybliżeniu jak do celu idą, to — przy dostatecznym i celowym ich aktywizmie i przy założeniu, że nie osłabia powagi symboliki państwowej przez dziecinne formy „zabawy w państwo” — można przypuszczać, że dookoła starych sztandarów uda się zebrać rozproszone siły narodowe łatwiej niż bez tych sztandarów. W tej możliwości tkwi pozytywne znaczenie legalizmu. Znaczenia tego nie należy przeceniać. Niech każdy sam sobie odpowie na pytania następujące: po pierwsze, czy i o ile Polacy mają większe np. od Czechów szanse odzyskania niepodległości dlatego, że mają na emigracji Rząd, po drugie — czy mielibyśmy dziś mniejsze szanse odzyskania niepodległości, gdyby w konstytucji naszej nie istniał artykuł o następstwie Prezydenta.

Musimy pamiętać, że rzeczą, o którą naprawdę i jedynie chodzi, jest wielka w swym realizmie i niezależności polska koncepcja polityczna, bez której — w najlepszej nawet koniunkturze międzynarodowej — Polska nie będzie niczym więcej niż małym państwkiem. Tylko wielka koncepcja polityczna — czy raczej alternatywne wielkie koncepcje polityczne — powiązania sprawy Polski ze sprawą nowego świata, który może jeszcze w naszym pokoleniu się narodzić — tylko głęboka myśl polityczna i umiejętność jej realizowania mogą, w obiektywnie sprzyjającym układzie sił międzynarodowych, przywrócić Polakom państwo, będące podstawą zapewnienia narodowi zdolności życia i rozwoju.

W wielkich wypadkach, które dziś przez świat się toczą, w zmaganiu się sił olbrzymich w skali dotąd niespotykanej, formułki i dekoracje prawne znaczą bardzo mało: nie są żywą treścią. Uznanie Polaków dla Rządu bardziej zależy od oceny jego twórczości politycznej niż od analizy jego rodowodu konstytucyjnego. Podobnie przywrócenie przez mocarstwa uznania Rządowi, w sprzyjającej sytuacji międzynarodowej, zależać będzie raczej od jego dorobku politycznego niż od faktu, że jest Rzą-

dem legalnym. Jedynym sposobem podniesienia znaczenia Rządu jest pogłębienie i spopularyzowanie jego działalności politycznej.

Najbardziej utalentowany szermierz legalizmu, Stanisław Mackiewicz, napisał te oto słuszne słowa: „Jedynie wtedy rząd emigracyjny może coś zrobić, coś dla Polski uzyskać, jeśli ci, z którymi pertraktuje, będą wiedzieć, że za nim stoi opinia kraju, no i możliwość manewru w dziedzinie potencjału wojennego Polski”. Nasuwa się pytanie: czy legalizm może w sposób istotny ułatwić realizację tego „jeśli”? Jak na to pytanie odpowiedziałby p. Mackiewicz? Jest to rzecz interesująca dlatego, że właśnie realizm w myśleniu politycznym tego pisarza, ujawniony dobitnie i chlubnie w jego samotnym, przedwrześniowym wołaniu o lepsze przygotowanie Polski do wojny, pozwala oczekiwać, że jego ocena roli legalizmu będzie właściwa.

UWAGA. — Wywody zawarte w tym rozdziale, nie powinny być rozumiane w ten sposób, że są skierowane przeciwko konstytucji 1935 w ogólności, bądź też przeciwko artykułowi konstytucji o następstwie Prezydenta Rzeczypospolitej w szczególności.

O ile chodzi o konstytucję jako całość, to rozwiązuje ona w sposób bardzo dobry zagadnienie ustroju państwowego Polski, stwarzając koncepcję Prezydenta, jako czynnika nadrzędnego, decydującego o tym, kto rządzi, i koordynującego działalność władz państwowych, koncepcję, która zachowując prawa należne parlamentowi, uniemożliwia jednocześnie nieodpowiedzialne gierki polityczne, prowadzące do chaosu i zgonu dla państwa. W moim przekonaniu nie jedno państwo demokratyczne, zżerane przez nierząd polityczny, mogłoby z pożytkiem dla siebie uczynić się polskiego wzoru prawa konstytucyjnego, wprowadzając oczywiście istotne poprawki do polskiej ordynacji wyborczej, wprowadzając oczywiście istotne poprawki do polskiego państwowym myśli konstytucji 1935 r. Nazywanie tej konstytucji faszystowską jest idiotyzmem, gdy wychodzi z ust Polaka, mądrością propagandystyczną, gdy to głoszą Sowiety.

Artykuł konstytucji o następstwie Prezydenta jest rzeczą doskonale pomyślaną i oryginalnie polską. Ma on znaczenie konstruktywne w okresie wojny. Jednak dziś wojny nie ma. Jest okres nie będący ani wojną ani pokojem. Polityka polska w tym okresie, który może trwać jeszcze 20 miesięcy albo 20 lat, nie powinna przeceniać roli tego przepisu konstytucji, który oczywiście nie na taki okres był przez ustawodawcę pomyślany, a gdyby nawet był, to i tak z czasem jego soki żywotne musiałyby wyschnąć.

PARTIE

Jaka jest rzeczywista rola partii politycznych na emigracji? Także na terenie tego zagadnienia należy „wyprostować” pewne sądy, które często się słyszy. I tutaj widzimy sądy, nie mające nic wspólnego z obiektywizmem. I tutaj przecenianie znaczenia rzeczy jest błędem typowym. I tutaj do rozumowania wkrada się często schematyzm zasłaniający istotę sprawy.

Nasuwa się przede wszystkim pytanie: co jest najważniejszym znamięm stronnictwa politycznego w zachodnio-europej-

skim tego słowa znaczeniu? Znamieniem tym jest organiczny związek stronnictwa z rzeczywistością polityczno-społeczno-ekonomiczną kraju. Bez tego nie ma właściwie partii politycznej w prawdziwym tego słowa znaczeniu. Abstrahować partię od życia kraju, a mimo to uważać ją za odbicie poglądów narodu, jest to to samo, co stwierdzić, że można dać fotografię człowieka, zastępując zdjęcie — sylwetką, naszkicowaną tak, jak ją artysta widzi. Dlatego partia, poprzez długie lata oderwana od kraju, w którym życie toczy się w zupełnie odmiennych warunkach i poddana jest zupełnie innemu wpływowi niż emigracja, — zatracca swoje cechy reprezentatywne. Długoletnia emigracja rozrywa związek między elementami zarówno państwa jak i stronnictwa, podważa realny sens każdego z nich.

Prawda, zdarzało się nieraz w historii, że niektórzy przywódcy stronnictw, zmuszeni okolicznościami, przebywali poza krajem, a jednak właśnie oni byli istotnymi kierownikami tych stronnictw. Działacze ci pozostawali jednak stale w żywym kontakcie z siłami krajowymi, mieli na nie wpływ realny, co więcej — byli ich sztabem głównym. Czy istnieje jednak obecnie jakakolwiek polska komórka partyjno-polityczna w Anglii czy w Argentynie, we Francji czy w Stanach Zjednoczonych, która może uchodzić za kierownictwo ruchów społeczno-politycznych w Polsce? Partia emigracyjna, choćby nawet wykazywała głębokie zainteresowanie sprawami kraju, nie jest składowym jego życia czynnikiem, jeżeli okoliczności poprzez lata uniemożliwiają nie tylko kierownictwo polityczne z zewnątrz, ale nawet zwykły, stały kontakt z krajem. Upływ czasu jest czynnikiem coraz bardziej podważającym reprezentatywność partii emigracyjnych, która topnieje z roku na rok i z dnia na dzień. Ani historyczne zasługi partii w przeszłości, ani czcigodność nazwisk wybitnych ich przedstawicieli nie stanowią kontreczynnika w tym procesie. Toteż żadne ze stronnictw emigracyjnych nie gra dziś roli takiej, która pozwalałaby uważać je za miarodajną reprezentację polskiej myśli politycznej. Nie tutaj bowiem, na emigracji, ale tam, w Polsce, są żywe siły, stanowiące substrat polskich partii politycznych, siły, które się ujawniają gdy wolność kraju zostanie odbudowana. Jest wysoce prawdopodobne, że powracające wówczas z emigracji grupy polityczne okażą się psychicznie obce krajowi. Kto wie, czy nie pocują się imigrantami we własnym kraju, w którym — obok rewolucji z zewnątrz narzuconej — zaszła też organiczna polska rewolucja poglądów. Czy wielu z nas zastanawia się nad treścią tej ostatniej? I czy wszyscy zagranicą... wiemy o jej istnieniu?

Drugim czynnikiem, pozbawiającym partie polityczne na emigracji charakteru reprezentatywnego jest to, że są one liczebnie tak słabe, że stanowią mało znaczący ułamek przedwojennych stronnictw, za których kontynuatorów się uważają. Ten moment bynajmniej nie jest rzeczą błahą. Ruch polityczny na to, żeby był ważki, musi być ruchem masowym, a co najmniej mieć w sobie zaчатки ruchu masowego. Nie można wyobrazić sobie partii politycznej w poważnym tego słowa znaczeniu, która by

w minimalnym choćby stopniu nie czyniła zadość temu wymogowi — chyba, że jest partią o charakterze wyraźnie pionierskim i wybitnie dynamicznym. Kto rzeczywiście zna różne środowiska polskie na emigracji, ten wie, że ilość ludzi, poczuwających się do łączności ze stronnictwami, jest zupełnie znikomą. Stronnictwa „kanapowe” przeżywają jednak iluzję ważności swych uchwał, tak jak rządy emigracyjne przeżywają iluzję ważności swych ustaw. W tej sytuacji wyrazy „rząd” i „opozycja” nabierają cech symboliki najbardziej zrozumiałej dla tych, którzy poruszają się w stratosferze. Zamiłowanie do fikcji, ubranej w piękne słowa, ujawnia się nawet na terenie tak realnym, jak pieniądze: walutą Skarbu Narodowego jest „Złoty Polski Niepodległej” czyli coś, co nie istnieje. Trudno wyobrazić sobie, żeby Wielki Realista Piłsudski wydawał na emigracji „Dziennik Ustaw Rzeczypospolitej Polskiej”, żeby tworzył sądownictwo albo żeby Witos, uosobienie zdrowego rozsądku, uprawiał opozycję przeciwko Rządowi emigracyjnemu, niezadowolony z jego poglądów w sprawie agrarnej.

Ale najważniejszym czynnikiem, który przekreśla wartość partii emigracyjnych, jest to, że nieświadomie i wbrew zamierzeniu utrudniają walkę o odzyskanie niepodległości. Partie tak silnie akcentują swoje różnice w poglądach na sprawy polityki wewnętrznej, że uniemożliwiają sobie współpracę z drugą stroną „barykady emigracyjnej”, wytwarzają atmosferę, w której nie można iść w jednym szeregu z rzekomym „przeciwnikiem”. Czy takie postępowanie jest zgodne ze zdrowym rozsądkiem? Czy wolno tak stawiać sprawę właśnie w dzisiejszej sytuacji, gdy żadna partia emigracyjna nie ma żadnego wpływu na wewnętrzną architekturę przyszłego domu polskiego? Czy wolno uważać odnośne „różnice” za powód do niewykonywania wspólnymi siłami pracy przy budowie tego domu? Musi przecież być jakaś racjonalna kolejność w traktowaniu zagadnień politycznych, musi być logiczna hierarchia celów. Postępowaniem emigracji nie może rządzić motyw wewnętrzno-polityczny skoro odbudowa państwa jest zagadnieniem wyłącznie polityki zagranicznej, skoro chodzi o oddziaływanie na państwa obce, skoro cała sprawa polska musi żyć w wymiarze międzynarodowym i skoro, w stosunku do przywrócenia jej utraconego charakteru międzynarodowego, drugą alternatywą jest trwałe wykreślenie Polski z mapy politycznej świata.

Istnienie kilku czy kilkunastu polityk polskich zamiast jednej polityki polskiej, mającej jeden tylko cel: niepodległość, to powiększanie trudności przez samych Polaków.

Na to powiedzą przedstawiciele różnych partii: „Ależ to są wywody, niedoceniające znaczenia stronnictw politycznych we współczesnym ustroju demokratycznym. Właśnie partie wyrażają poglądy i wolę społeczeństwa. Od nieuznawania partii do faszyzmu krok tylko jeden”.

Powyższe twierdzenia są słuszne we własnym kraju. Nie są słuszne w nienormalnych warunkach emigracyjnego bytowania

politycznego. Funkcja partii na emigracji nie może być ta sama co była w kraju. Stronnictwa emigracyjne nie wyrażają poglądów ani kraju ani nawet rzeszy emigracyjnej, rozproszonej w kilkudziesięciu państwach świata. Opinie ich są właściwie odgadywaniem tego, co by powiedzieli ich domniemani zwolennicy, gdyby w ogóle coś mówili. Czy którekolwiek ze stronnictw emigracyjnych przeprowadziło ankietę — plebiscyt w sprawie „co myślą o jego działalności Polacy w krajach rozproszenia?”

Mądrość i doświadczenie pewnych przywódców stronnictw emigracyjnych z pewnością mogą odegrać wielką rolę w pracy niepodległościowej. Wśród przywódców tych szczególnie cenne może być zdanie niektórych spośród tych, którzy podczas zawieruchy dziejowej byli w kraju i krócej od innych przebywają na emigracji, mają więc stosunkowo najlepsze wyczucie ideologicznego klimatu kraju. Różni ludzie oczywiście mogą mieć i pielęgnować różne wizje społeczno-polityczne przyszłej Polski, ale polityka odbudowy niepodległego państwa w danych warunkach międzynarodowych może być tylko jedna: celowa albo niecelowa, zwycięska albo klęskowa. Ta ostatnia niesie ze sobą nieuchronnie i to, że *wszystkie* „wizje” pójdą na śmietnik historii, że *wszystkie* „partie” prędzej czy później wykończą się bez reszty. Czy więc nawet z czysto partyjnych punktów widzenia nie wynika, że *wszystkie* ideologie społeczno-polityczne należy zawiesić na kołku aż do chwili, gdy znów będzie wolne państwo polskie?

Kontrowersyjne problemy powinny przestać być kością niezgody, cały wysiłek należy skoncentrować na jednym problemie, na jednym wspólnym celu. Ideałem byłoby utworzenie jednej, wszystkich Polaków obejmującej, organizacji politycznej, której jedynym celem jest niepodległość — prawdziwa. W ramach tej organizacji byłyby różnice zdań co do sposobów osiągnięcia wspólnego celu, byłaby „walka o najlepszy sposób”. Powinien też być w tej organizacji pewnego rodzaju wewnętrzny podział pracy, umożliwiający jej członkom jak najskuteczniejsze oddziaływanie na poszczególne koła w społeczeństwach obcych. Wielość partii ma swój pełny sens polityczny w niepodległym państwie. Jest szkodliwa dziś, gdy utrudnia pracę nad odbudową niepodległości.

W roku 1945 Sowiety włączyły Polskę do swego imperium. W roku 1953 partie polskie na emigracji nie zlikwidowały jeszcze przeszkód na drodze do jedności akcji. Ten szkodliwy nonsens polskiego konfliktu wewnątrzno-politycznego przypomina inne zjawisko: skłócenie wolnego świata w obliczu tego samego niebezpieczeństwa. Polacy słusznie krytykują niezdolność innych narodów do stworzenia wspólnej polityki w skali światowej. Sami nie potrafią uzgodnić poglądów w skali Earls Courtu *).

*) Dzielnica Londynu, w której mieszka duża ilość Polaków.

ZJEDNOCZENIE

Pozostaje do omówienia konkretna sprawa, będąca dziś na porządku dziennym życia politycznego emigracji — sprawa zjednoczenia. Ze zjednoczenie nie dokona się przez likwidację stronnictw i utworzenie jednej organizacji politycznej wolnych Polaków z jednym jedynym celem — niepodległość — jest rzeczą jasną. Tego rodzaju zjednoczenie jest dlatego nierealne, że jest idealne. Czynniki niekoniecznie zainteresowane w dojściu zjednoczenia do skutku grają w tej sprawie rolę istotną, co jest „gwarancją”, że będzie ona trwała długo, choć zostałaby załatwiona w jeden dzień, gdyby o niej decydował plebiscyt szerokiej rzeszy emigracyjnych. Droga do zjednoczenia będzie więc dalej prowadziła poprzez mozolne szukanie kompromisu pomiędzy stanowiskami Rady Narodowej i Rady Politycznej. Nie wiadomo, czy kompromis zostanie osiągnięty, a jeżeli zostanie, czy będzie to kompromis żywotny, zapowiadający rzeczywiste współdziałanie czy też tylko twór mechaniczny, zlepiony z „kawałków partyjnych”.

W obliczu tych niejasnych perspektyw należy zastanowić się nad obiektywnym znaczeniem zjednoczenia i nad miejscem, które ono zajmuje wśród czynników, decydujących o odzyskaniu niepodległości.

W poprzedniej części tego artykułu powiedzieliśmy, że partie emigracyjne, nastawione na kontrowersje wewnątrzno-polityczne, utrudniają walkę o niepodległość. Zjednoczenie obozu niepodległościowego usunęłoby to zło, jak również usunęłoby stratę energii w związku ze sporami o rzeczy dziś nieistotne. Ale ponadto zjednoczenie — w razie nadejścia pomyślnej koniunktury międzynarodowej — zwiększyłoby szanse, aby o Polskę „grać wysoko”. Obie te rzeczy są ważne z politycznego punktu widzenia.

Byłoby jednak błędem sądzić, że zjednoczenie jest jakimś środkiem cudotwórczym, że znaczenie zjednoczenia jest aż tak wielkie, że bez niego walka o niepodległość, przy innych równych i wystarczających warunkach, nie może być zwycięska. W okresie pierwszej wojny światowej były zwalczające się „orientacje” polskie, a mimo to Polska odzyskała niepodległość. Podczas drugiej wojny światowej Żydzi, choć dalecy od zjednoczenia politycznego, wywalczyli niepodległe państwo. Te fakty historyczne mają wielką wymowę. Świadczą one o tym, że brak zjednoczenia narodu nie jest przeszkodą w odbudowie państwa. Ale nawet abstrahując od tych przykładów, jest rzeczą oczywistą, że zjednoczenie z natury swej nie jest warunkiem sine qua non restytucji państwa, jakimi są np. dwa inne czynniki, o których będzie zaraz mowa. Zjednoczenie ułatwia akcję polityczną. Jego brak nie musi oznaczać klęskę narodowej. Psychologicznym

źródłem przeceniania politycznej roli zjednoczenia jest myślenie kategoriami... quasi-wojskowymi : jedna armia, jeden wódz.

W roku 1918 odzyskaliśmy niepodległość przede wszystkim dlatego, że padli trzej zaborcy i koniunktura międzynarodowa była dla powstania państwa pomyślna. Nie jest przypadkiem, że dzień 11 listopada 1918 roku był dniem ostatecznej klęski zaborców a zarazem dniem powstania Państwa Polskiego. Gdyby carat wygrał, Warszawa byłaby dalej siedzibą rosyjskiego generał-gubernatora, gdyby państwa centralne wygrały, Poznań i Kraków nie należałyby do Polski, idealizm Wilsona miałby dla Polaków teoretyczne tylko znaczenie. Dlatego należy stwierdzić, że w hierarchii czynników decydujących o odbudowie państwa, pomyślny układ wielkich sił międzynarodowych jest czynnikiem pierwszorzędnej wagi.

Nie jest jednak czynnikiem jedynym. Samo istnienie pomyślnej sytuacji międzynarodowej nie oznacza jeszcze, że będzie z niej rzetelny pożytek, co widzimy bardzo często. W roku 1945 Alianci zakończyli zwycięsko walki zbrojne, ale przegrali wojnę w sensie politycznym. Niemcy, które zostały pobite na polu bitwy, zaczynają obecnie wygrywać, podbijane w górę z dwóch stron. Nie byłoby tych dziwnych zjawisk, gdyby Alianci mieli mądrą politykę, pozwalającą na sfrukturyzowanie obiektywnie pomyślnej sytuacji, powstałej po zwycięstwie militarnym.

I właśnie o to chodzi : trzeba mieć mądrą politykę, żeby wykorzystać pomyślną koniunkturę. Jakkolwiek bowiem ta ostatnia jest warunkiem koniecznym wszelkiego osiągnięcia politycznego, to jednak nie ma żadnego automatyzmu, który by działał na rzecz ewentualnego beneficjariusza i zabezpieczał jego dobro. O ile w szczególności o Polskę chodzi, to istnieje nawet, ze względu na jej położenie geograficzne, automatyzm, działający w kierunku ujemnym. Dlatego właśnie dla Polski, która z „trudności geograficznych musi zrobić twórczy element swej siły państwowej” (Szuldrzyński), posiadanie i prowadzenie celowej polityki jest rzeczą szczególnie ważną. Gdyby nie polska praca niepodległościowa przed pierwszą wojną światową i w czasie jej trwania, dzień 11 listopada 1918 byłby dniem klęski Polski. Dobra polityka niepodległościowa jest czynnikiem tak samo ważnym jak pomyślna w sensie obiektywnym sytuacja międzynarodowa, gdyż każdy z tych czynników jest warunkiem powstania państwa.

Dziś układ wielkich sił międzynarodowych jest wyraźnie przeciwko Polsce, gdyż Rosja jest silniejsza niż kiedykolwiek a Niemcy rosną na siłach. Warunkiem odzyskania niepodległości jest zmiana sytuacji w sensie osłabienia tych dwóch państw, a przynajmniej jednego z nich. Na to nie mamy żadnego wpływu. Ale może to stać się bez naszego wpływu. Wtedy powstanie jeden z dwóch zasadniczych warunków, koniecznych do odzyskania niepodległości. Drugim warunkiem musi być istnienie polskiego czynnika politycznego i rzucenie go na szalę w odpowiedniej chwili. Czy dziś on istnieje to znaczy czy istnieje polityka polska ? Na czym polega polityka polska ? Tego ogół emigracyjny nie

wie. W uszach jego brzmią wciąż słowa, że legalizm to klejnot narodowy, zaś rokowania o zjednoczenie, trudne niczym pokój na Korei, stwarzają wrażenie, jakoby pomiędzy zgodą dwóch Rad Niereprezentacyjnych a przyjściem Mesjasza istniał związek dość ścisły. Należy jednak pamiętać, że legalizm i zjednoczenie nie są namiastką polityki, są tylko formami, które trzeba napelnić żywą treścią. Zapewne są najlepszymi formami, żadnych jednak form nie trzeba przeceniać. Bywają bowiem zwycięstwa bez zjednoczenia i klęski mimo zjednoczenia, bywają klęski czynników wyposażonych w tytuły prawne, i zwycięstwa czynników, czerpiących siłę działania nie z prawa, lecz z samych siebie. W polityce liczy się tylko jedna rzecz : umiejętność osiągnięcia celu.

W związku ze sprawą zjednoczenia zwróćmy jeszcze uwagę na rzecz następującą. Metoda stwarzania jedności narodowej nie zawsze może być ta sama, cel nie zawsze jest wystarczającym punktem krystalizacyjnym. Np. w sierpniu 1920 cel wystarczał, gdyż ówczesne zadanie było natury czysto wojskowej, zjednoczenie polegało na zgodnym poparciu Naczelnego Wodza, którego praca podczas wojny, oczywiście, z natury rzeczy nie mogła być przedmiotem sporów politycznych. Ale dziś działalność rządu po-zjednoczeniowego będzie przede wszystkim działalnością polityczną. O ile chodzi o sam cel, niepodległość, to zjednoczenia nie potrzeba „robić”, gdyż w tym sensie istnieje ono od dawna. Dziś chodzi o program polityczny, obejmujący nie tylko cel, ale także, a nawet przede wszystkim, środki, zasadniczą metodę działania, chodzi o to jak cel osiągnąć, jak zabezpieczyć trwałość odzyskanej niepodległości. To są zagadnienia par excellence polityczne. Pożądane jest pewne minimum wspólności poglądów w tej dziedzinie, gdyż bez tego Rząd Jedności Narodowej mógłby się rozpaść pod ciśnieniem zbyt daleko idącej różnicy zdań. Stąd wniosek : najpierw program, choćby w ogólnym zarysie, potem zjednoczenie dookoła tego programu. Tylko w tym wypadku, gdy pewien program jest punktem krystalizacyjnym pracy politycznej, gdy on właśnie jest podstawą zjednoczenia, to ostatnie jest pełnowartościowe. Oczywiście, w skomplikowanych sprawach politycznych trudno jest zjednoczyć ludzi dookoła jednej metody działania, szczególnie trudno w społeczeństwie polskim, ale jest to trudność nieunikniona. Gdyby Rząd obecny czy jakikolwiek inny poważny ośrodek polityczny potrafił stworzyć, spopularyzować i ugruntować w opinii publicznej realny, na wielkiej wizji oparty program działania niepodległościowego, to zjednoczenie uzyskałoby w nim lepszą podstawę niż ta, którą reprezentuje kłajster.

Zadajmy sobie teraz pytanie, jaki jest prawdopodobny rozwój wypadków na terenie polityki emigracyjnej w razie ewentualnego niedojścia do skutku rzeczywistego zjednoczenia ?

Praca niepodległościowa będzie kontynuowana przez różne ośrodki polityczne. Będą działały „orientacje”, jak w czasie pierwszej wojny światowej. Samo życie będzie żłobiło nowe drogi, wydzwignie nowych ludzi, którzy zdobywać będą autorytet

w działaniu. Dyskusje polityczne będą musiały stać się wreszcie walką o meritum polityki polskiej, o którym dziś w ogóle nie słychać, a które jest najważniejsze. Może wystąpi Wielki Sternik, który pokieruje okrętem mimo skłócenia załogi. Może jeden z istniejących ośrodków politycznych, pod wpływem ciśnienia samego życia, przewartościuje swe wartości i będzie jutro czymś dużo ważniejszym niż jest dziś. A może wyłoni się nowy ośrodek polityczny, który stanie się czynnikiem wyraźnie dominującym.

Nie wiemy, co będzie jeżeli zjednoczenie nie dojdzie do skutku albo, jeżeli dojdzie do skutku lecz następnie okaże się two-rem tylko werbalnym, czymś jakby emigracyjnym Ozonem. Wiemy jednak na pewno, że ktokolwiek będzie chciał stworzyć realną szansę odbudowy niepodległości, będzie musiał upatrywać istotę rzeczy nie w literze oderwanej od kraju konstytucji, nie w pseudo-demokratycznym bałamuceniu się stronnictw, i nawet nie w zjednoczeniu, bardzo ważnym, ale nie absolutnie koniecznym, — lecz w polityce ważkiej swą treścią i celowością, będzie musiał w razie nieodpartej konieczności podporządkować wymieniony trój-fetysz praktycznej racji stanu polityki niepodległościowej. Lepiej poświęcić fetysze dla niepodległości niż niepodległość dla fetyszów.

WYBORY

Jeszcze kilka słów o wyborach, o których potrzebie mówi się dziś na emigracji. Przeprowadzenie ich rozszerzyłoby i pogłębiło podstawę Rządu. Dowiedzielibyśmy się wreszcie, co setki tysięcy myślą o Rządzie i o stronnictwach. Dotąd wiemy tylko, co każdy z tych dwu czynników myśli o sobie samym i co one wzajemnie o sobie myślą. Obiektywnie rzecz biorąc, Rada Narodowa, będąca emanacją Rządu, nie jest surogatem parlamentu, Rada Polityczna — stowarzyszenie kilku małych grup emigracyjnych — mimo ich historycznego powiązania z dawnymi stronnictwami nie jest surogatem reprezentacji opinii publicznej. Życie polityczne emigracji jest zamknięte w wąskim kręgu osób. Wybory znakomicie rozszerzyłyby ten krąg jakkolwiek i po wyborach można by dyskutować nad tym, czy kształt polityczny, który się z nich wyłoni, jest istotnie odpowiednikiem społeczno-politycznego przekroju narodu polskiego.

Czy Rząd po wyborach byłby rzeczywiście demokratyczny? Niekoniecznie. Albowiem demokracja prawdziwa — jak wiadomo chociaż nie wszystkim — oznacza nie tylko rządy arytmetycznej większości, ale także, a może przede wszystkim, dobre obyczaje polityczne, wzajemną wobec siebie lojalność rządu i opozycji, rzeczywiste, nie tylko teoretyczne, poszanowanie cudzego zdania, słowem — pewną atmosferę moralną, której nie może stworzyć najlepsza nawet konstytucja. Nie można też wyzierać demokracji w ten sposób, że się papie o jej świętości przy

każdej okazji. Demokracji nie można „przyjąć”, nie można „uchwalić” — trzeba ją wychować. Na to potrzeba pokoleń, to długi proces samowychowywania się społeczeństwa. Gdy więc ktoś zachwala demokrację jako panaceum, gdy ogólnikowo mówi o „wzorach demokratycznych”, należy natychmiast zapytać go: „Ale jaka jest konkretna treść tych wzorów? Jaka to demokracja? Kiedy urodzona?” Po dwustu latach praktykowania demokracji w danym kraju może ona, z pewnością być najlepszym systemem politycznym dla tego kraju. Ale nowonarodzona, czy mająca niedostateczne tradycje, ze starymi nałogami myślowymi, z nietolerancją dla cudzego zdania we krwi, z instynktami kacyka i stada, czy choćby tylko z tendencją do monopolizowania racji przez urzędników państwowych, z brakiem poczucia odpowiedzialności indywidualnej, surogowanej frazesem o służbie publicznej, z upatrywaniem kapitulacji w każdym kompromisie, obraży w każdej krytyce, defetyzm w każdym stwierdzeniu przykryj prawdy, — taka „demokracja” nie jest podłożem, na którym można by oprzeć rozwój twórczych pierwiastków życia publicznego. Rozwiązanie problemu ustroju państwowego w konkretnym wypadku nie może leżeć na linii dziecinnie-prostego, prymitywnego wypowiedzenia się „za demokracją” czy „przeciwko demokracji”, żadna sztywna doktryna nie może dać odpowiedzi na dręczące dany naród bolączki. Czasem demokracja jest najlepszym systemem politycznym, w innych wypadkach najmniej złym. W społeczeństwach nacechowanych szczególnym brakiem dyscypliny, zwłaszcza w społeczeństwach warcholskich, stu-procentowa demokracja może być klęską, jej rozumne limitowanie w okresie przygotowywania społeczeństwa do pełnego „samorządu politycznego” może być wskazane. W każdym jednak razie budowanie demokracji zaczynać należy od przekonania co do konieczności naprawy obyczajów politycznych. Wybory oparte na fetyszu większości nie wystarczą.

◆

Często nasuwa się pytanie, czy narody, pod wpływem doświadczeń, zdolne są do nauczania się czegoś, co jest sprzeczne z ich naturą emocjonalną. Nieraz ma się wrażenie, że — nie. Po Wilhelmie Drugim, który cały świat postawił na nogi przeciwko Niemcom, przychodzi Hitler i robi to samo. Francja pada ofiarą własnej konstytucji, „gwarantującej” jej trwałość nie-rząd, jednak nie naprawia swego ustroju państwowego. A Polacy? Jedni, po doświadczeniach przedmajowych, hołubią idee pseudo-demokratyczne, będące współczesnym wyrazem przekonania, że „Polska nierządem stoi”. Inni do dziś nie rozumieją, że Rydz-Śmigły prowadził Polskę po równi pochyłej. Jeszcze inni, po doświadczeniach 17 września 1939 i wbrew elementarnej logice politycznej, oczekiwali pomocy ze strony Sowietów dla Powstania Warszawskiego. A ilu jest takich, którzy nie wyciągają żadnych wniosków z olbrzymich przemian społeczno-ekonomicznych i po-

litycznych we współczesnym świecie i wyobrażają sobie powrót do Polski w ten sposób, że zastaną tam niedopitą w roku 1939 szklankę herbaty? I wreszcie: czy naród polski, którego psychika predestynuje go na natchnienie, a geografia na ofiarę świata, dojdzie kiedykolwiek do przekonania, że zło losu można pokonać w jeden tylko sposób — przez oparcie polityki na trzeźwym rachunku strat i zysków, przez ostateczne zerwanie z wszelkim romantyzmem w doborze środków politycznego działania?

Stanisław ZARZEWSKI

Artykuł p. St. Zarzewskiego, który drukujemy powyżej — jest próbą rzeczowej analizy emigracyjnej sytuacji politycznej z pominięciem aspektów personalnych. Autor rozpatruje beznamyślnie fakty i elementy, które w dyskusjach i polemikach zwykłe dalekich od obiektywizmu — zatraciły niejednokrotnie swą wagę i znaczenie. Stronnicze naświetlenia i interpretacje, które z obu stron wysuwano w czasie rozmów zjednoczeniowych nie przyczyniły się do wyrobienia jasnego poglądu na sytuację w umysłach czytelników polskiej prasy emigracyjnej. Dlatego wydaje się nam rzeczą pożądaną w tym właśnie momencie dać naszym Czytelnikom spokojną i bezstronną analizę, która nie służyłaby niczyjej propagandzie.

W chwili gdy piszemy te słowa gen. Sosnkowski opuścił Londyn i odłożył swe prace mediacyjne do jesieni. Jest więc zbyt wcześnie, aby formułować sąd o zjednoczeniu, którego los wydaje się jeszcze niepewny. Artykuł p. Zarzewskiego w niczym nie przesądza naszego stosunku do przyszłego rządu Jedności Narodowej. W tej sprawie sformulujemy naszą opinię, gdy sytuacja ostatecznie się wyjaśni.

Zespół „KULTURY”



2 HOGARTH ROAD,
LONDON S. W. 5,
ENGLAND

PACZKI DO POLSKI

DOBRE, SZYBKIE I TANIE

Pełne Ubezpieczenie

LEKARSTWA MATERIAŁY ŻYWNOŚĆ

Piszcie Po Cenniki 100 Popularnych
Paczek Największego Polskiego Domu
Wysyłkowego w Europie.

HASKOBA LTD.

Radio i radioci

Jak każdy wynalazek radio jest przeceniane. Stało się ono jednym z głównych instrumentów i kolubryn „zimnej wojny”, dwustronnie. Zachód, a zwłaszcza Amerykanie, mnożą potężne stacje nadawcze, które poprzez eter mają nieść zagiew wolności a może buntu za żelazną zasłonę. Komuniści mimowoli przyznają skuteczność tej nowej broni mnożąc stacje zagłuszające. Od Bałtyku do Dunaju jest ich podobno dwieście. Wyścig zbrojeń odbywa się i w tej dziedzinie. Może jakiś technik mógłby zdać sprawę z tej technicznej rywalizacji. Propaganda radiowa Zachodu ma w każdym razie ściśle techniczne, gospodarcze sukcesy na swym koncie, których efekt w sensie osłabienia potencjału wojennego świata zakurzynowego jest nie do pogardzenia. Ilość kilowatów dostarczanych na alimentowanie stacji zagłuszających jest bardzo okazała, idzie w miliony. Gdyby propagandy radiowej Zachodu nie było, kilowaty te pracowałyby na przemysł zbrojeniowy, puszczałyby w ruch obrabiarki fabrykujące gąsiennice dla czołgów, zapalniki dla bomb. Sztaby Zachodu doskonale o tym wiedzą, sztaby bolszewickie z rozpaczą o tym pamiętają. Propaganda radiowa karmi zimną wojnę, opóźnia wojnę tout court. Stąd będzie zapewne rosnąć nie słabnąć. Ponadto spełnia ważną rolę socjalną w społeczeństwie XX-go wieku: zatrudnia, a więc utrzymuje inteligencję, a zwłaszcza ćwierć-inteligencję, tę najbardziej zbyteczną, ale najbardziej żarłoczną, agresywną a więc politycznie wpływową klasę społeczną naszego stulecia. Rozrost propagandy radiowej to kłapa spokoju socjalnego. Skuteczna. Ćwierć-inteligent zatrudniony na poczcie — to malkontent jeżeli nie komunista, to fellow-traveler, ewentualnie radykalny faszysta. Tenże ćwierć-inteligent jako radiota jest „bien pensant”: nawet Syngman Rhee będzie mu się wydawał ostoją ładu na świecie, prorokiem lepszego jutra.

Opinia emigracyjna poświęca zbyt mało uwagi audycjom polskim w radiostacjach Zachodu, które zaczynają odgrywać coraz większą rolę w naszym życiu politycznym. Artykułem p. Pretwicą otwieramy dyskusję nad działalnością tych radiostacji i celowością ich metod. Liczymy, że nasi czytelnicy pomogą nam w tej pionierskiej pracy nadsyłając swe uwagi i spostrzeżenia. (Red.).

Rozwój wojny radiowej ma specjalne znaczenie dla inteligencji polskiej. Jest to jakby namiastka złotego wieku Strattonu. U Seydy, u Strońskiego prawie cała inteligencja polska w Anglii znalazła skromne lecz godziwe zabezpieczenie bytu. Rzecz ciekawa: czterdziestofuntowe zapomogi dla bezrobotnych połączone z pracą zleconą czy koślawym biurkiem w przepelnionych klitkach londyńskich ministerstw R.P. wyprodukowały stopy makulatury, ani jednego dzieła o wartości literackiej. Groszowe honoraria „Wiadomości” czy „Kultury” uskrzydliły Łobodowskiego czy Balińskiego, Hostowca czy Straszewicza, Józefa Mackiewicza czy Józefa Wittlina. Zasilki Strattonu czy biur prasowych wojskowych umożliwiły tylko bumlerkę ekipy prasowych hochsztaplerów, operujących mitem „wielkich stosunków” oraz apatyczną wegetację pisarzy, zdegradowanych do roli wyrobników stukających kopytami przed szelfuniem, rozdającym „zamówienia narodowe”.

Urzędnikieria jest dla rasowych pisarzy zawsze katastrofą. Pisarz z prawdziwego zdarzenia może mieć tylko jedną posadę: synekurę. Dlatego to dawne służby zagraniczne były przytułkiem dla ludzi pióra. Stendhal jest klasycznym przykładem: można sobie wystawić jak ten jego konsulacik w Civitavecchia wyglądał w oczach inspektorów placówek. W naszym, znacznie bardziej biurokratycznym, M.S.Z.-cie Lechoń i Baliński już się dusili. Cóż dopiero w rozgłośniach radiowych, gdzie trzeba odwalać kawalki, pisać nie dla sumienia, nie dla prawdy, nie dla sztuki, nie dla ozdoby piękna formy, a pod gust na wpół piśmiennego, przeważnie niekrzesanego szefa. Stałe posady radiowe dla talentów tej miary co Łobodowski czy Tadeusz Nowakowski są „paleniem mahoni w piecu” (wyrażenie Becka). Najlepszym wyjściem jest rozwiązanie Strzetelskiego, bodaj jedyne go kierownika radiostacji, który jest jednocześnie miłośnikiem kultury: wydebienie u chlebobawców zasilków dla koryfeuszów czy nestorów polskiej poezji czy prozy. Od biedy, pogadanki dostarczane z zewnątrz przez najwybitniejszych literatów przy zupełnej swobodzie wyboru formy i treści powinny im dostarczyć wystarczających i regularnych źródeł zarobku zostawiając maksimum czasu dla pracy i twórczości niezawodowej. Ściąganie natomiast ludzi z prawdziwym talentem do kleratu radiowego, do młócenia słomy propagandowej, do tej atmosfery ogtupiającej i jałowej — jest zbrodnią wobec szczątków literatury polskiej na uchodźstwie. Ale jak wytłumaczyć niegramotnym hebesom, których ignorancja przewyższa tylko ich zarozumiałość, że przebywanie w ich towarzystwie i wysłuchiwanie ich „instrukcji” skazuje każdego literata, każdego pisarza, każdego choćby trochę wykształconego i odcytanego człowieka na stepienie wszelkiej wrażliwości umysłowej.

Wiek obecny przecenia znaczenie propagandy a więc i znaczenie radia. Iluzją jest w szczególności by radiem można było

okowy totalistycznego komunizmu rozsądzić czy choćby nadwrezyć. Nie ma żadnych wskazówek, by wojenna propaganda B.B.C. skróciła wojnę z Hitlerem choćby o tydzień. Wysiłki radiowe Goebbelsa i jego bez mała genialnego Joyce'a (Lorda How-How) na postawę Anglików (choć Joyce'a słuchano i nawet cieszył się on swego rodzaju popularnością w Anglii — dla tego właśnie go powieszono po wojnie) były w efekcie dokładnie równe zeru. Wątpię bardzo, by Malenkov czy nawet Bierut poważnie się przejmowali audycjami radiostacji zachodnich, podobnie Laniel nie kłopotuje się ani chwili tym co nadaje po francusku Moskwa czy Warszawa. Tyrania, która dławi i dusi życia ludów od Laby po Ocean Spokojny nie rozpadnie się na skutek lepszych czy gorszych programów z Monachium czy Londynu ale tylko na skutek przegranej wojny albo wojny domowej w Rosji samej. Wysiłki radiotów muszą pozostać pracą syzyfową. Tym niemniej audycje radiowe dla krajów za żelazną zasłoną spełniają dużą rolę. Narodom podbitym powinny dostarczać informacji, rozrywki i jakiejś ostoji kulturalnej — poza straszą polityczno-propagandową. Audycje zachodnie żyją, prosperują i rozwijają się w wyniku monopolu radiowego i prasowego komunistów za żelazną kurtyną. Nikt we Francji nie słucha francuskich audycji „Głosu Ameryki” czy B.B.C. i nie ma oczywiście ani jednego Anglika, który by słuchał Warszawy czy Ankary po angielsku. Ale reżimowe radio jest tak beznadziejnie nudne, zakłamane i rosyjskie z ducha, że siłą rzeczy powstaje vacuum: a vacuum to musi być czymś zapełnione. Nadmiar propagandy, nadmiar fałszu, nadmiar „linii” i sztychulek w Warszawie otwiera automatycznie drzwi i okna na oścież audycjom zagranicznym. Bolszewicy wydają miliony na zagłuszanie. Niech Warszawa przestanie nadawać program sowiecki a zagłuszanie okaże się niepotrzebne. Tylko nieliczni będą kręcić wówczas gałkami w poszukiwaniu wiadomości po polsku po całej działce, po całym globie. Program warszawski jest tak nudny i tak beznadziejny, że zapewne nawet córka Bieruta czy Cyrankiewicza woli nastawić aparat na Paryż czy Madryt.

Na całym świecie ludzie szukają w radio trzech rzeczy przede wszystkim: „news'ów”, audycji kulturalno-naukowych i muzyki. W epoce gorączkowej, pełnej niespodzianek, o równowadze chwiejnej, ludzie chcą ciągle najświeższych wiadomości. Obawy czy nadzieje, nerwy czy niepokój jednakowo skłaniają miliony istot do wysłuchiwania biuletynów radiowych prawie o każdej porze dnia i nocy. Słuchanie „news'ów” stało się dla wielu nałogiem. W Anglii B.B.C. obliczyło, że jego audycji o 9-tej wieczorem Home Service — słucha około 80 % posiadaczy radioaparatów. O ileż ten głód wiadomości musi być silniejszy za żelazną kurtyną, gdzie informacje zastępują plotki, słuchy, gdzie ludzie mają uczucie, że żyją w wielkim więzieniu, odcięci od świata, gdzie prasy nie ma, gdzie życia publicznego i parlamentarnego nie ma, gdzie normalny człowiek tylko w swoim radiodiodbiorniku upatruje łącznik ze światem, zwiastuna przyszłości.

Warunki zakurtyenne sprawiają, że radiosłuchacz pragnie obok informacji częstych, dokładnych, wyczerpujących, pewnych, uzyskać również i dalszy program z zagranicy. Pragnie on rozrywki — bo humor komunistyczny go nuży i drażni. Pragnie on dostać pożywkę kulturalną, bo porcja kultury serwowana przez reżim pachnie czy śmierdzi moskiewskim dziegiem. Chce on łączności z ruchem umysłowym Zachodu, chce czystej, pięknej, nieskażonej reżimowym żargonem polszczyzny. Chce wreszcie, na koniec, — kontrpropagandy czyli komentarzy politycznych.

Zapotrzebowanie kraju na programy radiowe w języku polskim, niecenzurowane przez komunistów i Sowiety, jest w chwili obecnej wcale hojnie zaspakajane. Po polsku nadają: Paryż, Madryt, Londyn, Nowy Jork, Monachium, Rzym, Belgrad, Montevideo, Ankara, Watykan, Montreal, pewno i inne stolice. Żadna z tych stacji nie jest „polska”: wszystkie są finansowane przez rządy i radiofonie obce. Na to nie ma rady. Nawet przy stokrotnie większych wpływach i zasobach Skarbu Narodowego czynnik polskie nie będzie stać na opłacanie choćby tylko personelu i programu jednej dużej polskiej sekcji: a wydatki programowe stanowią wszędzie zaledwie około 10 % ogólnej sumy wydatków. Resztę pożerają wydatki techniczne. Szczególnie Amerykanie są na technikę hojni. Tutaj nawiasem wtrącić uwagę: na przykładzie radia widać całą różnicę mentalności amerykańskiej i polskiej. My jesteśmy narodem „przepolitycznionym”: nasi przywódcy gotowi się dźgać nożem o tekst jakiejś rezolucji, lecz gdy ta została „uzgodniona” żaden z nich nie zatroszczy się, by sprawdzić czy nieszczęsna sekretarka-głodomór rozesłała ją według rozdzielnika. Amerykanie szaleją na punkcie „przechodzenia” ich programu: jeżeli im ktoś powie, że w wypadku wystawienia nowej stacji nadawczej w Tanganicy ich audycje będą słyszane świetnie w Garwolinie, są gotowi wysłać nad jezioro Nyassa całą ekspedycję z dwudziestu osób; ale znacznie mniej ich interesuje co w tym programie będzie się znajdować. Pozostaliśmy wierni tradycji sztuki dla sztuki również w polityce.

Stopień niezależności tych programów jest wielce różny. Niektóre ograniczają się do tłumaczenia na język polski tekstów dostarczonych przez chlebobawców. Inne rozporządzają praktycznie nieograniczoną swobodą. Słuchacz krajowy orientuje się w tych niuansach doskonale. I oczywiście woli audycje redagowane przez samych Polaków, bez kontroli i interwencji obcej. Stąd niesłabnąca popularność Madrytu choć ta placówka ma technicznie bardzo słabą stację i bardzo ograniczony personel i fundusze. Rozumni zagraniczniacy powinni pozostawić polskim radiotom maksimum swobody: tylko pod tym warunkiem mogą sami ze swych wkładów odnieść jakieś korzyści propagandowe. Kontrola, belferowanie, dają w rezultacie zakalec, który jest po-

litycznie czystą stratą. Jest złudzeniem — by nie powiedzieć idiotyzmem — by Anglik (a już nie daj Boże Angielka) czy Amerykanin lub Turek mógł mieć wycucie tego co może interesować słuchacza polskiego, nie mówiąc już o tym co może mu się podobać. Pół-środkiem jest wprowadzenie Herrenvolku paszportowego: powierzanie audycji polskich naturalizowanym w danym kraju Polakom (czy Rosjanom, czy Węgom). Każdy rasizm jest niemoralny i szkodliwy: paszportowy tak samo jak oglądanie zawartości kalesonów Aszkenazego czy Tomkowica w znanej piosence Boya.

Drugie generalne pytanie to z jakiego środowiska należy rekrutować radiotów. Kierownik jednego z polskich programów tłumaczył chętnie, że na to stanowisko nadają się socjodolży. Oczywiście dlatego, że sam się za socjologa uważa. Inni, zależnie od swego „Fragebogen”, lansują na stanowisko kierowników „działaczy społecznych” to znaczy ludzi według klucza partyjnego, dwójkarzy, kurierów Armii Krajowej, czy urzędników prasowych. Wszystkie te pomysły są śmieszne i oplakane. Radio jest może najniższą formą dziennikarstwa ale jednak jego przedłużeniem: powinno więc być domeną zawodowych dziennikarzy, redaktorów i publicystów. Oczywiście i w świecie dziennikarskim istnieje hierarchia i tej należy przestrzegać. Niestety Polacy uznają różnicę w hierarchii przeważnie dopiero z chwilą, gdy operacja ta sprowadza się do liczenia gwiazdek na epoletach. Stąd nasza predylekcja do wysuwania zawodowych wojskowych, bo tutaj nie może być dyskusji, że generał brygady ma przewagę nad kapitanem. Iluż grafomanów nie chce pogodzić się z oczywistością. To wielka trudność, która i w radio bruździ, ale wszelka rozumna polityka personalna w radio musi wyjść z założenia zawodowości i hierarchii dziennikarskiej.

Każda stacja nadająca po polsku operuje jednym podstawowym tworzywem: językiem polskim. Toteż absolutna, bezwzględna, nieposzlakowana czystość i poprawność języka jest jej pierwszym obowiązkiem. Język polski jest w kraju zagrożony zarówno żargonem bolszewickim jak i postęпами rusyfikacji. Stacje zagraniczne, nim staną się ostoją ducha polskiego, muszą być warownią poprawnego literackiego języka. Stąd ci co ten język kaleczą, wykoszlawiają muszą być rozpalonym żelazem ze wszystkich polskich programów eliminowani. Niestety! Można by tomy całe błędów językowych, gramatycznych i stylistycznych i z tych programów wyłowić. Ohydna i jakże rozpleniona camera obscura. Ograniczę się do paru przykładów. Kierownik jednego z polskich programów używa stale zwrotu: „Józef Stalin” — ten bęwał i nieuk nie wie dotąd, że używanie imienia obok nazwiska jest w języku polskim wyrazem hołdu. W Nowym Jorku jest jakaś niepiśmienna baba, która pisze: „Z Istambułu donoszą” — choć już z „Trylogii” wiadomo, że od pięciuset lat Konstantynopol nazywa się po polsku Stambułem.

Zwroty w rodzaju : „w Waszyngtonie uważa się” (it is believed in Washington) i inne tego rodzaju brzydkie angielskie spotyka się na każdym kroku. Jedną z stacji w Nowym Jorku mówi o „parlamentarnie wybranym przez powszechne głosowanie”; audycje polskie z Rzymu (nie z Watykanu) są pisane w ogóle jakimś żargonem. Nie ma rady, i w takich wypadkach opinia polska musi walczyć o czystość języka i wołać o gilotynowanie winnych bez cienia względów dla „kumoterskich” stosunków, które we wszystkich radiostacjach są zakałą i plewą.

Dbłość o język ma jeszcze w radio drugą stronę : spikierkę. Programy muszą być nie tylko pisane bezbłędną polszczyzną : muszą nadto być recytowane przed mikrofonem przez dobrych spikierów, mówiących dobrą, kulturalną polszczyzną bez obcych akcentów, bez półinteligentnej intonacji. Język polski jest jednym z najmniej radiofonicznych języków na świecie. Dobrych mówców a więc i spikierów mieliśmy i mamy bardzo mało. Pomijam kwestie techniczne : potykania się, timbre głosu, ale obce akcenty nie mogą być tolerowane. W Nowym Jorku na przykład przemawia jakaś pannica, która mówi „Polska” ! Są to zbrodnie. W Polsce akcent się obecnie wulgaryzuje. Każdy kto słucha tak zwanych wywiadów z uchodźcami z Kraju musi być uderzony niechlujną wymową nie tylko robotników i chłopów, ale również młodych ludzi, którzy pokonczyli reżimowe szkoły. Tym bardziej doskonała wymowa, staranna, płynna, dźwięczna, jeżeli można wytworzyć, a w każdym razie bez cienia obcych naleciałości musi obowiązywać wszystkie polskie rozgłoszenie na Zachodzie. I tu znowu żadne „kumoterstwa” nie mogą ratować ani spikierów, ani spikierki.

Podstawą każdego programu radiowego muszą być skromne ale konieczne „news’y”. Wszak słuchacz krajowy właśnie szuka „news’ów”; komentarze etc. interesują go już znacznie mniej. Szanująca się radiostacja musi nadawać dziennik poranny, południowy, popołudniowy, wieczorny i późnowieczorny. Jedną z radiostacji nadaje „news’y” co godzina przez 10 minut. Bardzo trafny pomysł. Żadnego sensu natomiast nie ma siedmiokrotne powtarzanie audycji newsowej przez inną radiostację. Słuchacz, który orientuje się, że o 7-mej rano serwują mu program z poprzedniego wieczoru dostaje szału. Powtórki w ogóle mijają się z celem. Lepiej ich zaniechać jeżeli już się nie chce zwiększyć wydatków programowych.

„News’y” są rzeczą bardzo prostą ale i w tym wypadku potrzebna jest minimalna doraźna zdrowego rozsądku. Muszą być robione przez fachowych, doświadczonych dziennikarzy agencji i redaktorów działu depeš. Muszą być oparte na telekryptorze dobrej światowej agencji nie zaś na „brykach” dostarczonych przez „redakcje centralne”, to znaczy na materiałach z drugiej ręki. Muszą być robione zawsze w ostatniej chwili. Muszą być treściwe, wszechstronne, bezstronne, redagowane

bez cienia tendencji i propagandyzmu. Nie mogą zatajać informacji niewygodnych. Nie mogą być komunistycznym programem „news’owym” à rebours. Muszą być elastyczne : jeżeli „news’ów” nie ma dość na wypełnienie audycji lepiej zastąpić je płytą z muzyką niż walić sieczkę.

Dla audycji zakurtynowych istnieją pewne specjalne problemy. Jak traktować wiadomości z Polski czy o Polsce? Ostrożnie. Znaczna ich część, zwłaszcza ta o oporze, pochodzi ze źródeł mętnych i podejrzanych. Są fabrykowane często przez emigracyjnych polityków i bezrobotnych reporterów. Znaczna ich część pochodzi ze źródeł niemieckich, a o wiele więcej z Bezpiekier czy wprost z N.K.W.D. Niekiedy są typową prowokacją. Strzeżonego Pan Bóg strzeże. Lepiej być przesadnie ostrożnym niż lekkomyślnym.

Słuchacz polski żąda też wiadomości o tym co się dzieje w Sowietach, bo wie, że jego przyszłość zależy od rozwoju sytuacji na Kremlu. Nie ma o tym żadnych pewnych wiadomości. Uważam przeto, że rozgłoszenie polskie winno nadawać wszystkie domysły i plotki, które na ten temat kursują po prasie światowej. Oczywiście z podaniem źródeł. Niech Moskwa te plotki demontuje.

Jak wreszcie radiostacje mają podawać informacje o życiu politycznym polskiej emigracji? Niestety, póki trwa obecne rozbicie, patriotyczny i sumienny news’owiec będzie te smutne wieści pomijał. Nie ma celu i sensu rozmuchiwać tych burz w szklance wody, tych gorszących polemik, tych personalnych kłótni. Zostawmy Arskim babrzenie się w tym błotku. Kraj zresztą emigracją nie tylko z 1939 roku ale i z 1945 naprawdę się nie interesuje.

Jak natomiast ułożyć resztę programu? Osobiście będę się upierał przy bardzo prostej zasadzie : program musi być przede wszystkim interesujący. Znużenie słuchacza jest pierwszym krokiem do zrażenia go. Bolszewicy go naprzód zanudzi i teraz odzyskać go nie mogą. Niestety zachodnie radiostacje nie mają zrozumięcia dla konieczności dostarczenia godziwej rozrywki. Przeważają programy propagandą nie rozumiejąc, że nadmiar zawsze odnosi skutki niepożądane. Powtarzaniem się i zbyt wielkimi dawkami stępują ostrze swej własnej broni. Ilość komentarzy, polemik czy wręcz pyskówek jest przesadnie wielka. Są one nadto za długie. Któż może wytrzymywać pogadankę dziesięcio- a tym bardziej piętnastominutową? Kto z piszących może się nie wypisać, w kółko mówiąc to samo? Jaki cel może mieć szufladkowanie audycji na młodzieżowe, chłopskie, robotnicze? Podział na „referaty” jest nieunikniony w urzędzie, ale radiostacja nie jest urzędem. Biurokratyczne podziały ją zabijają. Publicystów, komentatorów, polemistów jest mało. Przez przydział kawałków nikt ich z kamienia nie wykrzesze. Rezultatem są audycje drewniane. Gdyby wydawać skrypty radiowe w formie dziennika nikt nie byłby w stanie dwóch numerów przeczytać :

taka nuda. „Dzwonek Częstochowski” nieraz by takie skrypty odrzucał. Gadulstwo szaleje i brak smaku. Rozwlekłość. Ogólny poziom audycji polskich jest słaby, często ponury, nieraz bezna-
dziejny.

Srodki zaradcze? Jeżeli wyjdziemy z założenia, że żelazna zasłona kruszy się i wali, że dni panowania bolszewickiego są policzone — to mniejsza o to. W radosnym upojeniu Wyzwolenia wszystkie te luki i niedociągnięcia zostaną zapomniane i wybaczone. Ale jeżeli noc niewoli się przeciągnie? Jeżeli potrwa lata? Wówczas audycje muszą być planowane inaczej. Muszą zastąpić słuchaczom krajowym gazetę opozycyjną. Ta gazeta może być dobra albo zła. „Goniec Warszawski” był żywy i zajmujący, „Głos Narodu” martwy i usypiający. Gazeta opozycyjna jest artykułem pierwszej potrzeby. Jeśli jej nie ma w kraju — niech będzie w eterze. Ale chwacka nie rozmamłana, dziarska nie senna, z fajerm nie sflaczała.

Słuchacze potrzebują humoru, rozrywki. To też są artykuły pierwszej potrzeby. Mała dawka propagandy na tle dużej dawki rozrywkowej jest dużo skuteczniejsza niż wielka doza napuszonego antybolszewizmu na tle paru płaskich, antykomunistycznych dowcipów. Musztarda jest wspaniałą przyprawą, nie może być daniem. Program radiowy wymaga wszędzie inwencji, pomysłów, nowych prób. Tymczasem ma wszędzie skłonność do wpadania w schemat, w marazm, w biurokratyczną rutynę. Może by zachodnie radiostacje zrobiły próby wymieniania swych współpracowników w regularnych odstępach czasu? Ten płodźmian pobudzałby ciekawość, przynajmniej dawałby materiał porównawczy. Może byłoby mniej „samodurństwa” na górach — tej zawodowej choroby wszystkich szefów.

Przed wszystkim jednak trzeba dać Krajowi program kulturalny, program więzi umysłowej z Zachodem. Z tym jest najgorzej. „News’y” są nieźle w monachijskiej Free Europe i w B.B.C. Rozmałość i żywość programu są najlepsze w Paryżu i w Madrycie — ale Polak który chciałby uzupełnić swe wykształcenie przez słuchanie audycji polskich srodze byłby zawiedziony. Nic poza łzawymi frazesami, nic poza obchodem narodowym. Nie ma uczciwego cyklu nauki historii Polski ani polskiej literatury, nie ma krytyki literackiej, nie ma poważnego przeglądu życia umysłowego na Zachodzie, nie ma poradni językowej, nie ma camery obscury niezliczonych rusycyzmów i dziwogłów językowych reżimu. Nie ma należytej recytacji poezji, nie ma polemiki pomiędzy wolnymi Polakami, która pozwoliłaby słuchaczom w Kraju wyrobić sobie zdanie o sporach, które nas dzielą: choćby o takiej „sprawie Miłosza”. Nie ma nauki języka angielskiego (a właściwie amerykańskiego), który staje się lingua franca naszego świata.

Listy z Kraju powinny być busolą dla pracy radiowej. Każda szanująca się redakcja liczy się z listami czytelników, wszel-

kimi sposobami ich do pisania zachęca. Paryż dotąd dostaje około 100 listów miesięcznie z Polski. Zapewne część ich odnosi się do spraw czysto osobistych: odnalezienie krewnych, przestanie życzeń, itp., część jest pisana przez agentów bezpieki, część wychodzi spod pióra grafomanów. Ale część rzuca jednak światło na wymogi słuchaczy. Radiostacje które listów nie otrzymują poruszają się całkowicie po omacku. Nic dziwnego, że w nich właśnie samodurstwo najbardziej kwitnie. Nie mówię ma się rozumieć o listach „inspirowanych” przez poszczególnych radiotów (bo i to się zdarza), czy zgola fikcyjnych.

Do ideału radiostacje zachodnie nadające do krajów za żelazną kurtyną niestety na pewno nie dojdą, ale poprawa jest możliwa i należy do niej dążyć. Dobre „news’y”, poważny wysiłek w dziedzinie kulturalnej, zajmujący program rozrywkowy, wreszcie cenna i dynamiczna doza propagandy politycznej — oto minimum jakiego opinia polska i w Kraju i na emigracji ma prawo i od radiostacji i od radiotów domagać się i otrzymać.

Józef PRETWIC

POLSKIE SŁOWO NA OBCYZNIE

Największa na emigracji

KSIĘGARNIA
POLSKA

ORBIS

38, Knightsbridge, S.W.1.
LONDON, Gt. Britain

WSZELKIE NOWOŚCI WYDAWNICZE W JĘZYKU POLSKIM

Wydane gdziekolwiek na świecie
Na składzie zawsze ponad 3.000 tytułów

KSIAŻKI ANGIELSKIE:

Polonica, zagadnienia środkowo-wschodnio-europejskie,
współczesne problemy wojny i pokoju.

Polecamy również:

POLSKIE PŁYTY PATEFONOWE

wiele nowych własnych nagrań.

Płyty wysyłamy zagranicę w przesyłkach
specjalnie opakowanych i ubezpieczonych.

KATALOG KSIĄŻEK I PŁYT NA ŻĄDANIE BEZPŁATNIE.

waniu się dwóch polskich autorów poprzez granice ustrojów i wiar, czy przez linie okopów. I tak to bym ujął :

W metrze paryskim kartki rozcinałem
Tej twojej książki wydanej w Warszawie.
Błysnęło zimą, rankiem, chłodem wód
I zatrasnęła się ciemność tunelu.

Czyż my nie jednej służyliśmy sprawie,
Czyż mi nie wolno zawołać na wschód
Do ciebie, tam : poeto, przyjacielu,
Więc my, w tej samej zakochani mowie
Mamy być odtąd śmiertelni wrogowie ?

I nigdy, nigdy, po najdalsze wieki
Ręce się nasze w uścisku nie złączą,
Wiersze podjęte myślą współczującą
Nie staną razem w półkach biblioteki ?
Twoje czy moje dzieło trzeba spalić,
Zapomnieć, imię kamieniem przywalić ?

A przecie ja, za każdym twoim zdaniem
Biegnę jak biegnie się znajomym śladem.
Jak dziecku wszystko jest mi powitaniem
I cieszę się zwycięstwem twoim nad nieładem
Tej polskiej składni. Bo składnia zawiła
Sercom dostępu do pieśni broniła.

A przecie ty, niejednym ruchem pióra
To co zdobyłem najwdzięczniej powtarzasz,
Świat swój ze świata już danego stwarzasz,
Bo nikt z nas nie jest olbrzymi ptak-góra
I cień co rzuca nie jest jego cieniem.
Ty wiesz : poeta żyje powtórzeniem.

Brak aparatu polskiej krytyki zmusza mnie do wyznań. To nie znaczy że subiektywne gusty uważam za wystarczającą podstawę oceny. Jednak, aby można się było porozumieć, trzeba się najpierw odsłonić : powiedz mi co lubisz, powiem ci kim jesteś. Szukałem w przeszłości wigoru polskiego wiersza : Wiek Złoty, poezja mieszczańska, Trembecki, Krasicki, Mickiewicz, mniej Słowacki, trochę Norwid. Honory jakie są oddawane dziś w Polsce wiekowi Oświecenia i Mickiewiczowi tłumaczą się zarówno marksizmem jak tym, że do głosu doszło pokolenie mające takie właśnie jak ja literackie skłonności. Jasne, że w takim układzie odium spada na Młodą Polskę jako na okres rozchwiania i niedokrwistości wiersza i na to wszystko co w Dwudziestoleciu było Młodej Polski (nieświadomą najczęściej) kontynuacją. Różnym wielkim nazwiskom zostawiam dobrodziejstwo mego zwątpienia :

O wierszach Jastruna

Współczesna poezja polska nie ma swoich krytyków ani historyków. Przyczyny tego mogą być albo uznane za oczywiste, albo wymagałyby, aby je wyjaśnić, obszernych studiów. W każdym razie jest faktem, że hierarchia wartości nie jest ustalona, że nikt nie wie jakich używać kryteriów, a nazwiska wymieniane przez jednych jako istotne dla rozwoju poezji polskiej w ogóle, są przez innych odrzucane z lekceważeniem. Nie tylko nie wyznaczono miejsca poetom Młodej Polski. Również plejada poetów jacy pojawili się po I wojnie światowej jest mglistym tylko refleksem pamięci, grupę Skamandra mierzy się według politycznych zasług poszczególnych jej przedstawicieli, a spory o taką czy inną poetykę w Dwudziestoleciu istnieją w tej formie w jakiej ją ujęli walczący ze sobą Irzykowski, Zawodźniński, Peiper, Przyboś etc. — a więc w formie oczywiście dzisiaj już absurdałnej, ponieważ odsłoniła się błędność i wąskość dyskusji, rozumiana zresztą już przez wielu i wtedy kiedy ta się toczyła — odnosili się oni (byłem w ich liczbie) do sporów Skamandra i „awangardy” z pewną obojętnością, wiedząc że droga do wzbogacenia języka przebiega poza terenem tych bezpłodnych i mocno parafialnych utarczek. A później — lata wojny i lata powojenne — to już materiał surowy, po który sięga się chyba tylko po to, aby uzasadniać tezy wysunięte na użytek jak najbardziej doraźny.

Mieczysław Jastrun jest wybitnym poetą. Zaczął publikować w okolicy roku 1928 i mając przed sobą jego ostatni tom : „Poemat o mowie polskiej” *) ma się ochotę zrobić przynajmniej próbę krytyki. Jest oczywiście znany tragizm w tym nawoły-

*) Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1952.

może wrócić do nich, ale w tej chwili w ich utworach znajduję za mało pokarmu. Oto co dzwięczy w mojej pamięci :

...Gdzież Esik będzie,
Godniej zasiędzie,
Jak nie w Ostendzie
Królowej mórz.

„Słówka” Boya. Cóż mogę poradzić jeżeli one po prostu są, bardziej niż uczony Miriam, niż he-he Przybyszewski, niż Tetmajer, niż ci wszyscy co płynęli „po oceanach czarnej kawy do wysp ukojenia”?

Od Chicago do Tobolaka pełna wrzasku ziemia polska...

Smutna prawda wesółków trwa, bo pisać szopkę Zielonego Balonika, rzucając żart, nikt nie może być pewnym czy w ten sposób siebie nie utrwała, czy trud i męka poważnych natchnień nie będą natomiast zapomniane. Powiedziane jest przecież : „Nikt nie zna dróg do potomności/Jedno po samodzielnych bojach/Ani w świątyni jej nie gości/W tych, które wybrał sam pokojach”. (To Norwid).

I fragment innego wiersza mnie nawiedza. Powstał ten wiersz mniej więcej w tym czasie co „Słówka” Boya, trochę za ledwie później :

Spód końskich pysków słychać traw szczypanie,
Komarów złoty znad moczarów dzwięczą.

Czyż można w mniejszej ilości słów zawrzeć gęstość, mięsiłość wieczornego polskiego krajobrazu? Napisał to Ludwik Eminowicz, zapomniany poeta, który (wina jego czy warunków) nie spełnił zapowiedzi młodości.

Wraca też to — może dlatego, że słyszałem to raz z muzyką jaką do „Słowa o Jakubie Szeli” Brunona Jasieńskiego napisał młody (wówczas) kompozytor :

Szumiał deszcz, płakał deszcz,
Umorusał szybki.
W ciasnej izbie świergolili
Białolili akrypki.

Czy dokładnie tak? Luka w pamięci. Tylko jeszcze strzęp chłopskiego tańca :

Tańcowała izba, stół,
Cztery konie, piąty wół...

Przychodzi też Józef Czechowicz :

Tych kijanek tych praczek
U potoczka
Kujawiak kujawiaczek
Siwe oczko śpij

Bura burza od boru
I jak bór dudni piorun
Rzucili na wodę
Złocisty kij

Przychodzą również linie „Pastorałki” Tytusa Czyżewskiego i jak obecność, zapach południowych owoców, niezapomniany, litanijny jego wiersz o hiszpańskim mieście „Zaragoza Zaragozza”.

I ta wisielcza piosenka Galczyńskiego :

Kartofle, ach kartofle
Powiedźcie Polsce mej
Ze śpi pod wami wódka
Od której sercu lżej,
Kartofle, ach kartofle,
Po czemu dziś kartofle?

Nie chcę zresztą przedłużać tej wyprawy w krainę pamięci. Już kilka przykładów wskazuje, że zwracam się z upodobaniem ku liniom które swoją uporczywość zawdzięczają oparciu o język potoczny, o piosenkę, a więc o to, co w epoce romantyzmu uważano za jedno ze znamion „poezji narodowej” a co później, w XX-tym wieku, stało się elementem regenerującym mowę zmęczoną koturnowym (i międzynarodowym) tonem.

Młodzi poeci w których pokładaliśmy nadzieje : Gajcy (pseud. Topornicki), Baczyński (pseud. Bugaj), Stroiński (pseud. Chmura) zginęli w powstaniu. Historia poezji lat wojny jest do napisania : ten chaos, to skrzyżowanie wpływu wypadków i wpływu przedwojennych prestiżów działających na wyobraźnię pokoleń, które za ledwie wyszło z ławek szkolnych, nacjonalizm ożeniony z Brzozowskim, ONR z awangardą, filozofia egzystencjalna stosowana w praktyce przez tych co nigdy o egzystencjalizmie nie słyszeli, albo umieranie w imię stronic Heideggera, który w tym samym czasie gloryfikował religię pan-germanizmu. Potem, po ostatecznej przegranej Polski dwudziestolecia, nastąpił niedługi okres rozkwitu poezji — mówię : rozkwitu, świadomy jak mało dane było nam zaznać rozkwitów w historii i jak cenić należy drobne przebliski umysłowej ruchliwości. Ten okres trwał od 1945 roku do 1948, może do 1949. Względny liberalizm, traktowany przez rządzących jako etap, był wskazany dlatego, że mieli oni inne kłopoty, a również dlatego, że poezja klasyczna przygotowywała znakomicie grunt pod planową uprawę. Czysto negatywna poezja „obrachunków inteligenckich”, gorycz zawodu, nienawiść do „londyńczyków”, doświadczenie nihilistyczne młodości — wszystko to miało i lokalne i bardziej ogólnieuropejskie znaczenie. Jeżeli Tomasz Mann przeciwstawiał w swojej „Czarodziejskiej Górze” liberała Settembriniego katolickiemu totalistom Naphcie, to poezja polska pierwszych lat po wojnie likwidowała szyderczo ich obu — a kto miał przyjść na ich miejsce?

sce? Na razie nie było odpowiedzi, było stwierdzanie, pisanie epilogu. Formalnie — pojawiało się wiele udanych, a jeszcze więcej nieudanych eksperymentów, pragnienie prostoty i komunikatywności było powszechne i już to, że naśladownictwo zachodnich „smaczków” wydawało się czymś nieskromnym, dopomogło grupie literatów którzy wcześniej dostali instrukcje od Partii w przeprowadzeniu generalnego ataku. Atak odbył się w imię wskrzeszenia wartości pozytywnych tj. odbudowy, patriotyzmu, socjalistycznego budownictwa i w imię doskonalenia rzemiosła poprzez powrót do klasycznej, jasnej formy wiersza. Nazywam okres do r. 1949 rozkwitem na tej zasadzie, że lepiej jest czasem patrzeć na chorego, zgarbionego człowieka, który pragnie rozpaczą powrotu do zdrowia, niż na tego, kto w sztywnym gorsecie ukrywa swoje kalectwo.

Mieczysław Jastrun nie należy do cyników. Komunizm, jako środek ocalenia poezji i całego kulturalnego dziedzictwa — a również ocalenia ludzkości — jest jego wiarą. W swoim sumieniu poety ma wiele drzwi na których wypisał sam: wstęp wzbroniony, ponieważ tak trzeba i ponieważ zagładanie tam psuje dyscyplinę a nawet zdolne jest przyprowadzić o rozstrój nerwowy. Jego twórczość, przygluszone przez zbyt błyszczące nazwiska przed wojną i przez chorobliwą atmosferę lat 1930-1939, zaczęła nabierać rozpędu w czasie, kiedy wróciwszy ze Lwowa, ukrywał się w okupowanej przez Niemców Warszawie. Potem wydawał tom za tomem, a równocześnie zabrał się do historii literatury, dając jako główną pozycję wielką biografię Mickiewicza. Dzisiaj jest najpoważniejszym bodaj poetą w Polsce — ten przymiotnik oznacza tutaj ciągłość wysiłku, stałą pracę nad rzemiosłem, wszechstronność zainteresowań i względną wolność od płacenia miedziakami długu należnego linii partyjnej — co możliwe jest tylko u poetów nad swoim Marksem myślących. Do problemu tradycji klasycznego polskiego wiersza przystępował z tą zwykłą sobie, nieco namaszczone, powagą.

Kiedyś, dawno przed wojną, kpili ze mnie poeci „awangardy”, że mówiąc o „klasycznym wierszu” mickiewiczowskim wycofuję się spośród „nieprzejednanych” i chcę schlebiać publiczności, która zawsze na słowo „klasyczny” mlaszcze z zachwytem. Tak się zdarzyło, że w wiele lat później moje skromne przeczcucia znalazły nowe uzasadnienie i urzędowe poparcie — i jako ironię osobistego losu muszę przyjąć, że nigdy nie ma mnie tam, gdzie coś realizuje się z tego do czego dążyłem — bo realizuje się zawsze inaczej niż w marzeniu i nabiera dla mnie cech karykatury. Kiedy w Polsce, głównie po wypowiedzi lingwistycznej Stalina, która dała „zielone światło” powrotowi do tradycji, zaczęło wiele pisać o języku narodowym, odróżniając jego główny nurt (np. Oświecenie, Mickiewicz) od bocznych rozlewisk — miałem za sobą nie tylko własne przypuszczenia

i próby, również lekturę pewnych prac nowoczesnych teoretyków wiersza. Rzecz dziwna, właśnie T.S. Eliot wprowadził rozróżnienie na „common language” i literackie dialekty: za „common language” uważał język zwykły, potoczny, najtrudniejszy do przekucia go w poezję i umiejętność władania nim przyznawał tylko nielicznym autorom żyjącym w szczególnych historycznych warunkach, wymieniając Wergilego i w Anglii (częściowo tylko) Pope’a, natomiast Milton jego zdaniem jest już „literacki”. Mybysmy powiedzieli, że pełniejszym jeszcze przykładem autora władającego mową potoczną jest Mickiewicz. Eliot głosił chwałę języka potocznego na parę dziesiątków lat przed tym nim to stało się w Polsce modne dzięki wypowiedzi Stalina i dzięki temu, że „awangardowość” języka stoi na przeszkodzie trafianiu do odbiorców, którzy powinni zostać urobieni. Gdyby „Poezat o mowie polskiej” Jastruna pojawił się przed modą literacką stworzoną na sygnał, moglibysmy mu przyznać wielką śmiałość poczynić — tak jak jest, idzie razem z innymi, starając się być dobrym wykonawcą (stwierdzając to, myślę o mało zbadanym zagadnieniu: w czym podobna i w czym różna jest „moda” w Polsce dzisiejszej i moda np. na dworze Ludwika XIV-go). Ponieważ wykonuje pewne przepisy lepiej od innych, idąc za swoim przyrodzonym popędem autora nie-buntowniczego, realizującego się w konwencji, jego wiersze są bardziej od innych godne uwagi, jeżeli porównuje się dwa okresy: 1945-1949 i 1949-1953; pierwszy — likwidacji i drugi — „pozytywny”.

W poszukiwaniu „głównego nurtu” języka narodowego rozróżnia się dzisiaj w Polsce w poezji wieku Oświecenia tendencje żywe (plebejskie, postępowe) i kanon martwy, literackich salonów. Walka Mickiewicza z „salonem warszawskim” ma ten właśnie sens, że nawiązywał do nurtu żywego a sprzeczność: pseudoklasyzm-romantyzm zostaje zastąpiona dwiema parami sprzeczności: postępowy klasycyzm z postępowym romantyzmem przeciwko reakcyjnemu klasycyzmowi i reakcyjnej odnodze szkoły romantycznej. Język dzisiejszej poezji ma odzyskać siłę przez to, że sięga się poprzez rozpadową epokę końca XIX-go i początek XX-go wieku (epokę kapitalizmu w fazie imperializmu) ku żywym tradycjom mowy. Ta poezja ma być kontynuacją zdrowych pierwiastków („common language”), które zostały najpełniej utrwalone np. u Trembeckiego, Krasickiego, Mickiewicza. Kiedy przyjmujemy taką tezę, natychmiast pojawiają się dokuczliwe pytania.

Osobiście uważam, że malarstwo realistyczne jest więcej warte od dzieł abstrakcjonistów. Czy to znaczy że mogą przyznać wyższość dzisiejszemu malarstwu Moskwy nad malarstwem Paryża? Wyrażając się inaczej, czy nie istnieją przy „powrotach” granice trudniejsze do przekroczenia niż się to wydaje i czy nawet najbardziej dialektyczne sposoby nie są gwałceniem

tych granic, z zemstą opornego materiału jako wynikiem? Sprawa nie jest bynajmniej prosta. Nie mieliby racji ci, którzy by twierdzili, że zapatrzenie w jakikolwiek wzór dawnej dobrej sztuki, zachowującej szacunek dla anatomii ciała ludzkiego a w literaturze dla przyzwoitej, zrozumiałej składni, musi prowadzić dzisiaj do bezdusznego rzemieślnictwa. Trzeba jednak być świadomym faktu, że każdy opis świata współistnieje w naszych czasach z elementami jakie przyniósł postęp techniczny ostatnich stu lat, a raczej z wielkim wszystkim poddanym ciągłej przemianie. Zmienia się rodzaj oporu i to, co kiedyś angażowało cały wysiłek artysty, traci swoją niewinność magicznego wywoływania kształtów dotychczas nieutrwalonych. Grozi na każdym kroku pastiche: to znaczy pisze się czy maluje rzecz ładną, która się podoba, bo jakżeby nie podobano się dzieło „mające głowę i nogi” ludziom znudzonym sztuką ekscentryczną? Równocześnie jednak doznanie odbiorcy jest innego rodzaju niż przy dziele które chwytalo świat rzeczywiście — np. rymowany trzynastozgłoskowiec kojarzy się z „Panem Tadeuszem”, na nim się wspiera i czytelnik łatwo może nie zauważyć, że ta sieć do łowienia barw, brył, ruchu, jaką ma być wiersz nie zawsze jest prawdziwa, czasem służy tylko do dekoracji. Jednym słowem największa wątpliwość powstaje w imię szacunku dla realizmu, dla tej pełni przedstawienia, bez której nie warto w ogóle sztuką się zajmować.

Wkład poetów aktywnych w okresie 1949-1953 jest niewątpliwy jeżeli chodzi o rzemiosło wersyfikacyjne. Postawione zostały problemy rymu klasycznego, asonansu ludowego, zaczęto tępić asonans zbyt dowolnych „podobieństw”, zwrócono uwagę na odmiany metrum, na dyscyplinę obrazu. Ważną w tych zainteresowaniach rolę odegrała praca tłumaczy. Czy jednak, chcąc nawiązać do zrozumiałej poezji przeszłości nie wpada się w znaną pułapkę? Może, negując poezję nowoczesną jako wytwór dekadencji, prześlepia się sprzeczne nurty jakie na nią się składają, chorobę i zdrowie potępia się na równi czyli „dziecko wylewa się z kąpielą”? Opowiadam się oczywiście za poezją prostą, komunikatywną; pod warunkiem jednak, że praktykuje się ją bez jej zubożania, inaczej mówiąc, pod warunkiem że jest ona możliwa i że nie przebywa się w nowym „salonie warszawskim”, głośno zapewniając że się w nim nie jest.



Pokazywałem „Poemat o mowie polskiej” Jastruna komuś, kto nie będąc Polakiem, zna jednak dobrze język polski. Dla informacji: duże wykształcenie literackie, ale poezja krajów komunistycznych zupełnie nieznana. Zapytałem o zdanie.

— To bardzo ładne. Ale to retoryka.

— Co to jest retoryka?

— To jest niedostateczność istnienia.

Z tą definicją mógłbym się może zgodzić, choć właściwie sprowadza się do sądu, że retoryka to coś niedobrego. Czy poezja

baroku — Andrzej Morsztyn na przykład — to retoryka? Sęp Szarzyński? Dzisiaj, w poezji nam bliższej rozpoznajemy retorykę po podejrzeniu jakie w nas się wkrada — podejrzeniu skierowanemu przeciwko naszemu zachwytowi nad tym co jest „ładnie powiedziane”. Retoryka pojawia się być może wtedy, kiedy sieć wiersza jest użyta „na niby”, nie po to, żeby schwycić nienazwane dotąd rzeczy i sytuację, ale aby wdzięcznie uformować to co jest już znane.

Nie zgodziłbym się natomiast, że całą twórczość Jastruna da się załatwić mianem retoryki. Splątanie pierwiastków jest tutaj duże i jeżeli stale przechyla się w znacznej części swoich wierszy ku słowom tylko, to w innych, np. o dziecku, osiąga wysoki stopień pierwotności spojrzenia. Oto wiersz „W domu”:

Odkąd wszedłeś do domu mego, synku maly,
Wszystkie w nim rzeczy, wszystkie meble odmłodniały,
Graty, lary, penaty też poweselały.
I ożyły kąci i na cztery strony
Chcą bawić się w chowanie. Tu kosz wywrócony.
Tam krzesło na poręczy stoi, książki z półek
Powyciągane, za to słysząc świr jaskółek
Za oknem. Dom wiosennym wita bałaganem
Milego gościa, który wstaje wczesnym ranem
Na niepojęte dla nas igraszki i gody.
Dziecko jutrzeńki, maly postaniec pogody:
Wśród niewidzialnych dla nas istot się porusza,
Pudełko z zapalkami, wstążka kapelusza
Bawią go, jakby żyła w nich zaklęta dusza;
Cieszy jego paluszki szklanki krawędź śliska,
Cieszy łyżeczka, która w szklanym wnętrzu błyska.
Gdybym ja tak uwielbiał ciała i przedmioty,
Gdybym miał jego oczy, jego czujny dotyk,
Jakim byłbym poetą! badaczem materii!
Gdy blask na jej powierzchni jak piana się perli,
Gdy osmala ją ciemność jak płomień bierwiona —
Dla niego każda rzecz jest na nowo stworzona,
Dla niego każde jabłko jest jabłkiem Newtona.
Sprawdza siłę ciężkości, ruch, odległość rzeczy
I tylko nie zna czasu, co wielki, człowieczy,
Już go napelnia, lecz on jeszcze nie wie o nim,
Rączkami i nóżkami, rzekłbyś, że się broni
Przed nim, co nam przynosi rozstania, spotkania
I u powiek zawiesza ciężar pożegnania —
Czas, cięższy niż powszechne prawo przyciągania
I spadania przedmiotów, nie podparty niczem.
Krwia go żywimy, otwieramy naszym życiem,
Z nami pada jak drzewo ścięte, w nas się rodzi
Na te lat kilkadziesiąt, na tysiące godzin.
Teraz wazdel w ciebie i wesoly rośnie z tobą
W domu, co jest ojczyzną twoją, twoją mową
I gwiazdką śniegu.

Wiersz ten powoduje u mnie następujące refleksje. Porównując rzemiosło poetyckie sprzed 1939 r., i Jastruna i innych poetów, z tym jakie dzisiaj umie się stosować, odkryje się całą

podejrzana eteryczność Dwudziestolecia. Pierwsza linia nawiązuje jak mi się wydaje do „Trenów” Kochanowskiego, zamiast smutnego motywu biorąc radosny. Tam: „Wielkieś mi uczyniła pustki w domu moim”, tu: „Odkąd wszedłeś do domu mego synku mały”. Poza tym filiacje mickiewiczowskie są widoczne. Mówiąc na wstępie tego artykułu, że „poeta żyje powtórzeniem”, to właśnie, ten rodzaj powtórzenia miałem na myśli — nie automatyczne naśladowanie poprzedników i nie zużycie sentymentu publiczności do autorów, których się podrabia. Związek z tradycją — pomimo wszelkich niebezpieczeństw, jest przecież niezbędny i może, jak wskazuje zacytowany przykład, być płodny. Zastanawia mnie jeszcze ton zamyślenia (kiedys recenzując Jastruna wspominano o Rilke) i niezbyt ortodoksyjne ujęcie czasu (Z nami pada jak drzewo ścięte, w nas się rodzi).

Wybrałem jeden z najlepszych wierszy w tomie, bo odczuwam niepokój ogólnej raczej natury. Nie chodzi mi o to, żeby podważać wartość poezji Jastruna. Subiektywne tło tego niepokoju tłumaczy się sytuacją potępieńca, który ogląda bramy raju. Dostojeństwo, spokój, harmonia są więc poecie dostępne — myślę sobie — a osiąga się je wtedy, kiedy nie chce się powiedzieć za wiele. Czyż ja, wychowany na dość wariackich wierzeniach o misji poety, nie popełniam błędu zbyt wygórowanych wymagań? Ronsard, Kochanowski, poeci baroku, czyż nie byli sztukmistrzami biorącymi gotowe (i uświęcone przez konwencję) tematy, poruszając się w wąskich ramach ładności społecznie uznanej? Jakaż beczelność potępiać tę mocno spróchniałą poezję dzisiejszego Zachodu, a równocześnie zarzucać tak doskonałej technice jak Jastruna niedostateczne chwytanie rzeczywistości, jeśli nie retorykę! Do czego dążę ostatecznie?

Mam jednak wynotowanych kilka wierszy Tadeusza Różewicza, jednego z tych młodych, którzy publikowali w pierwszych latach po wojnie swoje rozpaczliwe utwory. Sztuka? Nie wiem co to jest. Wiem, że czasem kilka kresek nagryzionych ręką dziecka wstrząsa nami silniej niż obrazy akademików. Wiem, że nie każdej epoce dozwolone jest osiągnąć spokojną mądrość ministra Goethego. I porównuję urwane zdania Różewicza z pełnią dojrzałego Jastruna.

Widzę szalonych którzy
chodzili po morzu
wierzyli do końca
i poszli na dno

teraz jeszcze przechylają
moją łódź niepewną

odrącam te aktywne
dłonie okrutnie żywe

odrącam rok za rokiem

Czy to jest symbolizm? Mniejsza o nazwy. Ten człowiek woła o tych co w Polsce czekali cudu, a kiedy cud nie nastąpił,

jeszcze przesładują przegraną wiarą swoich braci chcących żyć za cenę politycznego realizmu. I kto próbuje opowiedzieć treść tego wiersza, spostrzega że używa większej liczby słów niż użył sam autor. Jeżeli liczy się zamknięcie sugestywnego obrazu sytuacji historycznej w jednym, dwóch zdaniach, to Różewicz bije Jastruna: bólem i pasją. Sam obraz łodzi rozbitków nie jest niczym nowym; nabiera on jednak wyrazu, bo odrącanie (czy odrąbywanie) rąk tych co czepiają się burty jest dla Różewicza niewygasającym konfliktem sumienia. Można o tym wierszu napisać cały traktat. „Przechylają moją łódź niepewną” to inaczej się wyrażając, szukają mego towarzystwa, chcą mieć mnie ze sobą, a ja wiem, mogę się uratować tylko tępiąc to co mnie z nimi łączy. Jest to poezja zaliczana do „inteligentkich obra- chunków”, jednak bardziej powszechnych spraw dotyka niż przeżycia młodzieży z AK; mamy tu do czynienia nie z wyborem, ale z ugięciem się przed koniecznością i skomplikowane doznania w niej zawarte sprawiają, że pozostaje i świadectwem i czymś więcej niż świadectwem.

Poezji Jastruna i innych autorów „pozytywnych” (czy nie „dworskich”, z zastrzeżeniem że sztuka nadworna nie zawsze musi być zła) jest właściwe (a w każdym razie tego się wymaga) eliminowanie tragizmu, jakby przez to, że ma się zrealizować społeczeństwo idealne, zniknąć mogła śmierć, rozpacz osobista, bezsilność wobec cudzego cierpienia. Że aura społeczna jest odpowiedzialna za wiele ponurych stanów jednostki, nikt rozsądny nie będzie przeczyć. Ale nawet założywszy, że pełne więzienia i bunt robotnicze są niegodne aby poeta zapatrzonej w wizję doskonałego świata przyszłości odwracał na chwilę głowę — nawet to założywszy, twierdzić że zmianie ulegnie sama condition ludzka jest to narażać się na ryk śmiechu wszystkich demonów piekiel.

Ty będziesz miał odpowiedź na wszystkie pytania
Którą mi czas mój krótki usłyszeć zabrania

powiada Jastrun do syna. A gdzie indziej:

I podniesiony do potęgi,
Nieznanej dotąd, człowiek będzie
Czytał z powietrza żywej księgi,
Z lądów i mórz zalanych słońcem.
Jeszcze przed wiekiem tego końcem
Ogromna tęcza łuk rozłoży,
Którą już tkacz cierpliwy przędzie.

Tkacz cierpliwy: Historia przez wielkie H.

Ty znał nie będziesz, synku mały,
Ciemności co nas otaczały,
Przerażeń wojny, zawsze głodnej,
Czynów szalonych, ślepych zbrodni,
Władców podobnych do pochodni...

Rzecz jest być może w tym, żeby odważyć się tak pisać.
Co do mnie, to wiedząc, że bez nadziei człowiek nie może żyć

i że obowiązkiem pisarza jest pielegnować nadzieję, pewniebym się nie odważył. Jest więcej niż prawdopodobne, że mój syn nie znajdzie odpowiedzi na wszystkie stawiane przeze mnie pytania. Za wielkość mego czasu i zadatek na epokę moich synów skłonny jestem uważać raczej ostrą świadomość naszych ograniczeń. Nie jedno pokolenie przeminęło od chwili w której Plato stworzył swoją metaforę jaskini i bardziej niż kiedykolwiek wiemy, że jesteśmy jej więźniami. Nie znaczy to, że nie robimy postępów, choćby przez zdanie sobie sprawy jak bardzo iskra prawdy jest tworem między-ludzkim. Ale sfera tajemnicy raczej się rozszerza. Co do „władców podobnych do pochodni”... Być może, że ten właśnie (a bardzo podstawowy) element poezji Jastruna usposabia do sądów, że jest retorem. Każda retoryka ma w sobie coś na wyrost, ciało nie wypełnia ubrania.

Tymczasem jednak mniejsi ludzie, rozporządzający krótkim tylko czasem do przeżycia, oddają się swoim nie-wzniosłym zmartwieniom. Wiersz Różewicza:

Odwróciła twarz do ściany

przecież mnie kocha
dlaczego odwróciła się ode mnie

więc takim ruchem głowy
można odwrócić się od świata
na którym ćwierkają wróble
i młodzi ludzie chodzą
w jedwabnych krawatach

Ona jest teraz sama
w obliczu martwej ściany
i tak już zostanie

zostanie pod ścianą
ogromniejszą
skręconą i małą
z zaciągniętą pięścią

a ja siedzę
z kamiennymi nogami
i nie porywam jej z tego miejsca
lżejszej niż westchnienie

Ja żywy.

Bardzo chorobliwy wiersz. Jeżeli go kocha, to dlaczego odwróciła się do ściany? Tak nie powinno być. No, a jeżeli tak się zdarzy, to po co o tym pisać? Jakie to ma właściwie znaczenie i kogo to obchodzi?

Żeby porównać wiersze Jastruna o dziecku w których celuje z podobnym tematem u Różewicza:

Kanarek żółty
jak cytryna
w drucianym koszyku

babeia w czepku
złowiona
w siatkę zmarszczek

ojciec z czołem ukrytym
w chmurze dymu

chłopcy rżą
rozpuszczają grzywy na wiatr
biją kopytem
w niecierpliwą ziemię

matka chwyciła
wspaniałego rumaka
w białych szelkach
i całuje kwaśną mordkę
pełną szczawiu.

Pierwsza połowa wiersza jest moim zdaniem słaba. Ale dwie ostatnie zwrotki są bardzo dobre. Nie tylko jest tu obraz zabawy w której chłopcy naprawdę są końmi; również ukazuje się stosunek matki do dzieci, matka jest realna w swoim ruchu, bardziej niż gdyby, wzorem Jastruna, zostały opisane obszernie jej myśli. I kto wie, czy nie wolę widzieć taki skrót, niż szlachetną miłość do dziecka jako państwowotwórcze uczucie.

Poezja Różewicza została zahamowana w rozwoju przez wymagania urzędowe, Jastrun o nim i o wszystkich którzy chcieli uratować sztukę poetycką niedostatecznie poważną, mógłby powiedzieć, że „przechylają jego łódź niepewną”.



Każda pliszka swój ogon chwali. Ponieważ tak czy inaczej jestem związany z okresem „likwidacyjnym”, w nim tylko dopatruję się wartości, tak jak „dobre czasy” dla podtatusiałego jegomościa to te w których był wodzirejem. Ale nie obawiam się takich posądzeń. Okres 1945-1949 jest pogrzebany na zawsze, jak pogrzebany jest Skamander, „awangarda”, poezja młodych okupacyjnej Warszawy. Sztuka nie może powstawać poza czasem, nie jest wolna od piętna, styl, język, gatunek wrażliwości (i niewrażliwości) znaczą ją datą i miejscem. Jednak czas to nie wszystko i cofająca się na zawsze fala jakiegoś okresu zostawia na brzegu kilka drogocennych substancji, nie tylko drzewo rozbitych okrętów. Istnieją artystyczne osiągnięcia, które są uwarunkowane zdechlizną, powstają jako protest przeciwko niej, jako bunt zdrowia, albo nawet jako przetworzenie zdechlizny w coś, co nią już nie jest. To właśnie myślę o niedalekiej przeszłości, martwiąc się, że zbyt liczni są ci co naśladują minione — i nie chcąc być do nich podobnym. Jeżeli używałem Różewicza do porównań, to dlatego, że nie wiele mam do rozporządzenia przykładów aby je przeciwstawić potokowi gładkich wierszy opiewających wzniosłe chęci. Wolałbym móc zacytować dużą

ilość nazwisk, cały Parnas pochlebnie opisać — niestety laury dziś rozdane budzą we mnie raczej ochotę, żeby uwolnić się od ich sugestii, co może jest przedszkolem wszelkiej krytyki.

Przewrót jaki odbywa się dzisiaj w polskiej mowie poetyckiej można chyba porównać z inwazją łaciny, która trzebiła słowiańsko-pogańską przeszłość i polszczyźnie narzucała swoją syntaksę. Wbrew twierdzeniom, że restytuuje się „główny nurt” języka narodowego, mamy tu do czynienia z jeszcze jednym literackim dialektem, wszechwładnym, by odstępstwo od niego zostało utożsamione z opozycją polityczną. Dwudziestolecie też miało swoją konwencję, jeden czy kilka takich „literackich dialektów”, jednak byli świadomi artyści, którzy szukali sposobów, żeby ich nie używać, podobnie jak poprzednio Boy w „Słówkach” plątał figle Młodej Polsce. Józef Czechowicz dobierał swoją linię ciągłości w poezji mieszczańskiej siedemnastego wieku, w pieśni ludowej, w Lenartowiczu; Tytus Czyżewski w barwie jasełkowych widowisk; Gałczyński, anty-kosmopolita, używając dzisiejszej terminologii, przetapiał w swój polski barok cokolwiek ze świata pozbierał. Oprócz „lipy w wysokim stylu” były te odnowienia — próbą odkrycia „common language” na jaki epokę było stać.

Władza literackiego dialektu ma to do siebie, że wylamanie się z pewnego żargonu uchodzi w krytyce i historii literatury za nieprzyzwoite („nienaukowe”), a w poezji odejście od wzorów przepisanych wygląda wtedy na niepotrzebne fantazjowanie („nie-realistyczne”). Z jakimkolwiek jednak podziwem odniesiemy się do Kajetana Koźmiana i jego „tysiąca wierszy o sadzeniu grochu”, nie możemy nie uznać że ta, na znakomitych wzorach oparta, sztuka rymotwórcza wiele pozostawia do życzenia i że „Georgiki” Wergilego są prawdopodobnie bardziej autentyczne. W poprzednim numerze „Kultury” znalazłem reprodukcje obrazów amerykańskiego malarza Ben Shana (którego wystawę nb. starałem się swego czasu zorganizować w Polsce). Oglądając je, wolno się zastanowić czy język porozumienia malarza z widzem, poety z czytelnikiem, język naprawdę realistyczny, jest dziś do pomysłenia bez elementów ironii, sarkazmu, refleksji współczesnej — tego wszystkiego co poetom, którzy jak Jastrun, tworzą w służbie optymizmu, jest niedostępne. Szkoda jaka wynika z tego dla całej przyszłości mowy polskiej jest duża, bo istnienie zjawisko automatyzmu literackich chwytów i młodzież wychowywana na tych wzorach zapomina stopniowo, że poezja jest nie tylko sprawą pięknej kompozycji, ale również prawdy zdobywanej w samodzielnych bojach. Co stanowi i stanowić będzie psychologiczną przeszkodę w formowaniu się rzeczywistego „common language”.

Czesław MIŁOSZ

Fragmenty dziennika

Poniedziałek.

Po 16-godzinnej, wcale znośnej jeździe autobusem z Buenos Aires (gdymy nie tanga, którymi ział głośnik!) — zielone wzgórza Salsipuedes i ja wśród nich z książką Miłosza pod pachą, której tytuł „Zniewolony Umysł”. Wobec tego, że wczoraj lało, dziś dobiegam z lekturą do końca. A więc to wam było sądzone, taki los wasz, taka droga, dawni znajomkowie, przyjaciele, towarzysze z Ziemiańskiej lub z Zodzaku — tu ja — tam wy — tak to wszystko się określiło, tak — zdemaskowało. Miłosz opowiada historię bankructwa literatury w Polsce gładko i jadę jego książką poprzez ten cmentarz potoczyście i równo, jak za przedwczoraj autobusem po wyasfaltowanej szosie.

Przerażający asfalt! Nie przeraża mnie, że tempora mutantur, przeraża mnie, że nos mutamur in illis. Nie przeraża mnie zmiana warunków życia, upadek państw, zagłada miast i inne gejzery niespodzianek, tryskające z łona Historii, ale to, że facet, którego znałem jako Ikksa, nagle staje się Igrekiem, zmienia sobie osobowość jak marynarkę i zaczyna działać, mówić, myśleć, czuć wbrew sobie samemu, napelnia mnie lękiem i zażenowaniem. To okropny bezwstyd! To śmieszny zgon! Stać się gramofonem, w który wsadzono płytę z napisem „His master's voice” — głos mojego pana? Cóż za groteskowy los tych pisarzy!

Pisarzy? Oszczędzilibyśmy sobie wielu rozczerowań nie nazywając „pisarzem” każdego, kto potrafi „pisać”... Znałem tych „pisarzy” — były to osoby przeważnie niegłębokiej inteligencji i dość szczupłych horyzontów, które za mojej pamięci nie stały się kimś... wobec czego dziś nie mają właściwie z czego rezygnować. Te trupy odznaczały się za życia następującą właściwością: iż łatwo przychodziło im fabrykować swoje oblicze moralne i ideologiczne, zyskując w ten sposób pochwałę krytyki i poważniejszego odłamu czytelników. Ani przez pięć minut nie wierzyłem w katolicyzm Jerzego Andrzejewskiego, a po prze-

czytaniu kilku stron jego powieści powitałem w kawiarni Zdzisław jego cierpiętniczą i uduchowioną twarz miną tak wątpliwą, iż obrażony autor natychmiast zerwał ze mną stosunki — ale i katolicyzm i cierpienia i książka zostały przyjęte okrzykami „hosanna” przez naiwniaków, biorących odgrzewaną siekaninę za krwisty befszytk z połówicy. Rozpijaczony nacjonalizm Gałczyńskiego, zresztą naprawdę utalentowanego, tyleż był wart co intelektualizmy Ważyków, czy też ideologia grupy „Prosto z mostu”. W kawiarniach warszawskich podobnie jak w kawiarniach całego świata, istniało wówczas zapotrzebowanie na „ideę i wiarę”, wobec czego pisarze z piątku na sobotę zaczynali wierzyć w to lub w tamto. Co do mnie, zawsze uważałem to za dzieciństwo; a nawet udawałem że mnie to bawi, choć w głębi serca strach mnie zdejmował na widok tego wstępu do późniejszej Wielkiej Maskarady. Wszystko to było przede wszystkim tanie i nie mniej tania była, w większości wypadków, ckliwa ludzkość rozmaitych kobiet, poetyckość Tuwima i grupy Skamandra, wynalazki awangardy, szaty estetyczno-filozoficzne Peiperów, Braunów, oraz inne objawienia życia literackiego.

Duch rodzi się z imitacji ducha i pisarz musi naprzód udawać pisarza, aby w końcu stać się pisarzem. Literatura przedwojenna w Polsce była z małymi wyjątkami niezłą imitacją literatury, ale na tym koniec. Ci ludzie wiedzieli jaki powinien być wielki pisarz — „autentyczny” — „głęboki” — „konstruktywny” — więc skwapliwie starali się spełnić te postulaty; ale psuła im zabawę świadomość, że to nie ich własna „głębia” i „wzniosłość” prze ich do pisania, ale że — na odwrót — wytwarzają w sobie owe głębie, aby być pisarzami. Tak dokonywał się ten subtelny szantaż wartościami i już nie wiadomo było czy ktoś nie głosi pokory po to jedynie, aby się wywyższyć i wybić, lub czy ktoś nie głosi bankructwa kultury i literatury po to, aby stać się dobrym literatem. Im większy zaś był wśród tych istot, spletnych własnymi sprzecznościami, głód prawdziwej i czystej wartości, tym bardziej rozpaczliwe stawało się poczucie nieuchronnej i z zewsząd napierającej tandety. O, te inteligencje wypracowane, poziomy wysrubowane, subtelności wyciągane za włosy, męki duszne dla czytelników! Jeden tylko był środek, ażeby wydostać się z tego piekła: ujawnić rzeczywistość, obnażyć cały ten mechanizm i lojalnie uznać prymat ludzkiego przed boskiem — lecz tego właśnie bała się i nie tylko nasza literatura, do tego za nic nie chcieli przyznać się literaci — choć to jedynie mogło ich uzbroić w nową prawdę i szczerość. Oto powód dla którego polska literatura przedwojenna coraz bardziej stawała się naśladownictwem. Ale zacny narodek, który ją brał na serio, bardzo zdziwił się widząc, jak jego „czołowi pisarze”, przyparciu do muru przez moment dziejowy, poczęli zmieniać skórę, przyswoili sobie gładko nową wiarę i w ogóle zaczęli tańczyć, jak im zagrano. Pisarze! Lecz właśnie w tym sęk, że byli to pisarze którzy za nic nie chcieli przestać być pisarzami, gotowi do najbardziej heroicznych poświęceń, aby tylko utrzymać się przy swym pisarstwie.

Wcale nie twierdzę, że ja, gdybym został poddany tym samym, co oni, ciśnieniom, nie zrobiłbym tej samej plajty i nawet uważam to za bardzo prawdopodobne — ale przynajmniej nie wyglubiłbym się, jak oni, gdyż byłem szerszy w stosunku do siebie samego i mnie te absolutne wartości tak obficie nie doływały się z gardła. Wówczas, w rojnych i gwałtownych kawiarniach Warszawy, już jakbym przeczuwał zbliżający się dzień konfrontacji, ujawnienia i obnażenia, wskutek czego wołałem na wszelki wypadek unikać frazesów. A jednak nie wszystko jest bankructwem w tym bankructwie i dziś w książce Miłosza skłonny jestem szukać raczej nowych możliwości rozwoju niż znamion ostatecznej katastrofy. Interesuje mnie pytanie: jak dalece te ponure doświadczenia mogą zapewnić pisarzom Wschodu wyższość nad ich zachodnimi kolegami.

Albowiem jest pewne, że, w swoim upadku, górują oni w jakiś specjalny sposób nad Zachodem i Miłosz niejednokrotnie podkreśla swoją siłę i mądrość, jaką zdolna jest zapewnić szkoła fałszu, terroru i konsekwentnej deformacji. Lecz Miłosz sam jest ilustracją tego swoistego rozwoju, gdyż jego spokój, potoczyste słowo, które z tak śmiertelnym spokojem przypatra się temu, co opisuje, ma smak pewnej specyficznej dojrzałości, nieco odmiennej od tej, która zakwita na Zachodzie. Powiedziałbym, że w swojej książce Miłosz walczy na dwa fronty: tu idzie nie tylko o to, aby w imię kultury zachodniej potępić Wschód, lecz także o to, aby Zachodowi narzucić własne, odrębne przeżycie, stamtąd wyniesione, i swoją nową wiedzę o świecie. I ten pojedynek, już nieomal osobisty, polskiego nowoczesnego pisarza z Zachodem, gdzie gra toczy się o wykazanie własnej wartości, siły, odrębności, jest dla mnie ciekawszy niż analiza spraw komunizmu — która, choć wyjątkowo przenikliwa, nie może już wnieść elementów absolutnie nowych.

On sam, Miłosz, kiedyś powiedział coś w tym rodzaju: że różnica pomiędzy intelektualistą zachodnim a wschodnim na tym polega, iż pierwszy nie dostał dobrze w d... W myśl tego aforyzmu atut nasz (włączam w to i siebie) stanowiłoby, że jesteśmy przedstawicielami kultury *zbrutalizowanej*, a więc bliższej życia. Ale Miłosz sam doskonale zna granice tej prawdy — i byłoby żalodne, gdyby nasz prestiż miał zasadzać się wyłącznie na tej zbitej części ciała. Gdyż zbita część ciała nie jest częścią ciała w stanie normalnym, a filozofia, literatura, sztuka muszą być jednak na użytek osób, którym nie powybijano zębów, nie podbito oczu i nie zwichnięto szczęki. I patrzcie na Miłosza, jak on — jednak — usiłuje przystosować swe zdziwienie do wymogów wyrafinowania.

Duch i ciało. Bywa że wygody cielesne wzmagają ostrość duszy i za zacisznymi firankami, w dusznym pokoju burzą się surowość, o jakiej nie śniło się tym, którzy z butelkami rzucali się na tanki. A zatem nasza kultura zbrutalizowana przydałaby się tylko wówczas, gdyby stała się czymś przetrwającym, nową postacią prawdziwej kultury, przemyślanym i zorganizowanym wkładem naszym w ducha uniwersalnego.

Pytanie : czy Miłosz, czy literatura polska na wolności, są w stanie spełnić choć w części ten program?

Piszę to wszystko w moim pokoiku i muszę już kończyć, gdyż kolacja czeka na mnie w pensjonacie Las Delicias. Żegnaj więc chwilowo, dzienniczku mój, wierny psie mej duszy — ale nie wyj — pan twój wprawdzie wydała się, ale powróci.

Sroda.

Od pewnego czasu (i, być może, wskutek monotonii mojej tutaj egzystencji) ogarnia mnie ciekawość, której nigdy dotąd nie doświadczałem z tak wydestylowaną intensywnością — ciekawość, co zdarzy się za chwilę. Przed nosem moim — mur ciemności, z którego wylania się najbardziej bezpośrednie zaraz jak groźne objawienie. Za tym rogiem... co będzie? Człowiek? Pies? Jeżeli pies, jakiego kształtu, jakiej rasy? Siedzę przy stole i za chwilę objawi się zupa, ale... jaka zupa? To tak zasadnicze doznanie nie zostało dotąd należycie opracowane przez sztukę, człowiek jako instrument przetwarzający Niewiadome w Wiadome, nie figuruje w liczbie jej naczelných bohaterów.

Skończyłem książkę Miłosza.

Niezmiennie pouczająca i pobudzająca lektura dla nas wszystkich, dla literatów polskich — także wstrząsająca. Bez przerwy prawie myślę o tym, gdy jestem sam, i coraz mniej mnie interesuje Miłosz-obronca zachodniej cywilizacji, a coraz bardziej Miłosz-przeciwnik i rywal Zachodu. Tam, gdzie on usiłuje być odmienny od zachodnich pisarzy, jest dla mnie najważniejszy. Wyczuwam w nim to samo, co we mnie tkwi, to jest niechęć i lekceważenie w stosunku do nich, zmieszane z gorzką bezsilnością. Zestawienie Miłosza z Claudelem, na przykład, albo z Cocteau, albo nawet z Valerym, dziwne nasuwa wnioski. Oto zdawałoby się, że pisarz polski, ten kolega Andrzejewskiego i Gałczyńskiego, bywalec Ziemiańskiej, dysponuje większym zasobem realizmu i bardziej jest „nowoczesny” i, w dodatku, bardziej swobodny duchowo, bardziej otwarty na rzeczywistość i bardziej wobec niej lojalny; a dalej odnosi się wrażenie, że jest może bardziej jeszcze samotny; a dalej, że odrzucił resztki tych złudzeń, jakich czepiają się jeszcze zachodni wieszczowie (gdyż Valery, choć całkowicie wyprany z iluzji, nie przestał jednak być człowiekiem związanym z pewnym środowiskiem i z pewnym ładem społecznym — a Miłosz jest zupełnie wysadzony z siodła). Więc można by sądzić, że owa zbrutalizowana kultura dostarcza — i nie byle jakich — przewag. Lecz to wszystko jak gdyby niedoprowadzone do końca, niedopowiedziane, nieskonsolidowane i brak nam może tego ostatecznego uświadomienia, które by nadało pełną odrębność i siłę naszej prawdzie. Brak nam klucza do naszej zagadki.

Jak drażni niejasność naszego stosunku do Zachodu! Polak, konfrontujący się ze światem wschodnim, jest Polakiem określonym i z góry wiadomym. Polak, zwrócony twarzą na

Zachód, ma mętne oblicze, pełne niejasnych gniewów, niedowierzenia, tajemnych zadrażeń.

Czwartek.

Pada deszcz i jest dosyć zimno. Wobec czego przez cały dzień czytałem Braci Karamazow w znakomitym wydaniu, obejmującym także listy i komentarze Dostojewskiego.

Piątek.

Poczta. R. przysłał mi listy i pisma, wśród nich ostatnia „Kultura”. Dowiaduję się z niej, że Miłosz otrzymał Prix Europeen za powieść, której nie znam: *La prise du pouvoir*. W tej samej „Kulturze” — uwagi Miłosza o „Ślubie i Trans-Atlantyku”.

Sobota.

Większość nielicznych listów, które odbieram ex re Trans-Atlantyku, nie jest ani wyrazem protestu z powodu „obrazy najświętszych uczuć”, ani polemiką, ani nawet komentarzem. Nie. Jedynie dwa potężne zagadnienia trapią tych czytelników: jak śmiem pisać słowa z dużej litery w środku zdania? Jak śmiem używać słowa g...?

Co myśleć o poziomie intelektualnym i wszelkim innym poziomie osoby, która dotąd nie wie, że słowo zmienia się zależnie od tego, jak jest użyte — że nawet słowo „róża” może stać się niepachnące, gdy jawi się na ustach pretensjonalnej estetyki, a nawet słowo „g...” może stać się doskonale wychowane, gdy posługuje się nim świadoma swych celów dyscyplina?

Ale oni czytają dosłownie. Jeśli ktoś używa wzniosłych słów — szlachetny; jeśli krępkich — silny; jeśli ordynarnych — ordynarny. I ta tępa dosłowność panoszy się nawet na najwyższych szczeblach społeczeństwa — więc jakże marzyć o literaturze polskiej na szerszą skalę?

Wtorek (w dwa tygodnie później, po powrocie do Buenos Aires).

Otrzymałem list od Miłosza, w którym zawiera się następująca krytyka Trans-Atlantyku.

„Przy okazji chcę podzielić się z panem myślą o pana piśnieniu. Chwilami mam wrażenie, że postępuje pan jak Don Quijote, który nadawał życie swoiste wiatrakom i baranom. Z perspektywy krajowej (czy w ogóle tego bicia, jakie się dostało) „Polacy”, których pan próbuje wyzwolić z polskości, są biednymi cieniem o niezwykle słabym stopniu istnienia... Inaczej mówiąc, postępuje pan czasami jakby tamto tj. cała ta likwidacja, straszliwie skuteczna, tam w Polsce, nie istniała, jakby Polskę zmiotł kataklizm księżycowy, a pan przechodził ze swoją

odrazą do niedojrzałej, prowincjonalnej Polski sprzed 1939 roku. Być może rozprawianie się na własną rękę jest potrzebne, a nawet konieczne, tylko że dla mnie to są ludzie zbyt gruntownie już rozprawionych. To bardzo trudne zagadnienie, które polega na tym, że marksizm likwiduje (na tej zasadzie, na jakiej np. zburzenie miasta likwiduje spory małżeńskie, troski o meble itd.)"

"Ale tu jest jakaś nihilistyczna pułapka i przebywamy pomiędzy chęcią przemawiania do ludzi w Polsce tj. tworzenia jakiejś formacji post-marksistowskiej (która musi marksizem prze-trawić i wchłonąć) a chęcią zupełnie własnej, samodzielnej myśli (która nie może liczyć się z temperaturą tam, w krajach podbitych, panującą, realną jednak i zmieniającą zarówno przeszłość jak przyszłość). Kiedy pana czytam, zawsze o tej sprawie myślę..."

Na co odpisałem :

"Drogi panie Czesławie,

"Jeśli dobrze zrozumiałem, pan wysuwa przecieś „Trans-Atlantykowi” dwa zastrzeżenia : że rozprawiam się z Polską sprzed r. 1939, która się ulotniła, pomijając Polskę obecną, Polskę rzeczywistą; i że myśl moja zaledwie, jak kot, chodzi własnymi drogami, że ja mam swój świat, który może się wydać chimeryczny albo przestarzały”.

"Ale, jak słusznie pan mówi, ocenia pan tę sprawę z perspektywy krajowej. A ja nie mogę widzieć świata inaczej, jak tylko z własnej perspektywy”.

"Ażebym wprowadzić pewien ład w moje uczucia, postanowiłem sobie (i już bardzo dawno) że będę pisał tylko o własnej rzeczywistości. Nie mogę pisać o Polsce obecnej, ponieważ jej nie znam. Ten „pamiętnik” jakim jest mój „Trans-Atlantyk”, dotyczy przeżyć moich z roku 1939, w obliczu ówczesnej polskiej katastrofy”.

"Czy takie rozprawianie się z Polską przeszłą może być ważne dla Polski obecnej? Wspomina pan w liście don Kiszota — a ja myślę sobie, że Cervantes pisał don Kiszota, aby rozprawić się ze słynnymi romansami rycerskimi swojego czasu, z których nie zostało ani śladu. A don Kiszot pozostał. Z czego nauka taka, i dla skromniejszych autorów, że o rzeczach przemijających można pisać w sposób nieprzemijający”.

"Poprzez Polskę z 1939-go „Trans-Atlantyk” celuje we wszystkie Polski teraźniejszości i przyszłości, gdyż mnie idzie o przewyższenie formy narodowej, jako takiej, o wypracowanie dystansu do wszelkiego „stylu polskiego”, jakoby on nie był. Dziś Polacy w Kraju też poddani są pewnemu „stylowi polskiemu”, który tam rodzi się pod presją nowego życia zbiorowego. Za 100 lat, jeśli pozostaniemy narodem, wytworzą się wśród nas inne formy i późny wnuk mój będzie się buntował przeciw nim, podobnie jak dziś ja się buntuję”.

"Atakuję formę polską, ponieważ to jest moja forma... i ponieważ wszystkie moje utwory pragną być w pewnym sensie (w pewnym — bo to tylko jeden z sensów mojego nonsensu) rewizją stosunku współczesnego człowieka do formy — formy, która nie wynika bezpośrednio z niego, tylko tworzy się „między” ludźmi. Nie potrzebuję chyba panu mówić, że myśl ta wraz ze wszystkimi jej rozgałęzieniami jest dzieckiem czasów dzisiejszych, w których ludzie z całą świadomością przystąpili do formowania człowieka — a mnie się zdaje nawet, że jest kluczem dla dzisiejszej świadomości”.

"Ale, choć nic nie przeraża mnie bardziej, niż anachronizm, wolę nie wiązać się zaledwie z hasłami dnia dzisiejszego, które zmieniają się szybko. Uważam, że sztuka powinna trzymać się raczej z dala od sloganów i szukać własnych dróg, bardziej osobistych. W utworach artystycznych najbardziej mi się podoba to tajemnicze odchylenie, które sprawia, że utwór, przylegając do swojej epoki, jest jednak dziełem wyodrębnionej jednostki, żyjącej własnym życiem”...

Podaję tę wymianę listów, aby wprowadzić czytelnika w rozmowy takich jak Miłosz i ja literatów, szukających — każdy po swojemu — swojej linii pisarskiej. Muszę jednak uzupełnić to pewnym komentarzem. List mój do Miłosza byłby o wiele szerszy i pełniejszy, gdybym zawarł w nim tę prawdę, że mnie bynajmniej tak bardzo na tych tezach, drogach, problemach nie zależy; że wprowadzić zajmuję się tym, ale raczej od niechcenia; a w gruncie rzeczy jestem przede wszystkim dziecinny... Czy Miłosz także jest przede wszystkim dziecinny?

Sroda.

Miłosz jest pierwszorzędną siłą. To pisarz o jasno określonym zadaniu, powołany do przyspieszenia naszego tempa, abyśmy nadążyli epoce — i o wspaniałym talencie, znakomicie przystosowany do wypełnienia tych przeznaczeń swoich. Posiada on coś na wagę złota, co nazwałbym „wołą rzeczywistości”, a zarazem wycucie punktów drastycznych naszego kryzysu. Należy do nielicznych, których słowa mają znaczenie (jedyne co może go zgubić, to pośpiech).

Ale pisarz ten przetworzył się obecnie w specja od Kraju, a zatem i od komunizmu. Tak jak rozróżniłem Miłosza Wschodniego i Zachodniego, tak też może należałoby zrobić rozróżnienie między Miłoszem-pisarzem „absolutnym”, a Miłoszem-pisarzem obecnego tylko momentu dziejowego. I właśnie Miłosz Zachodni (to jest ten, który w imię Zachodu osądza Wschód) jest Miłoszem mniejszego kalibru i bardziej doraźnym. Miłoszowi Zachodniemu można postawić szereg zarzutów, które dotyczą właściwie całego tego odłamu literatury dzisiejszej, żyjącej jednym tylko problemem : komunizm.

Pierwszy zarzut taki : że oni przesadzają. Nie w tym znaczeniu że wyolbrzymiają niebezpieczeństwo, ale w tym, że na-

dają tamtemu światu cechy demonicznej nieomal wyjątkowości, czegoś niebywałego a zatem i zaskakującego. A to podejście nie da się pogodzić z dojrzałością — która, znając istotę życia, nie pozwala się zaskoczyć jego zdarzeniom. Rewolucje, wojny, kataklizmy — cóż znaczy ta pianka w porównaniu z fundamentalną grozą istnienia? Mówicie, że dotychczas czegoś podobnego nie było? Zapominacie, że w najbliższym szpitalu dzieją się niemniejsze okrucieństwa. Mówicie, że giną miliony? Zapominacie, że miliony giną bez przerwy, bez chwili wytchnienia, od początku świata. Przeraża was i zdumiewa tamta groza, ponieważ wyobraźnia wasza zasnęła i zapominacie, że o piekło ocieramy się na każdym kroku.

Jest to ważne — gdyż komunizm może być skutecznie osądzony tylko z punktu widzenia najsurowszej i najgłębszej egzystencji, nigdy — z punktu widzenia życia powierzchownego i złagodzonego — mieszczańskiego. Ponosi was, właściwa artystom, chęć wyjaskrawienia obrazu, nadania mu możliwie największej wyrazistości. Stąd literatura wasza jest wyobrazieniem komunizmu i buduje w wyobraźni zjawisko tak potężne i tak wyjątkowe, iż nie wiele brakuje, abyście padli przed nim na kolana.

Pytam więc, czy nie byłoby zgodniejsze z historią i z naszą wiedzą o świecie i człowieku, gdybyście potraktowali ten świat z kurtyny nie jako świat nowy, niesłyszany, demoniczny, lecz tylko jako zaburzenie i spaczenie zwyczajnego świata; i gdybyście nie zatracali właściwej proporcji pomiędzy tymi konwulsjami wzburzonej powierzchni a nieustannym, potężnym i głębokim życiem, które toczy się pod spodem?

Drugi zarzut: sprowadzając wszystko do tej jednej antynomii pomiędzy Wschodem a Zachodem musicie — bo jest nieuniknione — ulec schematom, które sami stwarzacie. I tym bardziej, że niepodobna rozróżnić co jest w was dążeniem do prawdy a co dążeniem do mobilizacji psychicznej w tej walce. Nie chce powiedzieć przez to, że uprawiacie propagandę — chce powiedzieć, że odzywają się w was głębokie instynkty zbiorowe, które dziś każą ludzkości skupiać się na jednym tylko zagadnieniu, przygotowywać się do jednego tylko boju. Płyniecie z prądem wyobraźni masowej, która już stworzyła sobie swój język, swoje pojęcia, obrazy i mity, i prąd ten unosi was dalej niżbyście pragnęli. Ile jest w Miłoszu z Orwella? Ile w Orwello z Koestlera? Ile w nich obu z tych tysięcy i tysięcy słów, które dzień w dzień produkują — na ten sam temat — maszyny drukarskie, co bynajmniej nie jest sprawą dolara amerykańskiego, ale wynika z samej natury naszej, która życzy sobie świata zdefiniowanego? Bezmiar i bogactwo życia streszcza się w was do kilku zagadnień i operujecie koncepcją świata uproszczoną, koncepcją o której doskonale wiecie, że jest tymczasowa.

Otóż wartość czystej sztuki polega na tym, że ona rozbija schematy.

A trzeci zarzut jest jeszcze bardziej dotkliwy: komu pragniecie służyć? Jednostce czy masie? Gdyż komunizm to coś,

co podporządkowuje człowieka zbiorowości ludzkiej, z czego wniosek, że najesencjonalniejszym sposobem walki z komunizmem jest wzmocnienie jednostki przeciw masie. A jeśli jest aż nadto zrozumiałe, że polityka, że prasa, że literatura doraźna i obliczona na praktyczny efekt pragną wytworzyć siłę zbiorową zdolną do walki z Sowietami, to jednak zadanie sztuki poważnej jest inne — i ona albo pozostanie na wieki tym czym była od początku świata, to jest głosem jednostki, wyrazicielem człowieka w liczbie pojedynczej, albo zginie. W tym sensie jedna strona Montaigne'a, jeden wiersz Verlaine'a, jedno zdanie Prousta są bardziej „antykomunistyczne” niż oskarżający chór jaki stanowicie. Są swobodne — są wyzwalające.

I wreszcie czwarty zarzut: sztuka prawdziwie ambitna (gdyż te zarzuty nie dotyczą byle kogo, ale jedynie twórców o aspiracjach na wysoką miarę, tych którzy nie rezygnują z miana artystów) musi wyprzedzać swój czas, być sztuką jutra. Jak pogodzić to kapitalne zadanie z aktualnością, to jest z dzisiejszością? Artyści są dumni, że ostatnie lata niezmierznie poszerzyły ich wyobrażenie o człowieku — i do tego stopnia, że w porównaniu z tym niedawno zmarli autorzy wydają się naiwni — lecz wszystkie te prawdy i półprawdy zostały im dane po to jedynie, aby je przezwyciężyli i odkryli inne, które za nimi się kryją. Sztuka zatem musi być burzycielką dzisiejszych pojęć w imię pojęć nadchodzących. Ale te nowe, nadchodzące smaki, jutrzejsze uczucia, czekające nas stany duchowe, koncepcje, emocje — jakże mogą urodzić się pod piórem, które dąży jedynie do konsolidacji dzisiejszej wizji, dzisiejszych sprzeczności? Uwagi, jakie Miłosz zamieścił w „Kulturze” o moim dramacie stanowią niezłą tego ilustrację. Dostrzegł on w „Ślubie” to co jest „na czasie” — rozpacz i jęk wskutek poniżenia godności ludzkiej i gwałtownego krachu cywilizacji — ale nie dostrzegł jak dalece rozkosz i zabawa czają się za ową dzisiejszą fasadą, gotowe w każdej chwili wywyżczyć człowieka ponad jego klęskę.

Stopniowo zaczynamy się przesycić dzisiejszymi uczuciami. Symfonia nasza zbliża się do momentu, w którym wstaje baryton i intonuje: bracia, rzućcie swe pieśni, inne niech zabrzmiały tony! Ale śpiew przyszłości nie urodzi się pod piórem, za nadto związanym z czasem teraźniejszym.

Byłoby głupie, gdybym występował z pretensjami do ludzi, którzy, widząc pożar, uderzają w dzwony. Nie takie są moje intencje. Ale mówię: niech każdy robi to, do czego jest powołany i uzdolniony. Literatura ciężkiego kalibru musi strzelać na daleką metę i dbać przede wszystkim o to, aby nic nie osłabiło jej zasięgu. Jeśli chcecie aby pocisk daleko zaleciał, musicie lufę skierować do góry, na pozór o wiele wyżej waszego celu.

Piątek.

Nowy numer „Wiadomości”, a w nim mój „Bankiet”. Oraz „pochlebny” artykuł o Miłoszu. Czytam: „Zniewolony Umysł” to wielkie odpompatycznienie literatury emigracyjnej. Dalej:

pewne rozdziały Miłosza „ze znanych mi rzeczy przypominają mi najbardziej sposób pisanie Prousta, tylko że są od dzieł Prousta lepsze”. Dalej taki ustęp: „Reszta rozdziałów — to teorie historyczno-ekonomiczno-filozoficzne wyraźnie przerastające zasób wiedzy autora. To aforyzmy doskonale wypowiedziane, którym brak podstaw wiedzy i nauki: pretensje tej książki wyrastają o wiele ponad jej wartość realną”.

Obawiam się, że pretensje tej recenzji wyrastają o wiele ponad jej wartość realną. Jeśli literatura emigracyjna jeszcze potrzebuje „odpompaticznienia” i jeśli to ma być główna zasługa Miłosza, to... no to lepiej nie wspominać o Prouście, który bądź co bądź ma na głowie mniej elementarne kłopoty. Ale w ogóle zestawienie Miłosza z Proustem jest zdolne wprowadzić czytającego w pomieszanie wszystkich zmysłów i wydrzeć mu okrzyk w rodzaju: co ma piernik do wiatraka? Co ma kur do indyka?

To jednak mniej ważne. Godniejszy uwagi jest trzeci passus przeze mnie cytowany. Któż, panie Mackiewicz, z literatów, któż z ludzi wykształconych, któż z mędrców nawet posiada w należytym komplecie te „podstawy wiedzy i nauki”? Czy nie jest tak, że biblioteki nasze przerosły naszą pojemność, że wszyscy jesteśmy mniej lub więcej ignorantami i że jedyne co nam pozostaje, to z najlepszą wolą posługiwać się tym zasobem wiedzy, jaki posiadamy. A więc człowiek wybitnej inteligencji, jak Miłosz, nie ma prawa opowiedzieć po prostu swych najbardziej osobistych przeżyć, ani szukać w nich tej prawdy, na jaką go stać, aby mu nie powiedziano, że jest pretensjonalny, że jest zarozumiały i ignorant? W szóstej klasie byłem członkiem Klubu Dyskusyjnego i przypominam sobie, że to były najbardziej mordercze zarzuty — tym bardziej mordercze, iż jak piłka były odsyłane z powrotem: — To nie ja, to ty jesteś zarozumiały ignorant!

I skąd on wyciągnął to o teoriach historyczno-ekonomiczno-filozoficznych, które rzekomo stanowią większą część książki? Zaprawdę, pisze się o książkach byle co.

Stosunek mój do „Wiadomości” (także do „Kultury”) i do St. Mackiewicza jest skomplikowany. „Wiadomości” uważam za znakomity i niezwykle pożyteczny tygodnik, a Mackiewicza czytam z najwyższą przyjemnością, nawet gdy mnie drażni — ale przygniatająca łatwość z jaką publicystyka literacka rozprawia się z literaturą pobudza mnie do oporu. W samej naturze prasy literackiej zawiera się coś co literaturze musi stanąć kością w gardle.

Czwartek.

Kiedyś tłumaczyłem komuś iż, aby należycie odczuć kosmiczne zaiste znaczenie jakie dla człowieka ma człowiek, należy wyobrazić sobie co następuje: jestem zupełnie sam na pustyni; nigdy nie widziałem ludzi, ani nie domyślałem się, że inny człowiek jest możliwy. Wtem ukazuje się w polu mego widzenia istota analogiczna, a jednak nie będąca mną — ta sama zasada

wcielona w obce ciało — ktoś identyczny a jednak obcy — i ja doznaję jednocześnie cudownego uzupełnienia i bolesnego rozdwojenia. Ale nad wszystkim góruje jedno objawienie: stałem się nieograniczony, nieprzewidywany dla siebie samego, pomnożony we wszystkich możliwościach swoich tą obcą, świeżą a jednak identyczną siłą, która zbliża się do mnie jak gdybym to ja sam do siebie przybliżał się z zewnątrz.

Aby zakończyć rozważania nad Miłoszem: usiłuję zrozumieć jaka może być ta idea kluczowa, którą nasze wschodnie doświadczenia mogą przynieść Zachodowi, jaki może być wkład nowoczesnej literatury polskiej w literaturę zachodnią.

Zapewne ujmę tę rzecz nieco subiektywnie. Nie jestem specjalistą od myślenia i nie ukrywam, że myśl jest dla mnie tylko pomocniczym rusztowaniem. Chcę powiedzieć jedynie, jakie struny potrąca we mnie tamta nasza, wschodnia, rzeczywistość.

Wierzącemu komunizmowi rewolucja wydaje się triumfem rozumu, cnoty i prawdy, więc dla niego nie ma w niej nic co by odbiegało od normalnej linii postępu ludzkiego. Natomiast „poganinowi” jak mówi Miłosz, rewolucja przynosi inną świadomość, którą zawarł on w następującym zdaniu: że człowiek może zrobić wszystko z człowiekiem.

W tym mieści się to coś, co nas, literatów wschodnich, zaczyna z grubszą dzielić od Zachodu. (Zauważcie jak jestem ostrożny. Mówię: „z grubszą”, „zaczyna”). Zachód żyje, pomimo wszystko, wizją człowieka odosobnionego i absolutnych wartości. Nam zaś w sposób bardziej namacalny poczyna objawiać się formuła: człowiek plus człowiek, człowiek pomnożony przez człowieka — i nie należy bynajmniej łączyć jej z jakimkolwiek kolektywizmem. Buber, żydowski filozof, wcale nieźle określił to mówiąc, że dotychczasowa indywidualistyczna filozofia już się wykończyła i że największym rozczarowaniem, jakie oczekuje ludzkość w najbliższej przyszłości, będzie bankructwo filozofii kolektywnej, która ujmując jednostkę jako funkcję masy, poddaje ją w rzeczywistości abstrakcjom takim jak klasa społeczna, państwo, naród, rasa; a dopiero na trupach tych światopoglądów urodzi się trzecie widzenie człowieka: człowiek w związku z drugim, konkretnym człowiekiem, ja w związku z tobą i z nim...

Człowiek poprzez człowieka. Człowiek względem człowieka. Człowiek stwarzany człowiekiem. Człowiek spotęgowany człowiekiem. Czy to moje złudzenie, że widzę w tym utajoną nową rzeczywistość? A przecież, rozważając te nieporozumienia, które wyrastają obecnie pomiędzy nami a Zachodem, zawsze natykam się na tego „drugiego człowieka” podniesionego do kategorii potęgi stwarzającej. Można to zawrzeć w dwudziestu rozmaitych definicjach, wypowiedzieć na sto pięćdziesiąt sposobów, lecz pozostanie faktem że nam, synom Wschodu, zaczyna topnieć w rękach problem indywidualnego sumienia, którym tu czy się jeszcze połowa literatury francuskiej, a Lady Macbeth i Dostojewski stają się niewiarygodni... że co najmniej połowa tekstów rozmaitych Mauriac’ów wydaje się nam na księżycu na-

pisana, a w głosach Camusa, Sartre'a, Gide'a, Valerego, Eliota, Huxleya wyczuwamy niestrawne luksusy, pozostałości z czasów, które dla nas się skończyły. A te różnice stają się w praktyce tak wyraźne, że ja, na przykład (i mówię to bez najmniejszej przesady) nie jestem w ogóle w stanie rozmawiać o sztuce z artystami — gdyż Zachód, wierny dotąd swym absolutnym wartościom, jeszcze wierzy w sztukę i w rozkosze, jakich ona nam przysparza, dla mnie zaś rozkosz ta jest narzucona, ona rodzi się między nami — i tam gdzie oni widzą człowieka klęczącego przed muzyką Bacha, ja widzę ludzi, którzy wzajemnie zmuszają się do ukłęknięcia i do zachwyty, rozkoszy, podziwu. Więc takie widzenie sztuki musi odbić się na całym moim z nią obcowaniu i ja inaczej słucham koncertu, inaczej podziwiam wielkich mistrzów, inaczej oceniam poezję.

I tak jest ze wszystkim. Jeżeli to nasze odczuwanie nie dostało się jeszcze z nas z dostateczną siłą, to ponieważ jesteśmy niewolnikami odziedziczonego języka; lecz coraz silniej przez szczeliny formy przenika ono na powierzchnię. Co narodzi się, co *mogłoby* narodzić się w Polsce i w duszach ludzi zrujnowanych i zbrutalizowanych, gdy pewnego dnia zniknie i ten nowy porządek, który zdławił stary, i nastąpi Nic? Oto obraz: dostojna budowla tysiącletniej cywilizacji runęła, cicho i pusto, a na gruzach — rój szarych i drobnych istot ludzkich, które nie mogą jeszcze otrząsnąć się ze zdumienia. Albowiem runął ich kościół, te ołtarze, te malowidła, witraże, posągi, przed którymi oni klękali, to sklepienie, które ich chroniło, już zamienione w gruz i pył, a oni — w całej nagości swojej, obnażeni. Gdzie się schronić? Co wielbić? Do kogo się modlić? Kogo się lękać? W czym umieścić źródło natchnienia i siły? Czyż byłoby dziwne, gdyby oni w sobie ujrzeli jedyną siłę stwarzającą i jedyne dostępne im Bóstwo? To jest droga, która prowadzi od uwielbienia wytworów ludzkich do odkrycia człowieka, jako decydującej i nagiętej potęgi.

Mieszkańcy wspaniałego gmachu cywilizacji zachodniej powinni przygotować się na inwazję ludzi bezdomnych, z ich nowym wyczuciem człowieka... która nie nastąpi. Tak. W tej chwili zmieniałem zdanie. Gdyż Bułgar nie ufa Bułgarowi, Bułgar gardzi Bułgarem, Bułgar Bułgara ma za... (tu trzeba by użyć słynnego wykrópkowanego słowa). My zatem nikomu nie narzucimy naszego uczucia, ponieważ uczuć naszych nie bierzemy na serio. I byłoby zbyt dziwne, gdyby takie widzenie człowieka urodziło się wśród ludzi, którzy siebie lekceważą.

Wtorek.

Inna recenzja, tym razem w „Orle Białym”, o „Transatlantyku i Słubie”. Jan Ostrowski. Jeżeli ja nie nie mogę zrozumieć z tych zdań z powykreślanymi członkami, rozczochnionych, niedomytych i ziejących dzikim belkotem, co rozumieją inni?

„Jak zwykle, awangardowe czujki literatury trafiają przede wszystkim w wypiętą „pupę”, na rzeczy najdrastyczniejsze”.

„Sądząc z jego oświadczeń, problematyka Gombrowicza polega na... objawieniu cząstkowej doskonałości”.

„Gombrowicz z importera nowinek literackich podczas wojny przeistoczył się w eksportera polskich wyrobów piśmiennictwa”.

Albo taki byk gramatyczny :

„Gotową książkę, jako dzieło sztuki, teorie autora nie rozgrzeszają”.

Trzy szpalty tego niechlujstwa. Ostrowski jest, o ile mi wiadomo, kierownikiem działu literackiego w „Orle”. W istocie, ten artykuł mógł zostać zakwalifikowany do druku tylko i wyłącznie przez osobę, która go napisała.

Dlaczego zniewolony umysł pana redaktora daje kuksy mojej książce i podszczypuje ją jak może? Szukałem tego sekretu i znalazłem go w następującym zdaniu : „Spługawil” siebie i emigrację... „Na razie dostaje polemiczne ciągi, dawki znieczulającego milczenia”. Pan Ostrowski uznał, że polemiczne ciągi są skuteczniejsze, choć osoby, które nie umieją mówić powinny by raczej wybierać znieczulające milczenie. Milczenie na mój temat, panie Ostrowski, jest bardziej mordercze w ustach, które stać tylko na głuństwo.

Co począć z uroczym zjawiskiem „felietonisty” w typie p. Ostrowskiego? Rozkoszny kibic, który w kilku słowach rozbija światopoglądy, udziela pouczeń, odkrywa prawdy, kształtuje, konsoliduje, formuje, demaskuje, konstruuje, lansuje, orientuje... Opieprzy swój felieton nawet Bogiem, ale, Bogiem a prawdą, nie idzie mu wcale o Boga, a jedynie o to, żeby komuś wsadzić szpilę w... Cóż go upoważnia do takiego nadużywania imienia boskiego oraz nadużywania tytułu poważnych nazwisk, którymi naszpikował swój felieton, i nadużywania dobrej wiary czytelnika? Co? Oczywiście — zdrowe ideały. Ale ja, który jestem niecnym burzycielem i cynik, wiem że nie ma nic łatwiejszego niż mieć zdrowe ideały. To potrafi byle kto. Zdrowe ideały ma każdy — oczywiście, we własnym przekonaniu. Te zdrowe ideały, to klęska, choroba, przekleństwo naszego nierzetelnego stulecia. Ostrowski to mikrob tej właśnie choroby, której diagnozę daje nam Miłosz — tak to małe przyczyny wywołują potworne skutki. Nie sztuka mieć ideały, sztuka — w imię bardzo wielkich ideałów nie popełniać bardzo drobnych fałszerstw.

Witold GOMBROWICZ

Siedem urywków ze Słownika Biograficznego

KOMPOZYTOR

gdy się począł
we wczesny poranek niedzielny
wyścigający kilimami jesieni
harmonia sfer
był w fazie
najbardziej niezwykłych zestawień
na liniach zodiaku
mistrz liczb
czas
kunsztowny rysował kontrapunkt

w czasie żywotnosin
macierzy w obu uszach
dzwonił niebiański przegłos
potem na falach kołysanki
siadały kołyszące się
świegoty wróbli

staroświecki zegar
całemu życiu
rzeźbioną wskazówką
zaszczepił
najniezawodniejszy rytm

lat trzydzieści się tulał
po pustkowiach biedy
gdy wrócił
tłumaczył na język płomienny
(język zesłańców na wyspy
poszukiwań
najbardziej zaklętych)

pieśni podsłuchane
podpatrzone w deszczu
w tajnych obradach milczenia

pod jesień żywota
z drzew powodzenia
złociste czeki
spadały mu jak liście

spisał dwanaście ksiąg
z nutowymi przepisami
jak warzyć
odwar smutku
w naczyniach muzycznych

POETA LAUREAT

był kołodziejem nasamprzód
kół błędnych w antylogicznej wozowni
siodlarzem siodła misternych
dla snów
galopujących na ośle
szewcém
co butom siedmiomilowym
bajkarские zelował podeszwy

pojeli go
rajcy miejscy
w laurową pętlę
uwiktali w sidła uśmiechów
gdy głowę samyśloną wychylał niebaczenie
jadąc najstrojszym tramwajem
ku górnym przystankom szaleństwa

potem na smyczy pochwalnej
wodzili go w procesjach sztandarnych
(w każdym pochodzie są cielce
w każdym obchodzie pogaństwo)

umarł za życia w dosyć
w sam dzień jubileuszu
gdy z niebios otwartych wiosennych
spadała ulewa metafor
zławiła jubilata tej wiosny
dusznica zamknięta bolesna

buty siedmiomilowe
można teraz oglądać za darmo
w gablotce miejskiego muzeum

ZALOŻYCIELKA OGRÓDKÓW DLA DZIECI

nie miała majątku wdziałków
ani gotówki salotów
i nigdy żaden mężczyzna
w jej banku dziewiczym
nie otworzył konta uczuć

lecz macierzyńska dobroć
nie zużyła
mnożyła się w jej łonie
procentem składanym

zbudowała domki kwietne
by życie
działwie podmiejskiej upszczelić

w jesień
miodową lipową
osiemdziesiątą piątą
umiała srebrnowłosa
królową pasieki

PODRÓŻNIK

po afrykach obłądnych
i praszczurzych azjach
szukał ucieczki
od nud pierwotnych

był żeglarzem-lotnikiem
nurkiem rowerzystą
w brzuchu słonia grasował
wśród czarnych bębniaków

wśród ludożerców szyderców
jadł własnego trupa
śmiejąc się tropikalnie
przez tłumacza rozmawiał
ze starostą ptaków
w księstwie zodiaku

wśród hindusów-sanskrytów
udawał kangura
tylko w ten sposób
zdolał odwiedzić zatopione miasto
(z trzeciego okresu
paleogamicznej epoki)

o poligamcach błogożeńcach
napisał dwadzieścia powieści

na łwie protoaryjskim
siadał bez obrazu
i bardzo naukowo pisywał do gazet

UCZONY

matka
gdy go nosiła pod sercem
zapatrzyła się kiedyś
w kolorowe zjawy
w witrynie księgarskiej

urodził się z duszą-księżnicą
i pół wieku spędził
pielgrzymem
po krainach stronnic

aż jad farb drukarskich
poprzeżerał mu w oczach
życiodajne przewody

brał lecznicze okłady z chmur
na schorowane żrenice

zapatrzył się
tak się lecząc
i wstąpił w przestwór obłoków
wpisano w katalog śmiertelny
ciało koślawe pochyle

BISKUP

był najmłodszym z wrzaskliwej czeladki
dla której ojciec
kiloferm górniczym
wyszarpywał czarny chleb ziemi

we wczesnych latach
 śnił sny podniebne
 jakby się życiu dobrem za zło
 odplacić
 za ojcowską ciężką
 potem cuchnącą podziemność
 za ręk patriarchalnych
 czarną skamielinową dotkliwość

młodszeńcem terminował u ojców pustynnych
 potem w odporne woły orał
 na opuszczonych ugorach

pod koniec orki
 złożonym krzyżem biskupim zabłysnął
 na czerni piersi pochylej
 na podobieństwo ojcowego krzyża
 krzyża z węgla

FINANSISTA

twarz miał okrągłą
 i metaliczny głos
 dwa dary jedyne
 z rodzicielskiej mennicy

w początkach
 na wąskich kółkach krążył
 rozwijając po mieście gazety
 później coraz srebrniejsze
 kola zataczał
 aż w końcu
 składy maszyny i domy
 w złote powpisywał obwody

chodził mu
 obłaskawiony kapitał
 w dywidendowym kieracie
 obroku innego nie żądał
 niż papier weksli i czeków

przez wiele lat budżetowych
 szczęśliwy był szczęściem
 bardzo wysoko cyfrowym

ponieważ jednak na giełdzie
 nie ma ubezpieczeń od śmierci
 zainkasował go grabarz
 po zwykłym ludzkim kursie

Bogumił ANDRZEJEWSKI

Archiwum polityczne

List z Wyspy

„MARKSIŚCI”, KTÓRZY NIE WIEDZĄ O TYM, ŻE SA
 „MARKSISTAMI”

Wielu czytelników oburzy się gdy powiem na samym wstępie, że Anglicy są romantykami w polityce. Nasz polski romantyzm polega na tym, że wierzymy, iż wbrew wszystkiemu zwyciężymy. Anglicy natomiast wierzą, iż wbrew wszystkiemu dogadają się i pokierują sytuacją ku jej polepszeniu. Anglicy wierzą w „improvement”. Mają nieufność do polityki „rozstrzygnięć” i stawiania sprawy na ostrzu miecza. Czasami jednak „improvement” jest równie nierealne jak szukanie rozstrzygnięć ostrzem miecza. Dziś z perspektywy lat 14 — można stwierdzić, że lanca polskiego ulana, którą szarżował na hitlerowskie czołgi i parasol monachijski Chamberlaina — były symbolami dwóch różnych form romantyzmu. Choć odmienne w treści i różne w geście, oba powyższe romantyzmy wydają się dziś równie patetyczne w swej naiwnej bezradności.

Gdy premier Sir Winston Churchill przed swą niedyspozycją wysunął projekt konferencji na Bermudach, która torować miała drogę do bezpośrednich rozmów z Rosją — znakomita większość opinii brytyjskiej poparła ten plan. Co to oznacza? Wnioskować należy, że pomimo różnic polityczno-wewnętrznych, istnieje wśród Brytyjczyków intymne wzajemne zrozumienie — istnieje wspólność wizji zasadniczego problemu naszej epoki. Sir Winston nie przekonał ani jednego Polaka, iż należy rozmawiać z Rosją — przekonał natomiast bez trudu niemal wszystkich Brytyjczyków. Dlaczego? Ponieważ my uważamy, że polityka „improvement” jest romantyczną mrzonką, która wprowadzona w czyn przyniesie w konsekwencji kapitulację — Brytyjczycy natomiast uważają, że polityka „rozstrzygnięć” i „liberation” jest romantyczną mrzonką, która wprowadzona w czyn przyniosłaby w konsekwencji katastrofę wojny światowej.

Innymi słowy uważamy się nawzajem za romantyków.

Ale wróćmy do tematu i spróbujmy odpowiedzieć na pytanie na czym oparte jest rozumowanie tych, którzy są zwolennikami cierpliwego poszukiwania porozumienia? Nad tym pytaniem warto się zastanowić albowiem w Anglii formuluje się powoli pogląd na Rosję, który jest pewną koncepcją. Zachodnia Europa musi sformułować własną teorię działania i określić swój stosunek do sowieckiego sąsiada. Linie polityki w danej sytuacji mogą narzucić Stany Zjednoczone, ale Waszyngton nie jest w możliwości podyktować przekonani i nastrojów masom zachodnio-europejskim. Ameryka nie jest w stanie w pełni przeciwstawić się procesowi przystosowywania się zachodnich Europejczyków do nowej sytuacji.

Co stanowi istotę tej nowej sytuacji?

Istotą rzeczy są następujące fakty. Potencjał przemysłowy Sowietów przewyższy niebawem łączny potencjał zachodnich Niemiec, Francji i Wielkiej Brytanii. Innymi słowy, zachodnia Europa graniczy bezpośrednio z nową „Ameryką”, która wedle opinii wielu — już w niezbyt odległej przyszłości zrówna swój potencjał przemysłowy z potencjałem Stanów Zjednoczonych.

Co należy robić w takiej sytuacji? Rozpatrzmy analizę i wnioski tych, którzy sądzą, że należy dążyć do „improvement”. Klasycznym dziełem tej szkoły politycznej jest świeżo wydana książka I. Deutschera pt. „Russia after Stalin”^{*)}. Autor politycznej biografii Stalina, który przygotowuje obecnie do druku polityczną biografię Trockiego — wypracował w swej ostatniej książce odpowiedzi, które mają rozproszyć wszystkie wątpliwości jakie mogłyby jeszcze dręczyć zwolenników rozmów i układów.

Przede wszystkim Deutscher udawadnia swym czytelnikom, że Rosja Sowiecka jest nie tylko zjawiskiem stałym ale i nieodwracalnym. Nikt nie jest w stanie „odrobić” rewolucji bolszewickiej. I tak przemysł jest w całości stworzony przez państwo i nie ma żadnych prywatno-kapitalistycznych tradycji. Problem uprzywilejowania przemysłu w Rosji w ogóle nie mógłby powstać. W kraju, gdzie państwo zatrudnia w swych zakładach przemysłowych ponad 40 milionów robotników i gdzie zmechanizowane rolnictwo w całości zależy od sprawnie funkcjonującego przemysłu — jakakolwiek reforma w kierunku decentralizacji przyniosłaby w rezultacie miliony bezrobotnych i miliony umierających z głodu.

Kolektywizacja rolnictwa jest również zjawiskiem nieodwracalnym. Oficjalne statystyki sowieckie stwierdzają, że obecna produkcja rolna jest o 40 % wyższa niż przed kolektywizacją. Zachodni specjaliści — a wśród nich I. Deutscher — przyjmują, że jest o 20 % wyższa. Faktem jest jednak, że nawet „biali” Rosjanie, jak wybitny znawca problemów agrarnych Rosji Dr N.M. Jasny, obliczają, że gdyby rolnictwo rosyjskie powróciło do prywatnych form gospodarki byłoby zdolne wyżywić tylko połowę obecnej miejskiej ludności Rosji. Poza tym technologiczna orga-

*) Tłum. franc. : Isaac Deutscher ; *Staline*, Gallimard, Paris 1953.

nizacja wielkich farm kolektywnych wyklucza dzielenie tych obszarów na mniejsze jednostki.

Jeżeli przyjmujemy, że te dwa zasadnicze fundamenty gospodarki tj. przemysł i rolnictwo muszą pozostać takimi jakimi są — cóż w końcu można by jeszcze zmienić po „liberation”? Może łagry? Okazuje się jednak, że z łagrami nie jest tak źle jak na ogół w polskich emigracyjnych kołach przypuszcza. Do niedawna na Zachodzie twierdzono oficjalnie, że system łagierny obejmuje w Sowietach około 20 milionów ludzi. Jednak p. Deutscher powołując się ponownie na „białych” rosyjskich specjalistów redukuje tę cyfrę do 3 lub 4 milionów. Wprawdzie autor zaznacza, że z moralnego punktu widzenia jest rzeczą obojętną czy zmusza się do pracy niewolniczej 3 miliony czy 20 milionów ludzi to niemniej, w świetle cyfry 3 milionów łagierników w zestawieniu z 40 milionami robotników przemysłowych upaść musi mit, który głosi, że gospodarka sowiecka oparta jest na pracy niewolniczej. Wskutek tego p. Deutscher stwierdza, uprzemysłowienie Sowietów spoczywa wyłącznie na barkach zdyscyplinowanej wprawdzie ale normalnej klasy robotniczej.

Jakie z powyższych faktów należy wyciągnąć wnioski przy formułowaniu polityki państw zachodnio-europejskich?

P. Deutscher jak i wielu innych pisarzy politycznych na Zachodzie — reprezentuje pogląd, że rozwój wewnętrznej sytuacji w Rosji w znacznym stopniu zależeć będzie od polityki wolnego świata w stosunku do Związku Sowieckiego. Innymi słowy będziemy mieli taką Rosję na jaką sobie zasłużymy.

Jeżeli do trudności wewnętrznych z jakimi walczą dziś przywódcy sowieccy doszłyby jeszcze trudności zewnętrzne w formie polityki żądań i gróźb ze strony Zachodu — wówczas stworzylibyśmy idealne warunki dla powstania bonapartyzmu sowieckiego. Jak dotąd, rewolucja sowiecka w przeciwieństwie do wszystkich innych poprzednich rewolucji — uniknęła fazy bonapartyzmu, lecz p. Deutscher podkreśla, że niebezpieczeństwo tego rodzaju wciąż istnieje. Jeżeli trudnościom wewnętrznym towarzyszyłoby niebezpieczeństwo od zewnątrz — wówczas na scenę wkroczyłby sowiecki Napoleon, który przewyższył swój korsykański prawzór i — jak obrazowo zauważa p. Deutscher — „rzucił Europę i Azję pod stopy Rosji”.

Z powyższego wynika jasno, że tylko ignoranci mogą mniemać, że obecny moment nadaje się szczególnie do realizacji pewnych minimalnych postulatów polityki wyzwolenia.

Na marginesie warto zauważyć, że według założeń tej szkoły politycznej pod adresem Rosji nie należy nigdy wysuwać jakichkolwiek żądań. W okresach gdy Rosja jest silna a jej sytuacja wewnętrzna wykazuje stabilizację, nie należy niczego od niej żądać, bo wiadomo z góry, że na żadne ustępstwa nie pójdzie. Wysuwanie wówczas nierealnych żądań nie prowadzi do niczego a wzmacnia jedynie napięcie międzynarodowe. Natomiast gdy Rosja jest wyraźnie osłabiona piętrzącymi się trudnościami wewnętrznymi nie można również pod jej adresem wysuwać żąd-

nych żądań, gdyż tego rodzaju żądania spotęgowałyby w Rosji poczucie zagrożenia co w konsekwencji utworzyłoby drogę dyktaturze wojskowej, której finalowym rezultatem byłby podbój Europy i Azji.

Co nam więc pozostało? Na co możemy jeszcze liczyć my nieszczęśliwi zachodni Europejczycy?

Powinniśmy liczyć na „improvement” na „demokratyczną regenerację” jak to określa p. Deutscher. Autor „Russia after Stalin” sądzi, że byłby to znak wielkiej niedojrzałości, gdyby Rosjanie rządu nagana NKWD-zysty zamienili na rządu miecza wojskowego dyktatora. Obecna sytuacja w Rosji wskazuje, że naród rosyjski dojrzał i ma już dość mentorstwa stalinizmu, który to system traktował wszystkich obywateli jako małoletnich. Wprawdzie liberalizacja ustroju prowadzić może do rozruchów, co z kolei staje się pretekstem do wznowienia dyktatury — lecz p. Deutscher sądzi, że wolność tylko na pusty żołądek wywołuje takie niepożądane manifestacje. Era stalinowska przyniosła jednak taki postęp ekonomiczny i podniesienie stopy życiowej, iż powolne przejście od stalinizmu ku „demokratycznej regeneracji” nie grozi żadnym kataklizmem.

Przez demokratyczną regenerację autor cytowanej książki rozumie porzucenie zasady „Fuehrerprinzip”. W erze stalinowskiej na każdym szczeblu hierarchii rządziła jednostka — replika Stalina. Zastąpienie rządów „Fuehrerów” rządami komitetów będzie wstępem do demokratycznej regeneracji. Chodzi tu oczywiście o „zdemokratyzowanie” metod rządzenia partii komunistycznej a nie o upodobnienie Rosji demokracjom Zachodu.

Zrekonstruujmy szkielet mitu zachodnich pacyfikatorów.

A. — Rosja pod względem potencjału gospodarczego prześciga państwa zachodnie. Jest drugą „Ameryką”, której granica przebiega przez środek Europy.

B. — Rosja pragnie pokoju i dziś, jak i w okresie Stalina, zdecydowana jest prowadzić w stosunku do Zachodu politykę „containment”.

C. — W okresie ostatnich 30 lat Rosja dokonała skoku od drewnianej sochy po bombę atomową. Osiągnięto ów postęp dzięki planowaniu gospodarczemu, którego Rosja Sowiecka jest najpełniejszym przykładem i najświetniejszym pomnikiem.

D. — Polityka żądań i gróźb nie rozwiąże problemu sowieckiego. Rosji należy dopomóc w odnalezieniu jej utraconej drogi — a rewolucji sowieckiej trzeba pomóc odszukać jej utracony sens. Wszelka polityka żądań a w szczególności polityka domagająca się ustępstw terytorialnych doprowadziłaby do dyktatury wojskowej i wojny.

E. — Rozsądną polityką Zachód może w znacznym stopniu ułatwić Rosji opanowanie jej wewnętrznych trudności co jest koniecznym warunkiem, by ewolucja systemu sowieckiego potoczyła się ku demokratycznej regeneracji.

Postawmy kropki nad tymi pięcioma „i”. Zastanówmy się jak wyglądać będzie Europa, gdy za lat 30 Rosja — dzięki ustępliwej polityce Zachodu dokona w spokoju swego dzieła. Osobiście nie wierzę w żadną demokratyczną regenerację ustroju

sowieckiego, uważam natomiast za całkowicie możliwe, że Rosja dzięki swej planowanej gospodarce oraz metodom „dyscypliny” pracy może istotnie w zakresie produkcji węgla, żelaza, stali, energii elektrycznej i zbrojeń — prześcignąć i to wydatnie łączny potencjał Europy zachodniej *). Przed Europą zachodnią są tylko dwie drogi. Wiązać się coraz ściślej z anty-komunistyczną polityką amerykańską i wziąć na siebie pewne ryzyko z tą polityką związane — albo zostać satelitą Sowietów w niezbyt odległej przyszłości.

Takie określenie może się wydawać przykre i przesadne. Wydaje mi się jednak, że w oparciu o wnioskowanie pacyfistycznej szkoły myślenia Zachodu nie można dojść do innej prognozy chcąc pozostać w zgodzie z logiką. Jeżeli połowa Europy ma pozostać w obrębie imperium sowieckiego Rosja staje się największą potęgą na kontynencie, a kadłubowa zachodnia Europa nie jest w możności odbudować jakiegokolwiek „balance of power”. Jeżeli Anglia nie chce być „lotniskowcem” amerykańskim — to czym chce być? Tradycyjna polityka W. Brytanii w stosunku do Rosji opierała się na fakcie, że Anglia była potęgą morską a Rosja potęgą lądową. Lecz dziś Rosja jest drugą po St. Zjednoczonych potęgą morską świata a nie Anglia. Odtworzyć równowagę sił w Europie można tylko za cenę odepchnięcia Rosji na granice z 1939 r. i związania zjednoczonej całej Europy z Ameryką. Jeżeli reprezentuje się pogląd, że tego rodzaju polityka zwiększa ryzyko wojny na terenie europejskim oraz utrudnia pokojowe ułożenie stosunków z Rosją, nie pozostaje nic innego jak zrezygnować z odbudowy „balance of power”. Tego rodzaju rezygnacja jest w swym politycznym sensie — kapitulacją.

Rosjanie zdają sobie doskonale sprawę, że narody zachodniej Europy przez wolność rozumieją wolność od lęku przed wojną. Dlatego pokój i wolność na Zachodzie są synonimami. Jeżeli dojdzie do zjednoczenia Niemiec Rosja — być może okaże skłonność do ustępstw w sprawie wolnych wyborów, być może wykaże ugodowość i w innych punktach spornych — jednak z całą pewnością nie zrezygnuje z żądania, by wojska okupacyjne opuściły zjednoczone Niemcy. I w dniu w którym tego typu układ zostanie podpisany cień „żelaznej kurtyny” padnie na całą Europę zachodnią. Albowiem armie amerykańskie wyjadą za ocean a armie czerwone cofną się o czterdzieście kilka mil na wschód od Berlina na linię Odra-Nisa.

Jeżeli pragnie się spacyfikować Europę, jeżeli chce się zapewnić zachodnim Europejczykom pokój, nie ma innej drogi tylko trzeba zjednoczyć Niemcy, wycofać wojska okupacyjne i uznać za fakt dokonany absolutną przewagę Rosji na kontynencie. Będzie to pokój na warunkach rosyjskich — ale nie mniej będzie pokój.

*) Ekonomista amerykański i podsekretarz stanu obecnej administracji Samuel C. Waugh ocenia, że Sowiety pod względem przemysłowym prześcigną Europę zachodnią na przestrzeni 15 do 20 lat.

O czym jednak współcześni zachodni Europejczycy nie pamiętają to o tym, że za ów pokój zapłatą nie będzie niewola Polaków, Czechów, Węgrów czy Rumunów. Ceną za ów pokój będzie niepodległość zachodniej Europy.

Pisarze pacyfistycznej szkoły zachodnio-europejskiej zdają sobie z tego sprawę, że w chwili wycofania się Amerykanów z kontynentu przewaga Rosji będzie całkowita i Sowietom będzie dość trudno upewnić zachodnią Europę, że nie jest obszarem satelickim. P. Deutscher nie ma również wątpliwości na ten temat i rzeczowo stwierdza: „Rosyjski rząd, nawet najbardziej pokojowo usposobiony, będzie mógł niewiele, lub nawet zgoła nic, uczynić by upewnić Zachód. W najlepszym razie będzie mógł zobowiązać się, że nie wykorzysta pozycji Rosji dla bezpośredniej politycznej czy wojskowej ekspansji”.

Sklonny jestem przypuszczać, że w razie zjednoczenia Niemiec i ewakuacji wojsk amerykańskich za ocean Sowiety nie zajmą zachodniej Europy. Lecz coż stąd? Okupacja nie jest jedyną formą utraty niepodległości. Jeżeli akceptuje się układ, który gruntuje całkowitą przewagę jednego mocarstwa na kontynencie — mocarstwa, które jest w możności zająć resztówkę zachodniej Europy w przeciągu kilkunastu dni — czy w takich warunkach można mówić o niepodległości? Można mówić tylko o pokoju. Nie jest niepodległym ten, kto rezygnuje z możliwości obrony swej niepodległości i na tego rodzaju układ wyraża swoją zgodę.

Pacyfiści zachodnio-europejscy opierają swoje nadzieje na wierze, że stosunki w Rosji ulegną zmianie, że nastąpi „demokratyczna regeneracja” i władcy Kremla przekonają się, że wolność nie jest wrogiem lecz sojusznikiem socjalizmu. Wówczas Rosja przemieni się w nowy „Commonwealth of Nations” — w związek wolnych narodów.

Sądzę, że powyższa wizja z politycznym wnioskowaniem nie ma nic wspólnego. Daleko realniejszą jest niestety inna perspektywa a mianowicie, że po zjednoczeniu Niemiec i ewakuacji wojsk amerykańskich wpływy sowieckie przeobrażą po pewnym czasie stosunki polityczne w wolnej resztówce kontynentu europejskiego. W takiej konstelacji to nie „petainowska” zachodnia Europa będzie liberalizowała Sowiety, tylko Sowiety będą „socjalizowały” zachodnią Europę. Wpływ wywiera zawsze partner silniejszy i bardziej dynamiczny. Obawiać się należy, że nim w Związku sowieckim nastąpi „demokratyczna regeneracja” — nie co czwarty ale co trzeci, a może co drugi Francuz i Włoch głosować będzie na komunistów.

Sytuacja państw zachodniej Europy nie jest bynajmniej łatwa. Jedno wszakże jest całkowicie pewne. Rozwiązanie problemu niemieckiego w oderwaniu od Europy środkowo-wschodniej utwierdzi całkowitą przewagę Rosji na kontynencie a tym samym uzależni resztówkę Europy zachodniej od imperium sowieckiego. Europa zachodnia mogłaby uniknąć losu potencjalnego satelity, gdyby rozwiązanie problemu niemieckiego uzależniono od rów-

nocznego problemu Europy środkowo-wschodniej. Jeżeli Amerykanie mają wycofać się z Niemiec za ocean — to Rosjanie winni się wycofać przynajmniej na granicę z 1939 r. Jeżeli mają być wolne wybory w Niemczech to identyczne wybory winny się odbyć w krajach za „żelazną kurtyną”. Jeżeli ma ulec likwidacji satelicki reżim wschodnio-niemiecki — winny ulec likwidacji wszystkie reżimy satelickie w Europie.

Losy Europy zadecydują się w Niemczech. Jak powinna postąpić polityka amerykańska w takiej sytuacji? Niewątpliwie trudno jest wyzwalać Europę wbrew jej woli — trudno jest wyzwalać ujarzmione narody europejskie bez poparcia wolnych narodów europejskich. Jeżeli jednak zjednoczenie Niemiec miałoby oznaczać ewakuację wojsk amerykańskich z kontynentu a dla Rosjan cofnięcie się jedynie na linię Odra-Nisa — w takim wypadku należy nie dopuścić do zjednoczenia Niemiec. Albowiem zjednoczenie Niemiec na takich warunkach byłoby wstępem do zjednoczenia całej Europy pod hegemonią Sowietów.

Juliusz MIEROSZEWSKI

P.S. P. Isaac Deutscher jest anty-stalinowskim marksistą. Jego interpretacja procesów historycznych jest zgodna z doktryną. Tym bardziej godnym zadumy jest fakt, że jego książka jest jakby „zamówieniem społecznym” i dostarcza naukowej podbudowy odczuwanej na Zachodzie potrzebie bezwarunkowego porozumienia się z Rosją. Wszystkie „pobożne życzenia” uspakajają i pacyfikatorów wyposażone zostały w sankcję „konieczności historycznej”. W zgodzie z marksistowską logiką procesu historycznego są zwolennicy polityki, która nie wysuwa pod adresem Rosji żadnych żądań. Ameryka nie rozumie „konieczności historycznych”.

Okazuje się, że wielu polityków na Zachodzie ma poprawny z punktu widzenia marksistowskiego pogląd na historię i właściwie wnioskuje. Jakżé można by znaleźć lepszy dowód, że marksizm jest jedyną słuszną filozofią historii? Obserwując politykę europejskiego Zachodu p. Deutscher nie ma powodu wątpić w słusność swojej egzegezy. Wielu zachodnich Europejczyków staje się mimo woli „marksistami” i zaczyna właściwie pojmować logikę dziejów. Okazuje się, że można być marksistą samemu o tym nie wiedząc.

(Osobiście widzę tylko jedną skazę na geniuszu Marksa a mianowicie, że nie przewidział jakże oczywistego faktu, iż „konieczność historyczna” i „interes Rosji” to są pojęcia synonimiczne).

J. M.

Kronika angielska

LEWICA — PRAWICA

W oświadczeniu, które złożył gen. Soankowski w przededniu swego wyjazdu z Londynu — czytamy co następuje: „Prawdą jest, że istniejąca kontrowersja obraca się dokoła jednego krótkiego zdania, lecz jakże treściwego i brzemennego w skutki”.

Jak wiadomo cwo jedno zdanie dotyczy obozu p. Mikołajczyka.

Z różnych domiesiń prasowych i agencyjnych należy wnioskować, że PPS uważa za możliwe utworzenie „frontu demokratycznego” z obozem p. Mikołajczyka. Wydaje się jednak, że do tej pory w samej PPS nie ma pod tym względem jednolitej opinii.

Oczywiście podział emigracji na zasadzie ideologii politycznej — prawica contra lewica — byłby zdrowszy niż podział obecny. Gdyby jednak do tego typu podziału doszło front prawicy byłby znacznie silniejszy niż front lewicy.

Sądząc po kampanii prasowej prowadzonej przez pisma popierające PNKD — trudno jest sobie wyobrazić formułę akcesu PPS do obozu p. Mikołajczyka, która choć częściowo ratowałaby „twarz” socjalistów.

Trudność rozinów z p. Mikołajczykiem polega na tym, że popełniwszy w przeszłości wiele błędów, dziś, dobudowuje on mozolnie teorię, która owe błędy ma usprawiedliwić a co ważniejsze uzasadnić. W dramatycznym momencie historycznego kryzysu łatwo jest popełnić kapitalny błąd w oparciu o najuczciwsze przesłanki ale miarą meża stanu jest ilość błędów z których zdołał się wycofać. Tymczasem p. Mikołajczyk z uporem trwa przy swoich błędach w naiwnym przekonaniu, że „right or wrong” dochowuje wierności samemu sobie. Tymczasem nie ma nic głupszego jak dochowywanie wierności błędom i poglądom, które owe błędy spowodowały. Z jaką łatwością zachodni mężowie stanu porzucają swe dawne opinie, błędne oceny czy traktaty. Natomiast polski polityk musi mieć zawsze i niezmiennie „rację”. Jeżeli fakty przeczą jego „rację” — tym gorzej dla faktów!

W Radzie Politycznej dopuszczalne są bardzo znaczne różnice zdań. Sądząc po wachlarzu wydawnictw PNKD w politycznym obozie p. Mikołajczyka obowiązuje przestrzeganie „linii generalnej”. Wydaje się, że wypracowanie formuły kompromisowej, która pozwoliłaby na połączenie PPS z PNKD byłoby zadaniem równie trudnym jak pogodzenie Rady Narodowej z Radą Polityczną. Jednak myślą się ci, którzy sądzą, że p. Mikołajczyk jest już definitywnie „poza koniunkturą”. Jego czas może jeszcze nadejść.

RHEE — ADENAUER — MIKOŁAJCZYK

Jest rzeczą oczywistą do czego zmierzają Chiny. Mao-Tse pragnie zbudować wokół Chin identyczny pas państw satelickich jaki chroni Rosję. W Tybecie powiodło się zorganizować państwo satelickie — na innych odcinkach azjatyckiego przedpola ów proces znajduje się w stadium realizacji.

Prezydent Rhee jest w podobnej sytuacji jak Dr Adenauer. Obaj bowiem stoją na czele państw „przepołowionych”. Państwa „przepołowione” stanowią w naszej epoce twory pośrednie pomiędzy państwami niepodległymi a satelitami. Zarówno na Korei jak i w Niemczech znajdują się wojska amerykańskie. Tak w jednym kraju jak i w drugim pytania zasadnicze brzmi: co się stanie gdy Amerykanie odpiąją do domu?

Jeżeli chodzi o Koreę to nie ulega najmniejszej wątpliwości, że Chiny wypracowały już plan pokojowej infiltracji Korei południowej. Prezydent

Rhee zdaje sobie doskonale sprawę z tego, że północni Koreańczycy przy pomocy chińskimi mają wielkie szanse przemienić na drodze „pokojowej” całą Koreę na państwo satelickie. Natomiast prezydent Rhee nie ma praktycznie żadnych szans na drodze pokojowych negocjacji wyrzucić komunistów z północnej Korei i zjednoczyć kraj pod władzą legalnego rządu. Jeżeli nie powiodło się wyrzucić komunistów z bronią w rękę, jakież są możliwości wyrzucenia ich poprzez OZN?

Wcześniej czy później Amerykanie wyjadą a zostaną tylko misje i doradcy. Na tę właśnie chwilę ze spokojem czekają północni Koreańczycy i ich protektorzy chińscy.

Jeżeli rozpatrywać ją pod tym kątem widzenia, tj. interesów Korei — to trzeba stwierdzić, że polityka prez. Rhee jest całkowicie zrozumiała, logiczna i słuszna. Reakcje mocarstw anglosaskich świadczą, że choć po tej stronie barykady wszyscy są równi i niepodlegli to jednak byłoby naiwnością brać takie wzniosłości dosłownie. Stopień suwerenności i niepodległości w naszym świecie jest jeszcze ciągle funkcją siły a nie prawa. Obywatele amerykańscy w myśl „Deklaracji Niepodległości” rodzą się wolni. Niestety narody nie rodzą się wolne i osiągają stopień wolności proporcjonalny do ich sił. Dlatego silniejszy sojusznik jest zawsze bardziej niepodległy i bardziej suwerenny niż sojusznik słabszy. Binda mu jeżeli o tym nie pamięta!

Dr Adenauer jest w nieco innej sytuacji. Gdyby doszło do zjednoczenia Niemiec na warunkach amerykańskich — co w obecnym okresie jest mało prawdopodobne, lecz nie wykluczone — Polska zyskałaby bezpośrednią granicę z Zachodem. Im wpływy Ameryki byłyby w Niemczech silniejsze tym większa byłaby szansa ewolucji reżimu komunistycznego w Polsce ku titoizmowi. W zupełności speceyficznych warunkach, których jednak nie można wyłączyć — może w Polsce powstać sytuacja, kiedy niepodległość będzie jeszcze nieosiągalna lecz titoizm czy pół-titoizm będzie już osiągalny.

Powstanie titoizmu w Polsce otworzyłoby nowy rozdział w dziejach polityki emigracyjnej. Polityk emigracyjny, który miałby możliwość zbliżenia się do titoizmu polskiego w oczach Anglosasów urłoby natychmiast do roli opatrnościowego meża stanu. Polityk ów musiałby być gotów wejść do rządu wraz z komunistami gdyby „liberalizacja” ustrojów satelickich posunęła się tak daleko.

Nie wiem czy p. Mikołajczyk taką ofertę by przyjął. Sądząc jednak, że w takiej sytuacji tylko on jeden mógłby wchodzić w rachubę. Obawiam się jednak, że do swych dawnych błędów dodałby błąd nowy i gdyby sytuacja taka powstała ustosunkowałby się do niej negatywnie. Udział w komunistycznym rządzie polskim po Jalcie był błędem, ponieważ wówczas było pewne całkowite zwycięstwo komunistów. Gdyby natomiast na skutek rozwoju sytuacji powstał w Polsce titoizm byłaby to forma przejściowa od satelitwa ku niezależności. W tej całej sprawie nie jest istotna doktryna tylko stopień niezależności od Rosji. Albowiem komunizm polski bez poparcia Sowietów bardzo szybko przestałby być komunizmem.

WSZĘDZIE DOBRZE ALE W LONDYNIE NAJLEPIEJ

W swym projekcie Aktu Zjednoczenia gen. Soankowski wysunął propozycję przeniesienia polskich władz państwowych z Anglii do Stanów Zjednoczonych. Polska prasa londyńska gwałtownie zaatakowała ten projekt. Jest to w pewnym sensie zrozumiałe jeżeli się zważy ów głęboko zakorzeniony patriotyzm lokalny, który każe nam Londyńczykom uważać gród nad Tamizą za „tymczasową stolicę Polski”. Ten punkt widzenia jest mi osobliście bliski, gdyż w przeciwieństwie do p. St. Mackiewicza — lubię Londyn. Londyn jest zresztą tak dziwny i tak do niczego niepodobny, że musi się go albo lubić albo nie znosić. Do tego gigantycznego małego miasteczka nie można mieć obojętnego stosunku.

Ale tego rodzaju sentymenty nie mogą odgrywać roli w wyborze siedziby polskich władz państwowych. Wszystkie argumenty obiektywne przemawiają za przeniesieniem rządu do Stanów Zjednoczonych. Czyż potrzeba je wyliczać? — Ale nasi mężowie stanu i politycy osiedlili się tu, urządzili, wrośli, pokupowali domy, powynajmowali biura i cenią sobie ową „splendid isolation”, która jest rezultatem całkowitego braku zainteresowania władz brytyjskich zarówno dla ich osób jak i działalności. Byłoby prawidłowo przechodzić przez jezdnię to mogą być pewni całkowitej anonimowości. W cień tej uprzejmej obojętności można spokojnie budować „emigracyjne państwo”, którego eksterytorialność brytyjska rzeczywistość w pełni uszanuje. W Londynie jest miejsce na wszystko — na świątynie buddyjskie, na łoża teozofów, na rządy emigracyjne, na kluby żeglugi międzyplanetarnej. Życie brytyjskie jak dobrze uregulowana rzeka omija izolowane wysepki i nigdy ich nie zalewa. Prawo do dziwactwa i prawo do osamotnienia jest tu przywilejem każdego — pod warunkiem, że nie zagraża otoczeniu.

Argument (główny) że w Londynie nasz rząd jest niezależny i nikt nie miesza się do jego działalności — jest całkowicie bez sensu. Już najwyższy czas, by ktoś zechciał się wnieść w naszą politykę. A zręcznie i w Ameryce — jak się ktoś uprze — może nie brać dolarów i pokrywać budżet ze Skarbu Narodowego. Niemniej łatwiej tam niż tu otrzymać pożyczkę na szerszą akcję niepodległościową i łatwiej tam niż tu wypracować jakąś formułę przejściową, która pozwoliłaby rządowi R.P. mimo, że nie jest uznany — podjąć na większą skalę zadania do których jest powołany.

Ale oczywiście z tego nie nie wyjdzie. Bo któżby chciał dobrowolnie wyjeżdżać z Londynu?

WYPOWIEDZ KPT. E. PRCHALI

Londyński „Dziennik Polski” podał za agencją FCI sprawozdanie E. Prchali o przebiegu katastrofy lotniczej w której poniósł śmierć gen. Sikorski. Kpt. E. Prchala, który przebywa obecnie w Stanach Zjednoczonych był pilotem i jedynym, który ocalał z katastrofy.

Oświadczenie pilota samolotu gen. Sikorskiego nasuwa cały szereg uwag, które powinny być wyjaśnione. Jako przyczynę katastrofy Prchala podaje odlamanie się pewnej części steru. Stwierdza on również, że nurkowie wydobyli z morza wszystkie szczątki samolotu. Do Gibraltaru natychmiast po wypadku przybyła specjalna komisja Min. Lotnictwa, do której przydzielono rzeczoznawców polskich. Po długim i starannym śledztwie sporządzono oficjalne sprawozdanie, którego odpis przesłano rządowi — polskiemu i czechosłowackiemu.

Summer Welles, b. podsekretarz stanu w latach 1937-43 oświadczył w ub. r. na posiedzeniu katyńskiej komisji Kongresu, iż w jego przeświadczeniu przyczyną katastrofy samolotu gen. Sikorskiego był sabotaż. Cat-Mackiewicz przeprowadził w tej sprawie wywiad z gen. L. Rayskim, byłym szefem lotnictwa w Polsce przed wojną. Na zapytanie czy nie można wykluczyć sabotażu — gen. Rayski oświadczył: „Oczywiście nie można go wykluczyć”.

To są tylko dwa wybitniejsze przykłady opinii wypowiedzianych na powyższy temat. Niemniej p. Prchala przez 10 lat milczał jak zaklęty i dopiero obecnie zdecydował się oświadczyć, „że cała sprawa otoczona była niepotrzebnie całunem tajemnicy, co wywołało jak najdłuższe pogłoski”.

P. Prchala od października 1950 roku a więc niemal od trzech lat przebywa po tej stronie „żelaznej kurtyny” i nie miał żadnych trudności złożenia swych wyjaśnień wcześniej. Jest również rzeczą niezmiernie dziwną, że na przestrzeni tych trzech lat władze polskie nie usiłowały nawiązać z nim kontaktu w celu wydobycia od niego dokładnego opisu katastrofy.

LONDYN CZYK

Sprawy i Troski

Czytelnik polski w W. Brytanii

Rzecz dzieje się w Wielkiej Brytanii tj. kraju, który chlubi się, nie bez racji, sprawną i dobrze zorganizowaną służbą biblioteczną. Bezpłatne biblioteki publiczne znajdują się w pieszym lub autobusowym zasięgu większości mieszkańców, uzupełnia je olbrzymia sieć tanich wypożyczalni płatnych, czasem bardzo dobrych, częściej dalekich od ideału. W trzecim wreszcie kręgu widzimy zasobne księgozbiory domowe i możliwość łatwego ich uzupełniania tanimi wydawnictwami dawnych i nowych autorów, które nabywać można w lokalnych księgarniach i kioskach kolejowych. Troską bibliotekarzy angielskich jest obecnie nie tyle zdobywanie funduszy na prowadzenie bibliotek ile pozyskiwanie nowych czytelników i zahamowanie spadku ilości wypożyczeń. Bibliotekarz brytyjski wabi czytelnika, namawia go, by raczył czytać, by w pilnie nadal obserwowanych wieczornych godzinach odpoczynku obok oglądania filmów, albo wpatrywania się w ekran odbiornika telewizyjnego, — obok słuchania radia — znalazł także miejsce na książkę, rozrywkę niemal staroświecką, przeżytek ery wiktoriańskiej — złotego wieku książki! — kiedy to np. zgromadzona przy kominku rodzina słuchała czegoś wręcz nieprawdopodobnego... głośnego czytania.

Zastrzec się tu muszę, że nie podzielam stanowiska wielu bibliotekarzy brytyjskich, którzy w filmie, radiu i telewizji widzą wrogów książki, potępiając je w czambuł. Mają one wiele wad, — tę przede wszystkim, że w granicach małego wyboru, podają tę samą strawę milionom, automatycznie otwierającym aparaty o oznaczonej godzinie albo wędrującym do lokalnego kina na każdą zmianę programu.

Gdy są dawkiowane odpowiednio i filmy i programy radiowe i telewizyjne stają się częściami istotnymi, ważkimi i żywotnymi składnikami życia kulturalnego nowoczesnego człowieka. „Wyspa grzeszników” czy „Don Camillo” w wersji filmowej,

filmy naukowe, reportaże, filmy geograficzne nie potrzebują obrony. Uzasadnianie racji ich istnienia równałoby się obronie teatru czy koncertów przed zarzutem, że szkodzą czytelnictwu. Radio spełniać może ogromną rolę w popularyzowaniu dobrej muzyki, — słuchanie płyt gramofonowych przekazujących grę znakomitych artystów daje więcej niż najautentyczniejsze wyczyny drugorzędnej grajki, — wiersz recytowany w programie radiowym może być rewelacją talentu, — moglibyśmy nigdy nań nie natrafić i zubożyć siebie o głębokie przeżycie. Sztuka teatralna w dobrej obsadzie oglądana na ekranie odbiornika telewizyjnego będzie doznaniem różnym od zobaczenia jej w teatrze na autentycznej scenie, da jednak prawdopodobnie więcej od przeczytania jej tekstu w wydaniu książkowym, co — nawiasem mówiąc — jest przyjemnością małej tylko garstki wybrańców. Większość z nas nie lubi czytać sztuk teatralnych — i na to nie ma rady. Gdybyśmy na jakimkolwiek inteligentnym zebraniu zapytali, ilu spośród obecnych czytało „Trans-Atlantyk” a ilu „Ślub” Gombrowicza, otrzymaliśmy zapewne niewiele wiarogodnych odpowiedzi twierdzących w odniesieniu do „Ślubu”.

Trzeba odważnie spojrzeć prawdzie w oczy. W roku Pańskim 1953 tak zwanych potrzeb kulturalnych normalnego obywatela w normalnym kraju nie mogą zaspokoić tylko książki i czasopisma, choćby najpiękniej wydane i najobficiej ilustrowane. Ma on do dyspozycji wielorakie formy zaspakajania szlachetnego głodu wiedzy czy rozrywki i osobistą jego sprawą, sprawą wyboru, który każdy sam dla siebie swobodnie dokonuje jest wyszukanie najbardziej mu odpowiadających czy potrzebnych. Pamiętajmy nadto, że wspólną cechą bibliotek, radia i telewizji jest zaspakajanie żądań odbiorcy anglosaskiego w zakresie dania mu: informacji, pomocy w nauce i uprzyjemnienia mu odpoczynku (information, education, leisure). Statutowym niejako zadaniem Muzeum Brytyjskiego jest „zaspakajanie ciekawości i służenie postępowi nauk”. Czytelnika anglosaskiego nie kształci się politycznie, nie uświadamia, nie narzuca mu się kierunku zainteresowań. Nam, od dzieciństwa przywykłym do kaganków oświaty i wychowania obywatelskiego liberalizm ten wydaje się nieraz przesadny, lekkomyślny a nawet niebezpieczny. Pozór to jednak tylko. Gdy głębiej wmyślimy się w istotę systemu, w przenikający go szacunek dla jednostki i wolności myśli, — gdy poznamy rezultaty stuletniego stosowania tych zasad, ich zalety — a nawet wady i zestawimy z metodami pracy za Żelazną Kurtyną, z owym narzucaniem, kierowaniem, podszywaniem, pouczeniem, — owymi przedmowami, komentarzami i posłowiami tak dobrze nam znanymi z wydawnictw krajowych — liberalizm czy nawet relatywizm Zachodu wyda się nam ożywcą czystą wodą, — czymś wreszcie do czego my tu przywykliśmy lub przywykamy.

Powiedzmy sobie szczerze: my już zapomnieliśmy o przedwojennych niedociągnięciach bibliotek polskich, o ubóstwie ich księgozbiorów i przestarzałych systemach ich pracy. Biblioteka publiczna — łatwodostępna, zasobna, z wolnym dostępem do

pólek, z książkami ustawionymi działowo, czystymi, oprawnymi solidnie i estetycznie, uzupełnianymi stale najnowszymi wydawnictwami — jest już dla nas czymś oczywistym i naturalnym. W r. 1942 czy 1943 korzystaliśmy z takich właśnie bibliotek w małych miasteczkach szkockich, w Kircaldy, czy Dunfermline, obecnie mamy je pod bokiem w Coventry czy Croydon. Dla czytelników liczących obecnie koło trzydziestki wizja przedwojennych polskich bibliotek publicznych zatarła się już w pamięci. Starsi przyjeźliby także niechętnie nawrót do dawnego systemu. Jestem pewna, że czytelnicy emigracyjni, którzy w W. Brytanii czy Stanach Zjednoczonych zakosztowali dobrodziejstw wolnego dostępu do pólek, — gdyby tylko było im dane powrócić do Kraju w normalnych warunkach, stałoby się przywódcami rewolucji bibliotecznej, której sensem głębszym byłoby wołanie o szerszy, swobodny wybór lektury. Potrzebę unowocześnienia metod pracy bibliotek polskich uświadamiała sobie przed wojną niewielka garstka, dziś już w większości nieżyjących postępowych bibliotekarzy polskich, a więc np. Faustyn Czerwiński, dyrektor Biblioteki Publicznej w Warszawie albo Jan Muszkowski, dyrektor Biblioteki Ordynacji Krasieńskich i doskonały znawca nowoczesnych systemów pracy bibliotecznej. „Nowoczesnych” zresztą w cudzysłowie. To, o co w Polsce walczyć w przyszłości wypadnie, jest od kilkudziesięciu lat normalną praktyką bibliotek anglosaskich i skandynawskich.

Wróćmy jednak na teren W. Brytanii. Wydawcy (w większości firmy prywatne) robią swoje. Produkcja wydawnicza pokrywa w pełni potrzeby bieżące zarówno w zakresie książek naukowych, podręczników jak i wydawnictw na czasie a zwłaszcza literatury pięknej. Gdy wyczerpie się drugie wydanie, wychodzi trzecie. Gdy powieść „chwyci”, przedrukowuje się ją po roku w taniach Penguinach. Biblioteki mają zapewniony dopływ nowości, mają nadto możność zastąpienia egzemplarza zniszczonego nowym. Gdy nie wystarcza jeden egzemplarz — kupują drugi, trzeci, czwarty. Jeśli książki dostarczyć nie mogą bezpośrednio — działać zaczyna organizacja wypożyczalni międzybibliotecznych, wypełnia się zamówienia kierowane do National Central Library, trwa to czasem przydługą, ale w ostatecznym rezultacie książka dociera do rąk czytelnika.

Kontrast między bibliotekami angielskimi a własnymi naszymi placówkami jest oczywiście ostry i — oczywiście — na naszą niekorzyść. Najzasobniejsze nawet biblioteki emigracyjne stłoczone są w ciasnych i nieodpowiednio umeblowanych lokalach. Najchętniej umieszcza się je w szafach zdobiących sale konferencyjne, odczytowe albo pomieszczenia biurowe. Z konieczności, z braku funduszy. Tam właśnie wieczorami, przy mdłych żaróweczkach działają ofiarni bibliotekarze, częściej bibliotekarki, borykając się z kluczami nie pasującymi do zamków spaczonych szaf-trumien ze zwłokami sędziwych książek, wzruszając nieraz okutanych w kolorowe papiórki, z czarnymi kolejnymi numerami, książek ustawionych w chronologicznym porządku napływu a nie w porządku działowym; — to słowem, co od

kilkudziesięciu lat jest tematem humorystycznych „numerów” w rewiach bibliotekarzy angielskich — to właśnie jest obrazem typowym dla rzeczywistości emigracyjnej. W świadomości starszego pokolenia tak właśnie być powinno: książki wtlaczać należy do piwnic, kuchni i schowków, ładować — jak urzędników w dawnym „Rubensie” do, powiedzmy, łazienek, do skrzyń, do garaży — a oszczędności zaczynać od paragrafu na zakupy książek nowych. Oprawa? — po co oprawiać? Nowe egzemplarze na miejsce zniszczonych? Egzemplarze? — wystarczy jeden egzemplarz! — a kto go pożyczy? — oczywiście inicjator oszczędności, u którego upomnieć się o zwrot nie wypada.

Po najtrudniejszym, tragicznym okresie pierwszych lat wojny, po przeżyciach obozowych, sowieckich, jenieckich, dipisowskich etc. pozostało w umysłach wielu z nas przekonanie, że książka polska może być nieoprawna, brudna, obszargana, koślawo wydrukowana na gazetowym papierze. Ten stan rzeczy ulega stopniowo zmianie na lepsze. Tempo jest jednak zbyt wolne!

A dlaczego? — bo oto przebrała się miara cierpliwości i kontrast między normalnymi bibliotekami angielskimi a naszą biedą — czy w pełni usprawiedliwioną? — razić zaczyna coraz bardziej nie tylko młodych, którzy bez wielkich skrupułów przechodzą od brzydkiej zniszczonej książki polskiej do estetycznej, dobrze ilustrowanej książki angielskiej ale i szarą większość, tj. nas, czterdziesto- i pięćdziesięciolatków, którzyśmy się już osiedlili, ustatkowali, sprawili łachy i graty i chcieli teraz, jak sąsiad przez płot z naprzeciwka, zasiąść na spleconym do ostatniej raty fotelu i po pracy poczytać spokojnie, przy kominku, książkę polską, już nie pierwszą lepszą, nie tę, która spadła za półkę i przy pomocy gimnastyki akrobatycznej dała się wyciągnąć ze szczeliny, i nie tę, którą zwrócił nasz poprzednik w bibliotecznej „kolejce” a która na półki w ogóle nie wraca — ale według pewnego planu, według takiej bodaj listy z jaką wędruje się do Boots'a, Smith'a czy innej podobnej wypożyczalni płaćnej angielskiej.

Nie będę charakteryzować tu szczegółowo przyczyn tego wysoce niezadawalającego stanu rzeczy. Polacy w Wielkiej Brytanii chcą czytać i czytają dużo. Dali temu wyraz wielokrotnie, ostatnio zaś we wzruszającym, pięknym i szczerym porywie masowym, bez precedensu bodaj w historii bibliotek, gdy złożyli 23.000 podpisów pod petycją do brytyjskiego ministra oświaty w obronie uratowanej przez nich ostatecznie Biblioteki Polish University College. A przecież i w tej właśnie bibliotece, stunkowo zasobnej, ograniczać trzeba ilość wypożyczanych „na głowę” książek polskich do dwu, bo kilkunastotysięcznym polskim księgozbiorem obsłużyć trzeba ponad cztery tysiące czynnych (a nawet bardzo czynnych) czytelników. „Czytelnik” jest tu rzeczownikiem zbiorowym, delegatem raczej jakiegoś zespołu lokatorów domu czy licznej rodziny. Przychodzi do biblioteki w wolne od pracy popołudnia albo w soboty, a raczej nie przy-

chodzi tylko przyjeżdża nierzadko za składkowe fundusze, z dalekiego przedmieścia i hurtem zmienia książki, polskie i angielskie, po czym wędruje do pobliskich aptek, by wysłać do Kraju Rimifon i zyletki. Nikt go nie zmusza do przyjęcia, na drzwiach biblioteki brak nawet szyldu z nazwą instytucji, bo nie życzą jej sobie właściciele typowej wiktoriańskiej kamienicy. Tym, co biblioteka może ofiarować tym niewyobrażalnie doskonałym czytelnikom jest sterta dobrze podniszczonych książek, tak szybko przechodzących z rąk do rąk, że na półki nie wracają w ogóle. Na tzw. „polskich” półkach spoczywa dwieście czy trzysta niedobitków, książeczek może nawet wartych przeczytania, ale małych objętością, a więc otwierających niesłychanie małe możliwości wypełnienia lekturą samotnej niedzieli czy też wieczoru po wieczorze, od soboty do soboty, od jednej wizyty w bibliotece do drugiej. Nadchodzi transport od introligatora, sto pięknie oprawnych tomów. Wypożyczalnia rozświeca się złocistymi napisami na grzbietach. Trwa to jak kaprys angielskiej pogody godzinę, w soboty nawet krócej. Czytelniczka z Earls' Court'u, która dowiedziała się od przyjaciółki o nowych i książkach i przyjechała pierwszym pociągami, spóźniła się o kwadrans: nie ma już ani Naglerowej, ani Gołubiewa, ani Czarnyszewicza. Dziesięć tysięcy tomów poczytnej beletrystyki (tzw. „dobrej”, z pominięciem sensacyjnych bredni, literatury kryminalnej i sentymentalnych romansów), przemieszanych z publicystyką, pamiętnikami i bardzo poszukiwanymi książkami popularno-naukowymi — poprawiłoby sytuację na 2-3 tygodnie i przyniosło lawinowy dopływ nowych czytelników. Ale o tym marzyć tylko można.

I tu w skrócie widzimy żalosny portret czytelnika emigracyjnego. Nie garstki wybrańców, dla których otwarte są bogate zbiory polonistów w British Museum, nie tych, co od książki polskiej przechodzą, prawie nie zauważając do francuskiej czy angielskiej, woląc czytać rzecz w oryginale, ale tysięcy, dziesiątków tysięcy czytelników *skazanych na polskość*, od książki polskiej oderwać się nie chcących a czasem także dosłownie nie mogących. Ściślej: książki w języku polskim. Większość Polaków w Wielkiej Brytanii pracuje w zakładach przemysłowych, biurach, sklepach, hotelach etc. angielskich, przez dzień cały mówi po angielsku i słyszy mowę angielską dokoła. Czyta gazety angielskie, słucha angielskiego radia. Wymaga to, czasem już tylko podświadomie, dodatkowego natężenia uwagi, męczy. Książka polska jest odpoczynkiem w podwójnym sensie: i jako zawartość treściowa i jako przedstawienie się na swobodne szlaki myślenia. Opierając się na doświadczeniach całego zespołu obecnych i dawnych pracowników Biblioteki Polish University College, stwierdzić mogę z pełnym poczuciem odpowiedzialności, że Emigracji potrzebne są nadal dobre przekłady z angielskiego, francuskiego i innych języków obcych. Potwierdza to w czasie ostatnich miesięcy ogromna poczytność „1984” Orwella i „Biernego oporu czy wyzwolenia” Burnhama, — przekładów Greene'a, Chestertona czy Marshall'a, cieszących się powodzeniem równym

nowościom polskim a przez nowości rozumiem każdy nowy tytuł pojawiający się na półkach.

Aby zrozumieć to zjawisko uprzytomnić sobie trzeba szereg faktów. Nieliczni tylko Polacy mają za sobą gruntowną, systematyczną naukę języka angielskiego czy francuskiego. Większość opanowała język pośpiesznie, użytkowo, — tyle ile trzeba koniecznie, by porozumieć się w sklepie, w kolejce, przy pracy. Trudności przy lekturze autorów angielskich są dla nich nie do pokonania, a występują na każdym kroku, nie tylko przy czytaniu Shakespear'a czy Milтона, ale nawet „Kapitanów zuchów” Kiplinga czy zasadniczo łatwych powieści Cronin'a. Przewycięzać tu trzeba zależnie od autora: archaizmy, gwarę rybacko-morską, wyrażenia gwarowe. Aldous Huxley albo W. Somerset Maugham są w pewnym sensie pisarzami „łatwiejszymi” od Agathy Christie, autorki powieści sensacyjno-kryminalnych. W latach przedwojennych produkcja krajowych firm wydawniczych wylapywała na gorąco najlepsze, dobre i mierne głosne „nowości” literatury światowych. Dziś ukazuje się ich na ilość może nie mniej, ale w powodzi przekładów z rosyjskiego i pisarzy „krajów demokracji ludowych” świata toną nieliczne i tendencyjnie dobrane przekłady autorów zachodnich, zwłaszcza współczesnych. Biblioteki emigracyjne odczuwają to w sposób szczególnie dotkliwy. Przesadą byłoby niewątpliwie przychylenie się do opinii tych, którzy twierdzą, że czytelnik polski na Zachodzie zna gorzej bieżącą produkcję literacką świata, niż przedwojenny czytelnik w Kraju, — jest jednak w tej pesymistycznej ocenie przysłowiowe ziarno prawdy. W skali światowej wygląda to jeszcze gorzej: czytelnik polski we Francji czy Argentynie, nie znający języka angielskiego, odcity jest w 100 proc. od wydarzeń literackich świata. Obserwacje te potwierdza powolne wychodzenie z kręgu przedwojennych wielkich nazwisk, — irytujące już dziś do żywego upominanie się o Galsworthy'ego, Huxley'a, Martin du Gard'a etc. — trwanie w kręgu pisarzy wielkich ale wczorajszych, z zamykaniem oczu na dzień dzisiejszy. Czyja to jednak wina? czytelnika — odbiorcy czy wydawców, księgarzy, bibliotekarzy wreszcie emigracyjnych? Oni to przecież powołani są do śledzenia literackich wydarzeń i uprzedzania ich szerokiej publiczności czytającej. Co robią, by zaspokoić normalne potrzeby ogółu na odcinku czytelniczym? — Zaiste, niewiele. Da temu wymowne świadectwo bliska już w czasie publikacja „Materiałów do bibliografii druków polskich i Polski dotyczących wydanych za granicą w latach 1939-1951”, wyliczająca tytuły około 6.000 książek i broszur emigracyjnych, przygotowywana przez Bibliotekę Polish University College w Londynie. Książki tzw. „Biblioteczne”: beletrystyka, pamiętniki, biografie, książki na tematy aktualne, reportaże, wydawnictwa popularno-naukowe stanowią nie więcej niż 10 proc. ogółu produkcji wydawniczej. Publikowano ich najwięcej w latach 1943-6, a więc ubogo i oszczędnie, drobną czcionką, na złym papierze. Są już dziś w większości wyczerpane i wyczytane. Nie można zaspakajać przy ich pomocy normalnych potrzeb czytel-

nicznych. Co rozumieć przez nie należy? W potocznym żargonie bibliotekarskim oznacza to danie czytelnikowi takiego zespołu książek, z którego mógłby wybrać rocznie około 40-50 interesujących go tytułów. Oznacza to konieczność dopływu co najmniej 200 tytułów rocznie w dobrze wyważonej mieszance wartościowych prac oryginalnych, przekładów i przedruków. W obrębie owych 40-50 tytułów (jedna książka na tydzień!) na głowę czytelnika podziały będą bardzo różnorodne. Jednych stać jeszcze na to, by czytać „Chłopów” po raz trzeci, inni czynić już tego nie mogą. Jedni, że tak powiem z zamkniętymi oczyma, wylatują z półki „nową” tzn. nieznaną im jeszcze powieść Kraszewskiego, inni cierpliwie szukają dalej, czekając na nadejście czytelników, którzy, może, zwrócą jakąś bardziej atrakcyjną powieść. Jednych urzeka język „Bolesława Chrobrego” Gołubiewa, inni załamują się na 50-tej stronie. Jedni czytać mogą piarsarzy krajowych, Brezę, Brandysa czy Putramenta, by wyciągać z nich wnioski o sytuacji w Kraju, inni czytać nie chcą tego nawet, co na Emigracji pisze się o Kraju. To samo z literaturą obozową, to samo z książkami wojennymi czy wspomnieniami z łagrów sowieckich. Ci, którzy ich uniknęli w strusim odruchu odcinają się od opisów okropności, pogrążają się w nie natomiast gorliwie ci, których wyzwolić byśmy chcieli od koszmarów przeszłości.

W warunkach, gdy wybór lektury ograniczony jest w praktyce do kilkudziesięciu książek znajdujących się danego dnia na półkach — trudno wysnuwać miarodajne wnioski ze statystyk bibliotecznych. Trzeba bowiem chwalebne go uporu i samoza-parcicia, by cierpliwie czytać, powiedzmy, na „Alchemię słowa” Parandowskiego albo „Listy Nikodema” Dobraczyńskiego. Biblioteka dysponuje sześcioma egzemplarzami „Przymierza” Zofii Kossak albo „Gwałtowników” Dobraczyńskiego. Nie wracają nigdy na półkę. Krażą z rąk do rąk. Czy znaczy to, że czytelnik lubi książki o tematyce biblijnej albo wyszukane eseje literackie? Czy zawrotna poczytność Gołubiewa jest oznaką wyrażonych zainteresowań powieścią historyczną? — Tu już powiemy: Tak! — bo na tym jednym, jedynym odcinku potrzeby zarysowują się wyraźnie i czytelnicy dają im wyraz w zdecydowanych żądaniach. Tę rzekomo specyficzną polską cechę upodobań czytelniczych zauważyli także bibliotekarze brytyjscy, obsługujący publiczność polską w okręgu przemysłowym Anglii środkowej.

Długa „kolejka” czytelników czeka na Pamiętniki Chłędowskiego. Cemu? — czy interesuje ich autor, środowisko, epoka? Do wyjątków należy świadoma odpowiedź twierdząca. Dla większości będzie to podróż w nieznane. Gdy zapytamy, czemu w nią wyruszają, odpowiedź brzmieć będzie najczęściej: „Mam już dosyć powieści, chcę przeczytać coś poważniejszego, książkę o ludziach i sprawach rzeczywistych”.

Wspomniani poprzednio czytelnicy, ci których pociąga przeszłość w powieściowym bodaj ujęciu pragnęli właściwie tego samego: książki o ludziach i sprawach rzeczywistych. Głód realizmu? — oczywiście! Na skalę wręcz zastraszającą, po trupach

pisarzy „Młodej Polski” — a nawet, ciężko to napisać, Wyspiańskiego i Żeromskiego. Nie znaczy to, by odrzuciwszy ich książki, ten sam czytelnik sięgał po Mniszkównę czy Mostowicza. Pisarzem, który odpowiadać mu będzie może okazać się Flaubert albo Orwell (po polsku!). Nie chodzi tu o skalę trudności, istotą rzeczy jest zaspokojenie głodu autentyzmu albo upewnienie się, że opis zdarzeń zewnętrznych czy też doznań wewnętrznych jest wiarogodny (lub wysoce prawdopodobny, idący po linii jego własnych przypuszczeń), zasługujący na zaufanie.

Przeciętny czytelnik wyraża w tym, jak mi się wydaje, coś jeszcze innego: głód wiedzy i szukanie własnej postawy filozoficznej. Ma on przeważnie jakiś fach, czasem dwa: dawny przedwojenny i nowy, wyraz częściej deklasaacji niż awansu społecznego. Uczyć się otwarcie nie chce, nie zawsze sprecyzowane ma zresztą dostatecznie wyraźne kierunki zainteresowań. Ujściem byłoby dla niego podsuniecie tomów czegoś co byłoby aktualnym odpowiednikiem Biblioteki Wiedzy Trzaski, Everta i Michalskiego, książek popularnych ale rzeczowych z zakresu historii, archeologii, nauk przyrodniczych i społecznych. My tego wszystkiego dać mu nie możemy. Dajemy mu niemal wyłącznie beletrystykę i to w większości pisma tzw. klasyków literatury, swoich i obcych. Czemu? — bo dominują one wyraźnie wśród wydawnictw krajowych, nadających się na nasze półki biblioteczne. Czytelnik bierze więc powieść, ale sumienie go gryzie, że nie kształci się przy tym, że czas marnuje. I dlatego sięga tak chętnie po powieść historyczną, biografię czy pamiętnik. Zostaje po tym zawsze garść wiadomości historycznych, czasem żałośnie fragmentarycznych, którymi chętnie będzie się później popisywał. Nie sądźmy go za to surowo. Naszą jest winą, że teraz dopiero, dopiero w r. 1952-53, podejmuje się po długiej przerwie nieśmiało próby zaspokojenia potrzeb czytelnicznych Emigracji, co znalazło wyraz w niewątpliwym ożywieniu produkcji wydawniczej. Studium o zbieżnościach w utworach pisarza X i pisarza Y może być źródłem radości garstki specjalistów. Przyjemnie jest pracować nad nowym tematem, robić odkrycia literackie. Książka popularna czy podręcznik satysfakcji tej nie daje, czy raczej podobno nie daje. Jest sprawą naszą własną, sprawą naszego sumienia, co jest ważniejsze, co jest potrzebniejsze.

W sposób tendencyjny, czasem przerażająco perfidnie, robi się w Kraju niesłychanie dużo, by zaspokoić potrzeby czytelnika tzw. masowego. Książek tam wydrukowanych używać nie możemy *en bloc* dla zaspokojenia indywidualnych potrzeb naszych czytelników. I w kółko dzieło po dniu odpowiadamy: oto zarys historii Polski Lewickiego, oto literatura Chrzanowskiego, oto „Polska w zwyczaju i obyczaju” Dynowskiej, — przestarzałe? — prawda, ale nowszych nie ma. Podręcznik historii literatury okresu pozytywizmu i „Młodej Polski” — nie ma takiego w ogóle na naszych półkach.

Kurs dziejów Polski porozbiorowej gen. M. Kukiela wydany zawstydzająco ubożuchno i w mikroskopijnym nakładzie jest

— oby — pierwszą jaskółką zmian. Autorowi należy się szczerza wdzięczność za to, że czasu swego i wiedzy nie szczędził na napisanie pożytecznego popularnego zarysu. Wzór to i pożyteczny i zawstydzający.

Alé wróćmy do litanii braków. Co dzień, dosłownie co dzień, odpowiadamy czytelnikom: nie ma zbioru biografii wybitnych Polaków, nie ma zyciorysu Sienkiewicza, Orzeszkowej, Prusa, Konopnickiej, Żeromskiego. Nie ma polskiej biografii Chopina. Nie ma książki o Wielkiej Emigracji. Nie ma zarysu stosunków kulturalnych polsko-angielskich. Nie ma książki o wielowiekowych związkach Polski z Zachodem — Terlecki napisał tylko krótki szkic na ten temat. Nie ma zbioru polskich legend historycznych. Nie ma bazarza polskiego. Nie ma książki o polskim roku obrzędowym, o polskiej sztuce ludowej. Nie ma antologii materiałów na obchody rocznic narodowych. Nie ma książki popularnej, syntetycznej o Polsce współczesnej. Nie ma książek o miastach polskich, o Warszawie, Poznaniu, Katowicach, Toruniu, Wilnie, Krzemieńcu, Lwowie — książek, które by ukazały młodemu pokoleniu rację naszej tęsknoty za utraconą Ojczyzną. I to właśnie jest nienormalne i niezrozumiałe. Gdyby o potrzebach tych mówiło się więcej i bardziej rzeczowo, doszłoby zapewne do realizacji najpilniejszych postulatów, w formie nie przedruków i przeróbek, ale nowych opracowań, jeśli nie indywidualnym to zbiorowym wysiłkiem, tak jak powstały ongiś urwane w pół drogi „Straty kultury polskiej”, praca zbiorowa, bez cech przecież negatywnych tzw. „zamówienia społecznego”. Cechą wspólną wymienionych wyżej wydawnictw jest to właśnie, że zaspakajają one mają głód informacji, chęć samokształcenia.

Czytelnik polski szuka jednak poza tym czegoś więcej: gruntu pod nogami, osadzenia się w ramach jakiegoś określonego i konsekwentnego poglądu na świat, szuka drogowskazów i rady. Prof. Konrad Górski zastanawiał się niedawno nad problemem wartościowania dzieł literackich. Co składa się na dobrą recepcję dzieła u czytelników i krytyków? Do dwu wymienianych zazwyczaj elementów: treści i formy (w sensie i kompozycji i języka) dodał trzeci: wartości moralne a w szczególności wartość dzieła literackiego jako bodźca działań lub kierunku myślenia. Tkwią one nieraz podświadomie, podskórnie, w treści a nawet języku. Występować mogą bezpośrednio i dobitnie, wywołując sprzeciw, albo porywając za sobą. Mogą, jak przysłowiowa kropla drażnić kamień. Ale tkwić w dziele muszą. I tym właśnie tłumaczą się ogromne sukcesy moralne, sukcesy w najlepszym znaczeniu, pisarzy, których dzieła są świadectwem głębokich i autentycznych zmagania, z których wyszli oczyszczeni i lepsi — a więc Norwida, a więc Jerzego Lieberta, a więc Herlinga-Grudzińskiego, a więc Orwella.

W społeczeństwie emigracyjnym nie ma prawie jednostki wolnej od kompleksu tak czy inaczej pojętej winy, a błądzenie i szukanie towarzyszy nam najwierniej. Ci więc, którzy szukali, błądzili, których dzieła są wyrazem jakiegoś ukończonego zwycięstwem przynajmniej etapu szukania, ci są właśnie czytelniko-

wi emigracyjnemu szczególnie bliscy i nigdy nie są dla niego zbyt trudni.

Jest to znów, jak poprzednio, w wypadku realizmu sprecyzowanie postulatów bliskiego pozornie krajowym bohaterom pozytywnym. Słowa jednak kłamią. Żaden z wymienionych przykładowo autorów nie odpowiadałby oficjalnym wymaganiom krajowym. O porozumienie byłoby bardzo trudno.

Jeden jeszcze czynnik występuje wyraźnie przy gromadzeniu wypowiedzi czytelniczych takich jak te oto: „Biorę po raz drugi listy Słowackiego dla ich pięknego języka”. „Nie podobała mi się ostatnia książka X, ale przyznać muszę, że podслуchał dobrze język kresowy”. „Muszę przeczytać coś pisanego dobrą polszczyzną dla odświeżenia słownictwa, przebywam stale wśród Anglików”. Wydaje się, że troska ta znajduje wyraz praktyczny w tekstach językowych, odpowiedziach redakcji itp., które tak chętnie czytane są przez szerokie rzesze, — a także w zdecydowanym zaniku wpływu Wiecha na mowę inteligencji emigracyjnej. Język błady, potoczny albo przesadnie staranny nie podoba się także. Czytelnik zdecydowanie niewyrobiony zaskoczył mnie kiedyś ostrą krytyką języka Mostowicza, którego uważał poza tym za wielkiego pisarza, klasyka, którego książki „należały do lektury szkolnej i z których pisało się wypracowania”.

Gdy formułuję uwagi o czytelnictwie podświadomie wracam stale do czytelników najmniej wyrobionych, najliczniejszych i najbardziej zaniedbanych. Oni właśnie karmieni dziś literaturą oczyszczoną po troszeczkę, jakby z kropłomierza, winni być okiem w głowie pisarzy, wydawców i bibliotekarzy. Ale nie są. Na niedawnym wieczorze poświęconym emigracyjnemu piśmiennictwu dużo mówiło się o sztuce dla sztuki a bardzo mało o odbiorcy, a już, jeżeli to o tym dalekim, pogrobowym, który tu niedocenionych, gdzieś tam w przyszłości dalekiej odkryje i oceni. Wydawcy? — ci nie rozumieją czytelnika i niewiele robią, by go poznać, a raczej robili do niedawna, bo w miesiącach ostatnich coś się zmieniać zaczyna na lepsze. Bibliotekarze? — i ci także nie są bez winy.

Wróćmy do punktu wyjścia. Wielorakim formom rozrywek kulturalnych, które stoją otworem przed obywatelami krajów anglosaskich, my przeciwstawiać możemy to tylko: książki, czasopisma, strzępy audycji radiowych. Najlepiej wygląda odcinek czasopism: nie tylko zaspakajają one — i to na ogół dobrze — potrzeby czytelnicze w zakresie informacji o sprawach bieżących, ale pełnią nadto funkcje zastępcze, latając braki na odcinku książkowym. Stosunek Emigracji do czasopism zasługuje na obserwację i badanie; rola ich w kształtowaniu opinii publicznej i budzeniu potrzeb kulturalnych jest zasadnicza, kluczowa i bez precedensu. Zawdzięczamy im ciągłość tradycji literackiej, na łamach ich witamy nowe nazwiska. Pozostaną po nas, jako zjawisko dla epoki naszej najbardziej charakterystyczne — a wstydzicie się ich, zdaje się, nie będziemy potrzebowali. Towarzyszą im wiernie czytelnicy, — i ci, którzy grosz do grosza ciufając

składają na prenumeratę, — i ci także, którzy wykradają je z czytelni i podrzucają z wyciętym artykułem Wańkowicza albo „Katedrą Sandwiczów”.

Wzmianka o opowiadaniu Straszewicza pozwala mi na przejście do ostatniego punktu moich rozważań — osadzenia czytelnika emigracyjnego w W. Brytanii w określonej warstwie społecznej, „klasie”. Nie jest nią na pewno tylko i wyłącznie tzw. inteligencja. Czytelnikami najgorliwzszymi, najwdzięczniejszymi i co więcej, nabywcami książek są w przygniatającej większości ex-żołnierze, pracownicy fizyczni, drobni urzędnicy itp., rzadko mogący wykazać się świadectwem ukończenia pełnej szkoły średniej. Zdziwiająca odporność psychiczna, zdrowy sens, zaradność i rzetelność każe przeciwstawiać tę ogromną grupę mniej liczną ale bardzo typowej grupie zdeklasowanych i obarczonych kompleksami, załamanych nerwowo inteligentów, nie mogących zdobyć się na sformułowanie własnej opinii, zdolnych jedynie do powtarzania gotowych prefabrykowanych sądów. Zarysowało się to szczególnie ostro w wypadku „Katedry Sandwiczów”, o której szary ludźk dowiedział się natychmiast, psim swędem, pocztą pantoflową, na nocnej zmianie, w ogonku u Sainsbury'ego, — a której tzw. elita intelektualna opornie przeciwstawia się dotąd.

Na oczach naszych, na pożywe samouctwa i dobrej woli, w twardej szkole życia, — co by się nie mówiło, — zachodnio-europejskiego wyrasta i dojrzewa nowa fala czytelników, obejmująca coraz szersze kręgi. Żal, że można im dać tak mało. Że karmi się ich owymi nowościami à la Kraszewski, owymi rozlatującymi się brudasami, które biorą bezgłośnie, choć wiedzą, że brak kartek i że czekać wypadnie na tom drugi. Coś by jednak zrobić warto, by ów żywiołowy proces tworzenia się nowej inteligencji przyspieszać i podsycać, wyprostowywać i upowszechniać.

Maria DANILEWICZOWA

OSTATNIE WIADOMOŚCI

Jedynie pismo polskie w strefie amerykańskiej Niemiec
Ukazuje się trzy razy tygodniowo.

W każdą niedzielę dodatek.

Korespondenci: we Francji, Wielkiej Brytanii, Włoszech,
Kanadzie, St. Zjednoczonych, Wenezueli, Argentynie,
Australii i Nowej Zelandii.

Ogłoszenia: 1 cm. 1 łam. — 4,20 DM (1 dol.).

Za słowo w ogł. drobnych 0,20 DM (5 ct. am.)

Redakcja, administracja, drukarnia:

17a, MANNHEIM-SANDHOFEN, 4094 LSCO Schoenau
US Zone, Germany.

Najnowsza historia Polski

„Świt” - tajemnica Naczelnego Wodza

(Dalszy fragment wspomnień osobistych, umieszczonych w „Kulturze” Nr 7/24 z 1949 r., pt. „Pierwsze władze Polski Podziemnej”, oraz w Nr 11 z 1948 r., pt. „Ostatnie Miesiące Delegatury Rządu”).

Wydawnictwo Komisji Historycznej Polskiego Sztabu Głównego w Londynie, pt. „Polskie Siły Zbrojne w Drugiej Wojnie Światowej Tom III — Armia Krajowa”, na str. 286 zawiera wzmiankę treści następującej:

„Należy tu przede wszystkim sprostować dość rozpowszechnione lecz mylne mniemanie, jakoby radiostacja „Świt” nadawała z Kraju. W rzeczywistości była to stacja angielska, nadająca spod Londynu audycje w języku polskim, opracowane przez zespół polski, pod ścisłą kontrolą angielską”.

W ten sposób tajemnica „Świtu”, która już zaczęła przesiąkać na zewnątrz w końcowym okresie Drugiej Wojny Światowej, została jak gdyby oficjalnie zaliczona do materiału historycznego i nie już nie stoi na przeszkodzie, by oświetlić działalność „Świtu” od strony krajowej. Przystępuję do tego zadania, znając obecnie odwrotną stronę medalu, tj. spory i rozbieżne opinie, jakie w sprawie „Świtu” były wypowiedzane w czasie wojny na emigracji, głównie na temat, czy „Świt” służył polityce angielskiej, czy polskiej. To dodało mi bodźca do ujawnienia krajowego oblicza tej imprezy, oblicza tak odmiennego od tego, jakie „Świt” posiadał dla wtajemniczonych w Anglii. Dla nas bowiem w kraju, w podziemiu, był on radiostacją polską, którą osłaniała tajemnica najwyższego rzędu — bo Naczelnego Wodza.

Materiały drukowane w tym dziale są zamieszczane na odpowiedzialność autorów i nie są wyrazem poglądów Redakcji.

I

W kwietniu 1941 roku zostałem mianowany Pełnomocnikiem dla spraw ruchu oporu całej ludności polskiej. Stanąwszy na czele Kierownictwa Walki Cywilnej, postawiłem sobie m.in. za zadanie zorganizowanie własnego połączenia radio-telegraficznego z Londynem. To się udało: pierwsza tajna radiostacja nadawcza została wybudowana w Warszawie przez siedemnastoletniego krótkofalowca-amatora Ziutka, który chociaż pisze nieortograficznie, bo skończył tylko szkołę powszechną, to jednak potrafi budować radiostacje. Jest to swego rodzaju geniusz techniczny, przedmiot podziwu ludzi, związanych z naszą robotą. Po paru miesiącach bezskutecznych prób, nawiązuje on, przy pomocy dwudziestoletniego telegrafisty Janka, łączność z Londynem w dniu 2 sierpnia 1941 roku. Od tego czasu sieć łączności rozwija się coraz bardziej i w roku 1942 mamy już kilka radiostacji, komunikujących się z Londynem, który informujemy o wszystkich wydarzeniach w Polsce. Radiostacje są ulokowane częściowo w Warszawie, częściowo w podmiejskiej okolicy i praca ich jest niesłychanie niebezpieczna. Rozwija się bardzo szybko dramatyczna i pełna napięcia walka radiostacji i ich osłon ze specjalnymi oddziałami niemieckimi, składającymi się z Gestapo i techników radiowych. Jest to walka nie tyle na broń, ile na wzajemne szpiegowanie, podstępny i lepszą organizację. Na wywiad Niemców odpowiadamy kontrwywiadem, na ich zasadzki swoimi, na ich ulepszenia — naszymi. Broń odzyska się tylko wtedy, gdy wszystko zawodzi i jest to z reguły sygnał śmierci dla naszych ludzi, którzy w mieście pełnym Niemców, nie mogą walki wygrać. Ekipy goniometryczne tropią nasze stacje w dzień i w noc. Używają do tego stałych punktów podsłuchowych, rozlokowanych po całym kraju systemem „trójkąta”, samolotów i samochodów zaopatrzonych w aparaty pomiarowe, wreszcie wywiadowców, przebiegających się za przekupniów, miejskich czyszcicieli ulic, kolejarzy a nawet księży. Węszą oni w bloku domów, wskazanym przez pomiary. Strój, w jaki się przebiegają, ma ich uczynić niewidocznymi w tłumie polskich mieszkańców i przechodniów. Wielu z nich mówi po polsku. Bronimy się ciągłą zmianą mieszkań, z których radiostacje nadają, ale o które bardzo trudno, zmianą tak zwanych „elementów ruchu”, tj. długości fal, godzin pracy, znaków wywoławczych, po których nasza stacja poznaje się z londyńską i które co dzień są inne według ustalonego systemu, zmianą rodzaju szyfrów itd. Słowem robimy wszystko to, co utrudnia Niemcom pomiary i zidentyfikowanie radiostacji. Ostatnią deską ratunku są nasze obserwatorki, kobiety spacerujące po ulicach, w okolicy domu, gdzie radiostacja pracuje, a także czuwające w lokalu samej radiostacji, przy oknie; obserwują one wszystko i alarmują w razie spostrzeżenia krążącego po niebie samolotu (często ze zgaszonym motorem, by hałas nie zwracał uwagi), lub kręcących się po ulicy podejrzanych samochodów i ludzi. Na dany przez nie sygnał,

stacja przerywa pracę i aparat wędruje do tajnego schowka. Obserwatorki te, dla usprawiedliwienia długiej obecności na ulicy, zajmują się sprzedażą gazet, owoców, chleba lub udają handlarki domokrażne. Z czasem nabierają doświadczenia i rozwija się w nich wspólny instynkt, działający jak dzwonek alarmowy, który ratuje nie raz nasze radiostacje przed niechybną zgubą.

Jeśli szperaczom niemieckim uda się zmylić czujność obserwatorek i przejść przez ich linie niespostrzeżenie, telegraficznie na radiostacji pozostaje tylko pistolet i granaty, z którymi w czasie pracy nie rozstaje się ani na chwilę i którymi broni się póki nie padnie. Czasami udaje mu się uciec. Na inny ratunek liczyć nie może.

Ten system obrony funkcjonuje do roku 1943 dobrze. Nasze radiostacje nie ponoszą w tym czasie żadnej straty. Później jednak...!

II

Pod koniec 1941 roku, Ziótkowi udało się zrealizować nasz wymarzony projekt, jakim było zorganizowanie tajnej radiostacji fonicznej (pracującej na głos), umożliwiającej nadawanie tajnych audycji dla kraju i zagranicy. Wybudował on taką stację foniczną z części, pościąganych od różnych krótkofalowców-amatorów, o mocy 300 watów i nadaliśmy z niej w przeddzień Bożego Narodzenia audycję, przeznaczoną dla Polaków w Anglii. Została ona przez nas powtórzona w przeddzień Nowego Roku i odbiór jej został potwierdzony w przemówieniu członka rządu polskiego, który odpowiedział na nią przez BBC w dniu 10 stycznia 1942 roku. (Patrz „Biuletyn Informacyjny z 22 stycznia 1942 roku”).

Przy pomocy tej samej radiostacji udało nam się nadać we wrześniu 1942 roku jeszcze jedną audycję w języku angielskim i polskim dla Anglii. Niestety, tylko jej fragmenty zostały utrwalone w Anglii na taśmie, gdyż na ogół była tam źle słyszana z powodu małej mocy naszej stacji i przeszkód w eterze. Nie nagrane części przemówień zostały wobec tego później przetelegrafowane. Ówczesny premier, generał Władysław Sikorski, zdecydował transmitować te audycje przez kilkadziesiąt radiostacji alianckich, ale przedtem zwrócił się telegraficznie do swego pełnomocnika w kraju, delegata rządu Stanisława Piekałkiewicza — który objął stanowisko po Ratajskim — i do Komendanta AK, generała Jana Roweckiego, z zapytaniem, czy się na to zgadzają. Delegat Piekałkiewicz nie tylko że udzielił natychmiast swej zgody, ale prosił generała Sikorskiego o jak najszersze rozpowszechnienie nadanych z Polski przemówień. Natomiast generał Rowecki odmówił swej zgody, tłumacząc się obawą doprowadzenia do wściekłości Niemców i pogorszenia przez to bezpieczeństwa pracy innych radiostacji. Wobec dwóch sprzecznych opinii, transmisji zaniechano ku oburzeniu Ziótki,

Zosi i wszystkich, którzy w tę imprezę włożyli tyle pracy i ryzyka.

Miałem na ten temat burzliwą rozmowę z Roweckim. Pod koniec jej Rowecki rozłożył ręce: „Może macie rację, ale ja nie mogę iść przeciw opinii mego szefa łączności, a on się sprzeciwia transmisji”.

Niemniej nie zrezygnowaliśmy z ulubionego pomysłu i Ziótek zaczął budować nową radiostację, o mocy jednego kilowata, dla której lampy nadawcze otrzymaliśmy już ze zrzutów, dokonanych przez samoloty alianckie.

III

Któregoś dnia, w jednym z naszych tajnych lokali, szefranka Zosia podniosła głowę znad obszernego stołu, założonego arkuszami papieru, na których odszyfrowywała otrzymaną tylko co z Londynu depeszę i powiedziała podnieconym głosem: „Przeczytaj, to coś ciekawego”.

Pochyliłem się nad kolumnami cyfr, z którymi Zosia wybrała jakieś dziwy dla wydobycia tekstu i odczytałem mniej więcej, co następuje: „Czy słyszycie tajną radiostację, pracującą na fali 31 metrów, o godzinie ósmej rano i siódmej wieczór, w języku polskim?”

Byłem zdumiony i zaskoczony. O istnieniu takiej radiostacji nic nam nie było wiadomo. Jedyną dobrze nam znaną radiostacją, używającą polskiego języka, było BBC, które wobec skonfiskowania przez Niemców radioaparatury, słuchane było potajemnie, na odbiornikach nie oddanych, lub wybudowanych w konspiracji. Na długo przed siódmą czatowaliśmy, Zosia, Ziótek i ja, w naszym lokalu, w jednej z najwyższych kamienic na Marszałkowskiej. Był tam warsztat Ziótki, do którego można było się dostać tylko po uruchomieniu specjalnej sieci sygnalizacyjnej. Wprawiało ją w ruch naciśnięcie główki od szpilki, ukrytej we framudze drzwi. Pokój zawałony drutami, lampami, transformatorami i mnóstwem rzeczy, znanych tylko specjalistom. Ziótek, blade, wysoki, pochylony chłopak, o dziwnie dojrzałym spojrzeniu i wielkich, zrosniętych brwiach, przygotował już odbiornik. Punktualnie o siódmej odezwał się głos mocny i czysty, widać, że stacja na wysokim technicznym poziomie. Już z pierwszych słów tekstu było widoczne, że stacja jest antyniemiecka i że mówi z kraju, z okupowanej Polski. Zaczęliśmy sobie łamać głowy. Kto to mógł zrobić? Zналиśmy dobrze konspiracyjne środowisko radiowe i jego możliwości, toteż cała sprawa wydała nam się nie do wiary. Ale nasz zwiadowany pomysł został przez kogoś zrealizowany i tajna radiostacja krajowa mówi przecież, i to doskonale!

Wysłałem natychmiast depeszę do Londynu, podającą bardzo pochlebne techniczne uwagi o nieznanej stacji. Zarazem podałem, że nic o niej nie wiemy. Chodziliśmy w dalszym ciągu za intrygowani, słuchając regularnie zagadkowych audycji.

Wyjaśnienie nie kazało na siebie długo czekać. Pewnego dnia otrzymałem własnym szyfrem depeszę, zastrzegającą niezwykłą tajemnicę, bo przed wszystkimi w Polsce, bez wyjątku, włączając w to władze podziemne. Informowała ona, że tajna radiostacja o nazwie „Swit”, znajduje się w kraju alianckim i jej zadaniem jest udawanie stacji krajowej, gdyż to z jednej strony wzbudzi na zachodzie większe zaufanie dla wiadomości przez nią podawanych, a z drugiej będzie to dobra dywersja i propaganda antyniemiecka. Depesza podkreślała, iż powierzono nam tajemnicę najwyższego rzędu, bo Naczelnego Wodza, który wziął na siebie odpowiedzialność za jej dochowanie. Następne depesze podkreśliły z naciskiem, że cała ta koncepcja może się załamać, jeśli nasza organizacja radiowa nie będzie w stanie stale zaopatrywać „Switu” w świeże, możliwie codzienne wiadomości z Polski. One tylko mogą pozwolić „Switowi” na odgrywanie z powodzeniem roli radiostacji krajowej.

Pomysł nam się bardzo spodobał. Wpadliśmy w nastrój radosnego podniecenia i zaczęliśmy na wysięgi dyskutować możliwości robienia Niemcom różnych kawałów. Rozumieliśmy przy tym doskonale doniosłość tej koncepcji z punktu widzenia akcji antyniemieckiej. Oczywiście na czoło wybijała się konieczność dostarczania „Switowi” jak najwcześniej i jak najwięcej wiadomości z okupowanego kraju. Z tego znów wyłonił się pomysł, by umożliwić „Switowi” podawanie wiadomości o wydarzeniach w Warszawie z tego samego dnia. Było to możliwe, gdyż nasze radiostacje były na miejscu, w Warszawie, a główna szyfrantka, Zosia, zawsze pod ręką. Była to przecież moja żona, z którą od przeszło dwóch lat ukrywałem się, coraz to zmieniając nazwisko i fałszywe dokumenty. Z tego wszystkiego wyłonił się następujący system, stwarzający nie raz karkołomne sytuacje.

IV

Wychodziłem wcześniej na miasto, rozglądając się pilnie, czy nie jestem obserwowany, lub by nie natknąć się na Niemców, łapiących po ulicach ludzi na roboty. Rozpoczywałem w ten sposób polowanie za jakąś sensacyjną wiadomością, która by dała „Switowi” temat do audycji tego samego, lub następnego dnia. Jeśli nieszczęście chciało, że Niemcy w nocy na przykład rozplakutowali listę osób, rozstrzelanych z tego czy innego powodu (duże, rzucające się w oczy czerwone afisze, dobrze znane każdemu mieszkańcowi Warszawy z tego okresu czasu) lub rozlepili jakieś rozporządzenie, lub też w ogóle coś się stało, o czym całe miasto mówiło, wówczas wracałem do kryjówki i po ułożeniu tekstu i zaszyfrowaniu go przez Zosię, depesza wędrowała na stację tak, by zdążyć na rozpoczęcie pracy z Londynem.

Gdzieś na Ogrodowej czy na Chłodnej, obserwatorce kręcące się po ulicach, wymieniają z Zosią, która niesie depeszę, porozumiewawcze spojrzenia: „Wszystko w porządku, możesz

iść”. Rzut oka na okno. Firanka odchylona, czy też doniczka z kwiatami ustawiona w umówiony sposób. Znaczy to — droga wolna. Teraz pukanie do drzwi według systemu ustalonego na dany okres czasu. Drzwi się uchylają. Przy stole siedzi ze słuchawkami na uszach jeden z naszych telegrafistów, Władek, Janusz czy Mirek i „łapie Londyn”. Telegrafista ma twarz skupioną, wpatrzony gdzieś przed siebie. Ręce miarowo wystukują: „tu woła stacja nr 30...” Sygnał idzie raz po raz w powietrze, a po tym: „przechodzę na odbiór...” Ręka telegrafisty odskakuje od klucza i cały zamienia się w słuch. Za chwilę wyjaśnia mu się twarz, kiwa głową z zadowoleniem i wyciąga rękę po depeszę. W Londynie słyszą go i to dość dobrze. Wkrótce Londyn zaczyna odbierać wiadomości dla „Switu”.

Wieczorem słyszymy ją nadaną przez „Swit”, rozbudowaną i skomentowaną. Słyszą ją tysiące Polaków, słuchających w kraju radia potajemnie, nie bacząc na grożącą im za to karę śmierci. Nie słyszą jej tylko Polacy w... Anglii, gdyż dzięki specjalnym urządzeniom technicznym, „Swit” nie jest tam słyszany.

V

Niemiecka gazeta „Nowy Kurier Warszawski”, wydawana w języku polskim, wychodzi na miasto około pierwszej po południu. Żalana jest obrzydliwą, niemiecką propagandą, ale ma zawsze jakiś materiał, nadający się dla „Switu”, którego zadaniem jest także zwalczanie tej propagandy. Jednak przygotowanie i wysłanie depeszy zajmuje parę godzin i „Swit” nie byłby w stanie cytować „Nowego Kuriera Warszawskiego” tego samego dnia. Ale czasami udaje się na to znaleźć sposób.

Oto któregoś dnia, wcześniej rano, stoję czujny i baczny na to co się wokół dzieje, na rogu ulicy Marszałkowskiej i Placu Zbawiciela, niedaleko miejsca, gdzie się drukuje „Nowy Kurier Warszawski”. Po paru minutach z tramwaju wyskakuje znajoma postać. Oczy zaspane, twarz nieogolona. Wchodzimy, rozejrzawszy się starannie naokoło, do pierwszej lepszej bramy, a stamtąd na schody. Nasłuchujemy — nikt nie idzie. Mój towarzysz wyciąga z kieszeni zwitek papieru, wpycha mi w rękę i ze słowami „do widzenia”, zbiega ze schodów.

Spieszę do naszego lokalu, zadowolony jak zawsze, gdy coś idzie gładko. Rozwijamy z Zosią paczkę i oto przed nami leżą mokre jeszcze płyty „Nowego Kuriera”, na kilka godzin przed wypuszczeniem go na miasto. Udało nam się pozyskać pracownika redakcyjnego i ten, gdy tylko okoliczności mu pozwolą, będzie nam dostarczał wcześniej rano pierwsze odbitki NKW, robione dla korekty. Nasz łącznik dostał już dzisiaj od niego pierwszą porcję. Przejrzenie tekstu, znalezienie materiału, ułożenie depeszy wraz z dodaniem wskazówki takiej, jak „wykpijcie” lub „pogróżcie”, to tylko kwestia kilku kwadransów. Więcej czasu zabiera przewiezienie i nadanie depeszy, zależne od wa-

runków w eterze. Ale na ogół, po paru godzinach depesza jest w Londynie, a wieczorem, nasz przygodny kontroler audycji „Switu”, Józef Wierusz-Kowalski, Polak, obywatel szwajcarski, mający z tego powodu prawo posiadać oficjalnie odbiornik, słucha w swym mieszkaniu na kolonii Staszycy :

„Tu mówi „Swit”... Dzisiejszy „Nowy Kurier Warszawski” przynosi rozporządzenie Gen. Gubernatora Franka, podwyższające normy tłuszczy dla ludności polskiej tzw. Generalnej Gubernii. Głupi Niemiec myśli, że Polacy dadzą się pozyskać kilkoma gramami słoniny...” i tu następują dalsze kpiny z Niemców.

Wierusz-Kowalski nie wie, że „Swit” jest poza krajem, a że mu mówię z góry, co ma w audycji sprawdzić, więc jest może najbardziej ze wszystkich przekonany, że „Swit” jest w kraju.

Nasz wywiad donosi, że Niemcy się wściekają i szukają „Switu” zawzięcie. Nic nie może nam sprawić większej satysfakcji !

VI

Spotykam się w małej kawiarence, jakich było wtedy w Warszawie bez liku, z moim znajomym, redaktorem tajnego pisma podziemnego. Pytam go : „Kiedy wypuszczasz najbliższy numer ?” — „W czwartek”. Dziś jest poniedziałek, więc jest dosyć czasu na zrealizowanie nowego pomysłu. Pytam : „Czy podasz jaką ważną wiadomość ?” — „Tak. Sztab lotnictwa niemieckiego ulokował się w Konstancinie, pod Warszawą”.

Następnego dnia idzie o tym depesza do Londynu, z dodatkiem : „Podajcie to w czwartek”. Toteż w czwartek rano „Swit” mówi : „Podziemna gazeta... z dnia dzisiejszego donosi, że sztab lotnictwa niemieckiego ulokował się w Konstancinie, pod Warszawą”. A dalej następuje komentarz, omawiający znaczenie tego faktu.

Z nasłuchów BBC dowiadujemy się, że ta właśnie konkretna wiadomość obleciała prasę i radio całego świata.

W ten sposób nie tylko zagranica, ale i ludzie z polskiego Podziemia, np. w Warszawie, z jednej strony słuchający „Switu”, a z drugiej czytający prasę podziemną, widząc, że „Swit” podaje wiadomość, zawartą w podziemnej gazecie z tego samego dnia, daliby się posiekać w kawałki, że „Swit” jest w kraju.

VII

Cały system już chwycił i funkcjonuje, toteż czas było postawić kropkę nad „i”. I oto w całej prasie podziemnej ukazał się komunikat Kierownictwa Walki Cywilnej, donoszący o istnieniu tajnej radiostacji „Swit” i podający godziny jej pracy oraz

fale, na jakich należy jej słuchać. Komunikat nie stwierdzał, że „Swit” jest w kraju, ale stwarzał takie domniemanie, w każdym razie łączył z nim KWC (Patrz „Biuletyn Informacyjny” nr 24, z 17 czerwca 1943). Staje się on sensacją dnia w podziemnej Warszawie.

VIII

W ten sposób zaczynamy przy pomocy „Switu” nie tylko informować świat o wydarzeniach w Polsce, ale też terroryzować Niemców, pilnie zresztą kontrolujących audycje „Switu”. Zwracamy się specjalnie do tych, którzy dopuszczają się okrucieństw. „Swit” wymienia ich zbrodnie i grozi. Ponieważ nie rzucamy pogrozek na wiatr, o czym Niemcy dobrze wiedzą, zatem zdąży się, iż niektórzy z nich łagodzą postępowanie, inni starają się o przeniesienie do Rzeszy, wreszcie Kreishauptmann pow. warszawskiego, Richter, stara się wytłumaczyć przed ruchem podziemnym przy pomocy przywołanego pod pretekstem choroby lekarza polskiego i przyrzekając poprawę prosi o litość. Oto przykład pogrozek :

„Dwudziesty kwietnia 1943 r. Pogroźcie komendantowi niemieckiej policji w Kielcach, Geyerowi, który podczas ekspedycji odwetowej w Samsonowie osobiście zabił żonę i dwie córki sekretarza gminy i dwóch urzędników gminy. Pogroźcie gestapowcowi Witkowi, w Łagowie Kieleckim, za zamknięcie w obozach i spalenie żywcem kilku rodzin i urzędnikowi kolejowemu Vogtowi w Jędrzejowie, który bez powodu zastrzelił pasażera i kolejarza Kudę”.

„Piętnasty października 1943. Po południu podali Niemcy przez megafony nazwiska dalszych czterdziestu zakładników. Ogółem wzięli stu. Podajcie i powtarzajcie następującą zapowiedź : w ostatnich dniach Gestapo rozpoczęło nową falę terroru w formie masowych łapanek niewinnych ludzi oraz brania i rozstrzeliwania zakładników, jak to miało miejsce w Warszawie, w dniach 13 i 14 października br. Polacy nie dadzą się zastraszyć taką bezmyślną i okrutną akcją. W odwet za tego rodzaju akty terroru zostaną wykonane dodatkowe uderzenia dywersyjne i represyjne”.

„Swit” ogłasza wykonane przez KWC wyroki śmierci na agentach Gestapo, podaje do wiadomości ludności polskiej zarządzenia sabotażowe KWC, apeluje do aliantów o odwet za okrucieństwa niemieckie, nawet podaje dowcipy antyniemieckie, stając się skutecznym narzędziem w walce z okupantem. Oto przykłady tego rodzaju depesz :

„Dwudziesty drugi czerwiec 1944. Ogłoście o rozstrzelaniu z wyroku Sądu Specjalnego okręgu Kraków : Walentego Pawlika, Walentego Deca, Wandy i Sławomira Madradów, konfidentów Gestapo, oraz Sądu Specjalnego w Warszawie : Antoniego Pietrzaka, kaprala policji granatowej, za współpracę z Niemcami w tropieniu Żydów”.

„Dwudziesty trzeci kwietnia 1943. Dziś rozlepiono w Warszawie odezwę burmistrza Leista, wzywającą do dobrowolnego zgłaszania się do pracy w Rzeszy i w GG, pod groźbą zastosowania środków przymusowych.

Zapewnia on wyżywienie takie, jak dla Niemców, opiekę księży, dobre mieszkanie itd. Wziewicie imieniem Kierownictwa Walki Cywilnej do oporu".

„Dwudziesty drugi czerwca 1944. W Krakowie, przy kościele Św. Wojciecha przewrócono słup z megafonem, na którym napisano: Kłamałem cztery lata, idę do spowiedzi".

IX

Pewnego dnia dostałem wiadomość, że emisariusz rządu polskiego, który przybył do Polski, pragnie się ze mną widzieć. Wyznażyłem spotkanie na Pl. Małachowskiego, obok skwerku. W piękny, słoneczny dzień przyszedłem punktualnie na miejsce i wśród nielicznych przechodniów rozpoznałem szybko emisariusza. Opis się zgadzał, więc zagadnąłem go umówionym hasłem. Uśmiechnął się porozumiewawczo i odpowiedział. Wyciągnąłem do niego rękę — wszystko w porządku.

Emisariusz Nowak, bo takie miał pseudo, młody człowiek z krótkim, przyszczyżonym wąsikiem i szramą na twarzy, przyglądał mi się z zaciekawieniem: „Mam informację, że pan jest kierownikiem „Świtu”? Spojrzałem na niego złym okiem. Takich pytań, zadawanych przez ludzi z konspiracji, miałem powyżej uszu. — „A dlaczego pan o to pyta?” — I za chwilę z trudem musiałem kryć zakłopotanie. Nowak przemyczał się do Polski drogą przez Szwecję i tam się zetknął z polską placówką, która go ekspediowała dalej. Przy tej okazji dowiedział się, że polska kolonia w Szwecji słucha „Świtu”, ale zdania wśród niej są podzielone. Jedni twierdzą, że to jest niemożliwe, by tamna radiostacja foniczna mogła przemawiać dwa razy dziennie w kraju, okupowanym przez Niemców. Ci upierają się przy zdaniu, że już po paru audycjach Niemcy by ją zlikwidowali. (Pomyślałem z uznaniem, że muszą to być nieźli fachowcy). Drudzy, zapalenia zwolennicy „Świtu”, utrzymywali na podstawie audycji, omawiających wydarzenia z Warszawy z tego samego czy poprzedniego dnia, że stacja musi być w Polsce i to blisko Warszawy, inaczej nie mogłaby podawać tak świeżych wiadomości. W rezultacie Nowak przyrzekł, że gdy dotrze do kraju, wyjaśni sprawę w ten sposób, że jeśli stacja jest w Polsce, to nada umówione z rodakami w Szwecji hasło.

Gdy Nowak skończył i patrzył na mnie pytająco, odpowiedziałem: „To się da zrobić. Jakie hasło trzeba nadać?” — Usłyszałem w odpowiedzi coś w rodzaju: „Janek pozdrawia Stasię”.

Obliczyłem szybko w myśli: dziś jest poniedziałek, jutro wyślę depezę, w środę będą mogli już hasło nadawać. Zwróciłem się do Nowaka: „Załatwione. Od środy „Świt” będzie nadawać hasło przez trzy dni”.

Nowak był zadowolony i zaczął rozpylić się nad wspaniałą organizacją „Świtu” i bohaterstwem ludzi w nim pracujących, którym przecież każdego dnia grozi straszne niebezpie-

czeństwo. Słuchałem tego bez żadnego zażenowania. Istotnie, nasi telegrafisci i obserwatorzy to byli bohaterowie, narażający swe życie każdego dnia dla należytej obsługi „Świtu”.

Odpowiednia depeza została wysłana i od środy wysłuchiwaliśmy, jak „Świt” wołał: „Uwaga, uwaga! A teraz nadamy ważne hasło: Janek pozdrawia Stasię”.

Jak sądzę, wątpliwości placówki polskiej w Szwecji zostały rozchwiane, ale pozostał jeszcze swego rodzaju dług, zaciągnięty wobec Nowaka, z którym spotkałem się znacznie później, gdy już tajemnica „Świtu” była mu znana. Na szczęście brał wszystko na wesoło. „Ależ pan mi zrobił kawał! Nie mam jednak pretensji, gdyż tajemnica „Świtu” tego wymagała. Niech pan sobie wyobrazi, że gdy przedostałem się z Polski z powrotem do Anglii, to nawet wobec wtajemniczonych przysięgałem na wszystko, że „Świt” jest w Polsce i że nawet rozmawiałem z jego kierownikiem”.

Mam nadzieję, że pan Jan Nowak, obecny kierownik Radia Wolnej Europy w Monachium, nie weźmie mi za złe opowiadania o tym epizodzie, który zasługuje, moim zdaniem, na to, by go podać, jako przykład dziwacznych sytuacji, jakie narzucała — powtarzam narzucała — tajemnica „Świtu”.

X

A oto inne, podobne sytuacje.

Któregoś dnia przyszedłem na rozmowę z wyższym funkcjonariuszem Delegatury Rządu, związanym z działem propagandy i informacji, który naturalnie nie orientował się wówczas, że „Świt” jest zagranicą. Mój rozmówca był wyraźnie wzburzony i z miejsca przystąpił do rzeczy:

„Świt” kompetencyjnie należy do naszego Departamentu i dołożę wszelkich starań, by Delegat nakazał oddanie go w nasze ręce”.

Oświadczyłem na to, że „Świt” jest przede wszystkim instrumentem Walki Cywilnej, na której czele stoję, i nie mam zamiaru pozbywać się tego środka działania. Rozmówca mój nieco złagodniał.

„To w każdym razie liczę na to, że pan weźmie do zespołu „Świtu” naszych pisarzy i odda pan nam do wyłącznej dyspozycji kilka audycji tygodniowo”.

Odparłem na to, niewiele zresztą rozmiągając się z prawdą, że „Świt” ma skompletowaną ekipę i nie może organizacyjnie być w dyspozycji dwóch różnych ośrodków redakcyjnych. Mój rozmówca wówczas wybuchnął:

„Jeśli pan się nie godzi na moje propozycje, to w takim razie w ciągu trzech miesięcy uruchomię własny „Świt”. — „Wątpię, by się to panu mogło udać”. — „Mogę się z panem o to założyć, że w trzy miesiące będę mówił z własnej stacji”. — „Byłoby to nieuczciwością z mojej strony, gdybym taki zakład przyjął, bo wiem, że to niemożliwe”. — Mój nowoupie-

czony konkurent zatriumfował: „A widzi pan, boi się pan zakładu! Zobacz pan za trzy miesiące”.

Nie zobaczyłem nic, ani za trzy miesiące, ani za sześć, ani za rok, bo nie mogłem zobaczyć. Konspiracyjna radiostacja foniczna w okupowanym kraju, mówiąca dwa razy dziennie, o tych samych godzinach i na tych samych falach, o wielkiej mocy, pracująca na tzw. fali ciągłej, niezmiennie łatwej do wymierzenia — byłoby to szaleństwo. W granicach możliwości leżały tylko krótkie, rzadkie i nieregularne audycje, takie jakich próbowaliśmy w 1941 r. Jeśli chodzi o „Błyskawicę”, uruchomioną w Warszawie w czasie Powstania Warszawskiego, to trzeba pamiętać, że pracowała ona w warunkach zupełnej swobody.

Kiedy indziej spotkałem się z jednym z przywódców własnego stronnictwa ludowego. Ten z kolei był zaszępioty, przygryzał nerwowo wargi i przestępował z nogi na nogę — nieomylny znak dla tych, którzy go znali, że ma coś przykrego do powiedzenia. Tym razem wyglądało to w sposób następujący:

„Moi drodzy, w tym waszym „Świcie” uwzględniać wszystko, prócz spraw ludowych. Czytam jego nasłuchy i nie w nich o wsi nie znajduję, a tylko wszystko związane z AK”.

Zaoponowałem gorąco, gdyż nie raz czerpałem materiał do depeesz z agencji „Wiś” i podziemnej prasy ludowej. Kolegi partyjnego jednak nie przekonałem i rozstaliśmy się dość ozięble.

Trzeba trafić, że z tego spotkania pomaszerałem wprost na widzenie z pułkownikiem Rzepeckim, szefem Biura Informacji i Propagandy AK. Siedziała przede mną żywa kopia poprzedniego rozmówcy. Twarz zaszępioty itd. Bez dłuższego wstępu wyłożył „kawę na ławę”. — „W tym waszym „Świcie” nie ma nic, prócz demagogii ludowej. Kontroluję jego audycje i myślę, że zaniedbanie spraw AK jest skandaliczne”.

Wpadłem w doskonały humor. Obie pretensje wzajemnie się znakomicie kasowały i można było machnąć na nie ręką.

Jednakże mnożące się na tym tle konflikty stworzyły konieczność wtajemniczenia we wszystko generała Roweckiego. Reakcje jego były mieszane. Był z jednej strony wściekły na Londyn za nie poinformowanie go z góry, z drugiej strony rzecz całą uznał za sensowną i śmiało się przy tym z kawałów, jakie robiliśmy Niemcom przy pomocy „Świtu”. Do mnie zaś powiedział: „Mam do was trochę żalu, że jako mój pełnomocnik, nie wtajemniczyliście mnie od razu, ale pal sześć! Robota dobra, więc szczęść Boże!”

W rezultacie rozładowywał konflikty, dochowując do końca tajemnicy nawet w stosunku do najbliższych współpracowników.

XI

Ogólnie znana była w Polsce w tym czasie straszna zbrodnia, dokonana przez Niemców w Zbydniowie, majątku ziemskim Horodyńskich, dokąd Gestapo wpadło w czasie wesela i wymordowa-

ło wszystkich gości i służbę, prócz państwa młodych, Wańkiewiczów, którzy wyjechali do sąsiedniego miasteczka do fotografii i dwóch młodych Horodyńskich, Zbigniewa (Inia) i Andrzeja, którzy zdążyli dostać się do schowka na strychu. „Swit”, w obszernych audycjach, podał na podstawie naszych depeesz przebieg potwornej zbrodni, nazwiska pomordowanych i zapowiedział śledztwo oraz karę na winnych. Słuchacze „Świtu” byli wstrząśnięci tym niezwykłym nawet na warunki okupacyjne, zbiorowym morderstwem. Wszyscy czekali na odwet podziemia.

Po paru miesiącach zapowiedź się spełniła. Konspiracyjne śledztwo wykazało, że inicjatorem mordu był dygnitarz hitlerowski z Krakowa, o ile pamiętam, nazwiskiem Fuldner, który chciał zabrać majątek Zbydniów dla siebie, co też po dokonanej morderstwie zrobił. Niedługo się jednak nim cieszył. Pewnego dnia, gdy odbywał konferencję we dworze, w Zbydniowie, z dwoma urzędnikami hitlerowskimi, którzy przybyli z Krakowa, dotknęła go ręka podziemnej sprawiedliwości. Do dworu wtargnęła grupa uzbrojonych ludzi, prowadzonych przez Inia Horodyńskiego i jego przyjaciela Horocha, i po sterroryzowaniu obecnych Niemców, odczytali struchlałemu Fuldnerowi wyrok śmierci, po czym go zastrzelili na oczach przybyłych z Krakowa urzędników, którym polecieli odjechać i zawiadomić generalnego gubernatora Franka o tym, co widzieli.

Przedepeszerowaliśmy „Świtowi” dokładny opis tej egzekucji, wraz ze wskazówką: „Nadajcie wiadomość o tym w sobotę wieczorem. Słuchać jej będą wykonawcy wyroku”.

W sobotę, w mieszkaniu Wierusz-Kowalskiego, uprzednio wspomnianego naszego współpracownika, gdzie za drzwiami, oznaczonymi szwajcarskim krzyżem można było zaznać trochę spokoju, zebrali się zaufane grono osób. Rozmawiano półgłosem, oczekując na audycję „Świtu”. Gospodarz manipulował przy odbiorniku. Coraz to ktoś nadśluchiwał, czy nie nadchodzą Inio Horodyński i Horoch, dla których audycja miała specjalne znaczenie. „Swit” odezwał się, jak zwykle punktualnie i nadał wstrząsającą audycję o wymierzeniu sprawiedliwości zbrodniarzowi zbydniowskiemu. Audycja kończyła się słowami: „Wiemy, że słuchają nas dziś wykonawcy tego sprawiedliwego wyroku. Cześć im, bohaterom Polskiego Podziemia”.

Wszyscy byli wzruszeni, kobiety ocierały łzy. Ale ci, dla których przeznaczone były te słowa, nie przybyli. Nie wrócili na czas z jakiejś akcji „Kedywu”. Później, gdy ich spotkałem, żalowali bardzo, że ich ta audycja ominęła.

Na Zbydniowie nie skończyła się jednak tragedia rodziny Horodyńskich. Bracia Zbigniew i Andrzej i ich przyjaciel Horoch, zginęli wkrótce po tym, wszyscy razem, gdy jako żołnierze „Kedywu” mieli osłaniać ucieczkę grupy więźniów z Pawiaka. Rzekoma ucieczka była prowokacją i wszyscy trzej, wpadłszy w zasadzkę wraz z innymi żołnierzami AK, otoczeni przez oddziały SSmanów, znaleźli śmierć w walce na cmentarzu Powązkowskim.

XII

Nasze stacje w Warszawie są coraz częściej podjeżdżane przez Niemców i muszą wstrzymywać pracę i zmieniać lokale, o które zawsze bardzo trudno. Przecież po pierwsze, właściciel mieszkania musi być osobą jak najbardziej zaufaną, po drugie rzadko kto godzi się na udzielenie swego mieszkania na pracę tajnej radiostacji, po trzecie mieszkanie musi mieć odpowiednie warunki techniczne. W czasie takich przerw, kiedy nie jesteśmy w stanie dostarczyć „Świtowi” świeżego pokarmu, urządza on prawdziwe „przedstawienie”. W trakcie audycji, speaker „Świtu” przerywa w pół słowa, po czym „Świt” nie odzywa się przez parę dni. Wszyscy słuchacze przerażeni sądzą, że „Świt” wpadł. Jestem zasypywany przez górę konspiracyjną zapytaniach, ale muszę uspokajać wszystkich, że to tylko przejściowe trudności. Jeśli znajdzie się ciekawski, który pyta jakie, muszę robić tajemniczą minę, lecz ta zabawa porządnie mi już dokucza.

Po paru dniach „Świt” się odzywa na nowo. Speaker mówi: „Przepraszamy słuchaczy za przerwę, spowodowaną nieprzewidzianymi okolicznościami, których jednakże nie możemy wyjaśnić”.

Wszyscy się cieszą, że „Świt” uniknął wpadki, i mówi dalej. Powoli powstaje wokół „Świtu” atmosfera tajemniczości, niebezpieczeństwa, która nie jest pozbawiona prawdziwego podłoża, gdyż często przyczyną przerw „Świtu” jest bezpośredni atak Niemców na nasze radiostacje. Wszak „Świt” jest naszym głosem, gdy podaje nasze depesze, a my jego oczami w kraju.

Histeria też przychodzi do głosu, bo oto pewnego dnia otrzymujemy pocztą alarmową następującą wiadomość: „Helena z komórki X ostrzega, że wedle uzyskanych przez nią wiadomości, siedziba „Świtu” została przez Niemców wykryta i schwytywanie radiostacji jest kwestią najbliższych dni”.

XIII

Wybuchło powstanie w ghetcie 19 kwietnia 1943 r. Cała Warszawa, mimo strasznego terroru, jaki nad nią wisi i mimo, że każdego dnia giną w niej setki Polaków, zelektryzowana, wstrząśnięta, bezsilna i... dumna. Po całym mieście krąży wiadomość: nad murami walczącego ghetta powiewa sztandar polski i żydowski.

Staramy się dotrzeć jak najbliżej ghetta i organizujemy specjalną obsługę informacyjną powstania. Powoli koncentrują się w KWC wiadomości ze wszystkich źródeł, dotyczące walk w ghetcie i depesze idą jedna za drugą. Jedną z naszych stacji pracuje w kamienicy na Marszałkowskiej, z otwartym widokiem na Pole Mokotowskie. Z dachu widać dymy i ogień nad ghettem

i słychać huk wystrzałów. Wyglądamy z dymnika, Zosia, Ziutek i ja, po czym wysyłamy depeszę: „Z miejsca, gdzie pracuje radiostacja widać ogień i dymy nad ghettem i słychać kanonadę artyleryjską. Robi to straszne wrażenie”.

Za kilka godzin słyszymy, jak „Świt” nadaje audycję opartą na tej depeszy, skonstruowaną w ten sposób, że speaker mówi o swych wrażeniach, gdy patrzy z okna radiostacji na płonące ghetto i widzi dymy oraz słyszy wystrzały. Gdy kontrolujemy tę audycję, jesteśmy sami wzruszeni dramatyczną opowieścią speakera, który — poznajemy to po głosie — jest także głęboko przejęty tym, co mówi. Patrzymy na siebie w milczeniu, ze smutną satysfakcją. Przerywa je Zosia:

„Chyba jest im tam lżej umierać, gdy wiedzą, że o tym wie cały świat”.

Wszystkie załogi stacji mają w tym czasie szczególną świadomość swej odpowiedzialności. Cały mechanizm działa sprawnie i z poświęceniem. Zimne rachuby jednak mówią, że nadużywamy pracy i że Niemcy muszą nas wykryć i schwytać. Ale przychodzi z pomocą przysłowiowy „łut szczęścia” i kończy się tylko na „zamrożeniu” dwóch czy trzech lokali, do których Niemcy dotarli zbyt blisko samochodami goniometrycznymi, spostrzeżonymi na szczęście w porę. W rezultacie „Świt” jest w stanie podawać dzień po dniu wiadomości o przebiegu walk i doskonale opracowane przez ekipę zagraniczną apele i protesty.

Oto próbki depesz, których tragicznej wymowy nie chcę popsuć żadnym komentarzem.

„21 kwietnia 1943. W ghetcie opór trwa. Całą noc słychać strzały, wybuchy, miejscami pożary”.

„28 kwietnia 1943. W ghetcie walka trwa. Niemcy palą dom za domem”.

„7 maja 1943. „Rzeczpospolita” z 6 bm. zawiera oświadczenie Pełnomocnika na Kraj, które piętnuje zbrodnie niemieckie w ghetcie. Wyraża szacunek i współczucie dla Żydów, którzy walczą i wzywa Polaków do pomagania tym, co uciekli”.

„15 maja 1943. Od trzech tygodni trwa straszliwa masakra resztek ghetta warszawskiego. Ghetto pod przewodnictwem Żydowskiej Organizacji Bojowej bronilo się bohatercko z bronią w ręku i Niemcy użyli w walce artylerii oraz broni pancernej. Bojownicy żydowscy zabili przeszło trzystu Niemców, ranili około tysiąca. Niemcy wywieźli i zamordowali lub spalili żywcem dziesiątki tysięcy Żydów”.

„22 maja 1943. Wśród Niemców jest plotka, że odwołany szef Gestapo w Warszawie, doktor von Sammern, został skazany na śmierć za kompromitację Niemców przez opór zbrojny w ghetcie”.

„9 czerwca 1943. Tajny Biuletyn Gospodarczy z 15 maja podaje, że w ghetcie w Warszawie spalono i wysadzono sto tysięcy izb mieszkalnych, dwa tysiące lokali przemysłowych, trzy tysiące handlowych i kilkanaście fabryk. We wrześniu 1939 zniszczono tylko 78 tysięcy izb mieszkalnych w całej Warszawie”.

„29 czerwca 1943. Wymordowano całkowicie ghetta w Stanisławowie, Łukowie, Węgrowie i Żółkwi. W Warszawie, po piwnicach i gruzach dogorywa dwa tysiące Żydów. W nocy są jeszcze potyczki. Żydów z zagranicy Niemcy witają na stacji w Sobiborze z orkiestrą”.

W okresie powstania w ghetcie udałem się, jak zwykle, na co tygodniową konferencję z Delegatem Rządu, wicepremierem Janem Jankowskim. Szedłem do głowy Polskiego Państwa Podziemnego z zachowaniem szczególnych ostrożności. Drogę na tak ważne spotkanie rozpoczyna konspirator zwykle od tego, że np. gdzieś na zakręcie ulicy, gdzie tramwaj zwalnia biegu, wskazuje w taki wóz, który idzie w przeciwnym niż trzeba kierunku. Wskoczywszy, obserwuje pilnie, czy kto inny nie zrobił tego samego. Jeśli nikt go nie śledzi, uspokojony zmienia tramwaj na inny, idący we właściwym kierunku, przy czym nie raz te czynności powtarza jeśli cokolwiek wydaje mu się podejrzanym. Dużą rolę odgrywa tu jego samopoczucie w danym dniu. Nikt nie jest tak przesądny i wrażliwy na przeczucia, jak konspirator. Być może działa w nim instynkt samozachowawczy, który często ratuje go przed aresztowaniem lub śmiercią.

Zastosowawszy cały przepisany arsenał ostrożności, dotarłem do mieszkania w podwórzu, przy ulicy Marszałkowskiej, niedaleko Pl. Zbawiciela. Delegat Rządu, mężczyzna lat około sześćdziesięciu, łysy, wysoki, szczupły, w grubych szklach, przywitał mnie, jak zwykle, ze spokojną życzliwością. Słuchał uważnie, gdy składałem raport z tygodniowych czynności KWC. Gdy po omówieniu bieżących spraw podniosłem się do wyjścia, coś sobie przypomniał:

„Ale, ale... Mam dla pana pewną wiadomość. Otrzymałem od przedstawicieli żydowskich organizacji podziękowanie za audycje „Świtu” o walkach w ghetcie. Przekazuję je więc pod właściwym adresem”.

Na str. 7 swej bardzo znanej w St. Zjednoczonych książki „The Wall”, opisującej dzieje ghetta warszawskiego, John Hersey wspomina zagadkowo o podziemnej radiostacji „Świt”. Hersey zastanawia się nad tym, dlaczego bohater powieści, Levinson, na którego rzekomych pamiętnikach jest oparta książka Hersey’a, nie o tej stacji nie wspomina. Oto właściwy ustęp:

With all his thoroughness, Levinson must have had some prejudices or blind spots. How else account for some of the omissions from his notes? For instance, he never mentions the underground radio transmitter, which broadcasts even at the beginning of the final battle in the ghetto under the call letters SWIT. He must have known about it. He must not have wanted to write about it. Why?

Z użycia przez Hersey’a „underground radio transmitter” wynika, że powodem jego zdziwienia było przeświadczenie, że „Świt” był w Polsce, zatem Levinson, rzekomy kronikarz ghetta, powinien był o nim wiedzieć i pisać.

Gdy w roku 1950 wyszła książka Hersey’a i przeczytałem cytowany ustęp, przesałem mu do przejrzania szkic opowiadania o „Świcie”. Odpowiedział listem z 14 czerwca 1950 r., co następuje:

Dear Mr. Korbonski. Many thanks for sending me your article about SWIT, which I read with much interest. I certainly was under the impression — and many people still are — that this underground station was inside Poland.

Jak z powyższego wynika, benedyktyńska praca, jaką włożył Hersey w badanie olbrzymiego materiału, na którym oparł swą książkę, nie naprowadziła go na odkrycie tajemnicy „Świtu”. Natomiast potwierdziła, że „Świt” był słuchany w czasie powstania w ghetcie.

I tak praca na radiostacjach szła dzień po dniu, noc po nocy, aż... nadeszła czarna godzina. Najpierw spadł na nas pierwszy, najdotkliwszy cios. Nasze „oczko w głowie”, nasz podziwiany konstruktor Ziutek, został pewnego letniego wieczoru zastrzelony przez Niemców przy zbiegu ulic Kopernika i Tamki, gdy śpieszył przed godziną policyjną na nocleg, na Dobrą. Ten pośpiech zwrócił uwagę Niemców, wychodzących z restauracji. Zatrzymali Ziutka i chcieli legitymować. Ten, zamiast dokumentu wyjął rewolwer. Wywiązała się strzelanina, w której Ziutek zginął.

Wkrótce spadło na nas dalsze nieszczęście. Dnia 10 listopada 1943 roku wpadła w ręce niemieckie pierwsza nasza radiostacja na ul. Okopowej i jej telegrafista, Władysław. Niemcy wykryli ją przy pomocy nowych metod i kieszonkowych aparatów pomiarowych, których dotychczas nie używali. Technik niemiecki, ubrany po cywilnemu, zmylił czujność obserwatorek i dotarł pod same drzwi pracującej radiostacji. Mielśmy sami możliwość z Zosią przekonać się o tym nowym systemie zaraz następnego dnia.

XIV

Kierownik każdej konspiracyjnej roboty, jeśli chciał mieć mir u swoich współpracowników, musiał pamiętać o jednej zdrowej regule, a mianowicie, że w chwilach zwiększonego niebezpieczeństwa, jego obowiązkiem jest dzielić ze swymi współpracownikami pełne ryzyko. W myśl tej reguły, postanowiłem osobiście dopilnować wysłania depeszy, zawiadamiającej o wpadce Wła-

dysława i kasujące wszystkie elementy ruchu i kody techniczne tej stacji. Taka depesza jest pierwszym obowiązkiem w razie wyspy. Byłem ogromnie przygnębiony i niespokojny. Władysław należało uważać za straconego. Oby tylko wyspa nie rozszerzyła się dalej, na znanych Władysławowi ludzi i lokale. Co prawda, wszystkie osoby z nim powiązane, zostały już ostrzeżone, a lokale zlikwidowane, ale nigdy nic nie wiadomo, co się może zdarzyć.

Dnia 11 listopada 1943 r., o godzinie dwunastej pojechałem na ulicę Dolną. Stacja nasza znajdowała się na ostatnim piętrze domu, na prawo od schodków z Puławskiej. Wsiadłem na pobliskim przystanku i chociaż do rozpoczęcia pracy było jeszcze około godziny, zacząłem badać Puławską, Dolną i okolice, ale nic podejrzanego nie zauważyłem. Kwadrans przed pierwszą przysłała Zosia, z obserwatorek Ireną. Rozstawiły się na ulicy, a ja poszedłem do lokalu stacji Mirka, aby obserwować z okna. Mirek, młody student Politechniki, siedział już przy aparacie i stroił go. Podszedłem do okna. Wychodziło ono na tyły kościółka przy ul. Puławskiej i dawało obszerny widok na puste place czy łąki obok. Obserwowałem przez chwilę okolice i także nie spostrzegłem nic niepokojącego. Rozejrzawszy się po pokoju, zobaczyłem na stoliku pod ścianą dwa rewolwery i granaty. A więc Mirek jest nastawiony na niebezpieczeństwo i ewentualność walki. To dobrze. Odwołałem go od aparatu i wręczyłem depeszę: — „Panie Mirku, depesza ta unieważnia elementy ruchu stacji, która — jak pan już wie — wczoraj wpadła. Trzeba ją nadać dziś za wszelką cenę”.

Mirek spostrzegł widocznie moje podniecenie i niepokój, gdyż powiedział uspokajająco: „Niech pan się niczego nie obawia. Jeśli będą jakie takie warunki, to się wszystko załatwi w pół godziny”.

Była już pierwsza i Mirek spokojny i skupiony zasiadł do aparatu i zaczął wołać. Londyn natychmiast odpowiedział, że jest gotów do odbioru i Mirek rozpoczął nadawanie depeszy, ja zaś wróciłem do okna.

Po jakichś dwudziestu minutach, spostrzegłem, że w odległości około kilometra, idzie od strony Wisły w kierunku na Okęcie samolot, wyglądający z daleka na Junkersa. Gestem nakazując Mirkowi przerwanie pracy i przywołując go do okna. Gdy mu pokazałem samolot, wzruszył ramionami: „Tutaj chodzi ich masa i to przez cały dzień, na Okęcie. Nie ma to żadnego związku z nami”.

Uspokoilem się, gdyż był to rzeczywiście kierunek ze wschodu na Okęcie. Wyglądałem jednak dalej oknem i w pewnym momencie spostrzegłem pod ogrodzeniem kościółka dwie głowy, tuż przy ziemi. Wołać Mirka, czy nie? Na wszelki wypadek odwołuję go od aparatu. Wstał z ociąganiem, ale uważnie obejrzał głowy.

— „Ech, to te łobuzy, co tu przychodzą grać w karty. Siedzą tam i pewnie łupią w oczko. Ja ich znam”. — „Czy ma pan

jeszcze dużo do nadania?” — „Nie, już ostatnie grupy i jeszcze poprawki”.

Wróciłem znów do okna i spostrzegłem, że głowy zniknęły. Zbliżał się koniec pracy i napięcie zwolna zaczęło ustępować. Nie chciałem jednak niczego zaniedbać, obserwowałem więc nadal i... nagle odskakuję od okna i zrywam rękę Mirka z klucza. W tym momencie, tuż nad dachem rozlega się ryk samolotu. Wpadł nagle zza kościółka, tuż nad jego dachem i przeskoczył nad naszym domem. Serce we mnie zamarło, Mirek zbladł, jak ściana. Nie ulegało żadnej wątpliwości, że był to niemiecki samolot gonimetryczny, który nas dokładnie wymierzył i że wkrótce otoczą nas samochody pomiarowe, będące w stałym kontakcie radiowym z samolotem. Byliśmy wytrupieni!

W tym momencie rozlegają się trzy dzwonki. To Zosia! Mirek podskoczył do drzwi. Twarz Zosi wyrażała najwyższe napięcie. Starła się zapanować nad głosem: „Przyjmijcie spokojnie to, co powiem. Na ulicy kręcą się grupki cywilów, wyglądających na Niemców i zauważyłem, że jeden z nich schował się za mur i przyłożył coś do ucha. Zaraz popędziłam do was i na schodach minęłam się z jednym z tych cywilów, którego przed tym widziałam na ulicy. Wygląda to bardzo podejrzanie”.

„Już skończyłem depeszę” — mówi Mirek. — „Panie Mirku, daj pan ją i kody Zosi. Resztę zostawić, bo nie zdążymy rozmontować i schować. Wychodzimy, nie ma chwili do stracenia. To Niemcy”. — „Już, tylko włożę buty, bo jestem bosy. Wyjdźcie pierwsi, ja was dogonię. Poczekać na rogu Puławskiej. Nawet będzie lepiej, jak nie wyjdziemy całą gromadą”.

Muszę się z tym zgodzić, że lepiej iść w rozsypce. Wychodzimy więc na klatkę schodową, ale zaledwie stanęliśmy na pierwszym stopniu schodów, gdy idąca przede mną Zosia mówi z przerażeniem: „Jezus Maria, idą!”

Patrzę przez okno klatki schodowej na ogród od frontu i widzę sznur ludzi cywilnych, idących gęsiego jeden za drugim, z pistoletami maszynowymi lub rewolwerami w rękę. Czoło ich musi już być w kamienicy, bo na dole słychać tupot.

Zosia rzuca się do bocznych drzwi i gwałtownie puka. Otwierają się natychmiast i widzimy w pokoju kilka przerażonych kobiet, które widocznie spostrzegły przez okno to, co i my. Zosia błaga je: „Gdyby się ktoś pytał, co tu u was robimy, to powiedzcie, że szukamy mieszkania”. Z grupy kobiet podeszła do nas młoda dziewczyna i ze złością odmówiła: „Wynoscie się stąd natychmiast! Ja widziałam, że pani tu od godziny kręci się przed domem. Wynoscie się!”

Zatrzasnęła nam drzwi przed nosem. Nie mamy wyjścia i zaczynamy schodzić w dół. Wita nas gromkie: „Hände hoch!” Podnosimy ręce i stajemy. Pod nami, na schodach około dziesięciu mężczyzn, kierujących na nas peem i rewolwery. Jeden ze stojących na przodzie woła: „Oni wyszli stąd!” — i wskazuje ręką na drzwi mieszkania, skąd nas wypędzono. Kilku wchodzi tam natychmiast i za chwilę wszystkie kobiety wychodzą na plat-

formę schodów z podniesionymi rękami. Patrzymy na wszystko, jak urzeczeni. Wpadliśmy. To już koniec. I na nas przyszła kreska. W ustach sucho. Oczy nasze fotografują wszystko i wszystkich. Przede wszystkim cywilów z bronią w pogotowiu. Na czele ich stoi młody, przystojny blondyn. Gdy spojrzałem na jego ruchy, nie miałem już wątpliwości: to Niemiec, oficer i dowódca. Patrzy na nas bacznie, ręką pokazuje, że mamy stanąć pod ścianą. Cywile pukają do drzwi wszystkich mieszkań na tym piętrze, wchodzi i z każdego wyprowadzają na platformę schodów grupki osób z podniesionymi rękami. Nie otwierają się tylko drzwi Mirka. Słyszymy głos po polsku: „Nie podchodzić do okien, bo śmierć. Nie ruszać się”.

Dowódca zbliżył się do mnie i pyta: „Sprechen Sie Deutsch?” Kiwam głową, że nie i w tej samej chwili uprzytamniając sobie, że mam w kieszeni dzisiejszy „Warschauer Zeitung”.

Dowódca przywołuje do siebie jednego z cywili, mówi mu coś, ten podchodzi do mnie, obmacuje mnie od góry do dołu, zdejmując mi kapelusz z głowy i bacznie ją ogląda. (Dopiero wiele dni później domyśliłem się, że szukał odcisku pałaka słuchawek na włosach). Korzystam z tego i mówię: „Co panowie od nas chcą? Mamy papiery w porządku. Proszę”. Cywil włożył mi kapelusz na głowę, odtrącił rękę, w której trzymałem autentyczny, choć na fałszywe nazwisko, dowód pracy w Elektrowni, z wszystkimi „ptaszkami”, z fotografią, z zaliczeniem do przemysłu wojennego i mówi po polsku nienagannym akcentem: „To nie o to chodzi”.

W tym samym czasie Zosia bardzo przytomnie podnosi głos: „Co tu się dzieje? Czego panowie od nas chcecie? My tu nie mieszkamy, przyszliśmy tylko szukać mieszkania. Co tu się stało?” Robi to doskonale i przyłączam się do jej jęklących pytań, udając zresztą, bez najmniejszego wysiłku przestraszonego człowieka z ulicy. Drugi z cywilów odepchnął Zosię w kąt ze zniecierpliwieniem, i mówi także po polsku: „Bądź pani cicho, to lepiej pani na tym wyjdzie. Tu nie o was chodzi”.

Wszyscy lokatorzy już wyprowadzeni, tylko drzwi Mirka wciąż milczą. Podchodzi do nich dwóch Niemców i walą kopytami w zamek. Słychać trzask, zamek puszcza i w tej samej chwili rozlega się gdzieś z zewnątrz głośniejsza seria z pistoletu maszynowego. Niemcy z przerażeniem odskakują na boki i kierują automaty i rewolwery w wywalone drzwi Mirka. Zapanowała zupełna cisza. Po chwili, dwóch Niemców, skradających się krok za krokiem, z wysuniętymi peemami wchodzi do mieszkania Mirka. Napięcie niesamowite. Czekamy na wybuch granatu i salwę Mirka. Zamiast tego, po paru sekundach rozlega się stamtąd radosny i podniecony krzyk Niemców: „Alles ist hier! Er ist tot!”

Na schodach wśród cywilów odprężenie. Wszyscy pakuja się do mieszkania Mirka, a dwaj zapędzają naszą gromadę do mieszkania na prawo, do kuchni, a sami także natychmiast wychodzą.

Dobiegają nas tylko z lokalu stacji gardłowe głosy niemieckie.

W kuchni znaleźliśmy się wśród kilkunastu osób, nieprzytomnych z przerażenia. Patrzą nas bez słowa, młoda dziewczyna wręcz wrogo. Nie mam wątpliwości, że gdy dojdzie do badania, natychmiast wskaże na nas. Już przyszedł do siebie po pierwszym szoku i widzę, że to samo jest z Zosią. Stało się. Dopóty dżban wodę nosi, dopóki się ucho nie urwie. Cztery lata nam się wszystko udawało, widocznie przyszedł kres. Bez słowa zaczynam przeglądać swoje kieszenie, a Zosia torbę. Wyjmuję jeden papier po drugim, także legitymację elektrowni, którą na siłę wypychałem w ręce Niemca. Otwieram ją i widzę w środku kartkę: „Dwa tysiące złotych na wyjazd ekipy megafonowej do Lwowa otrzymałem. Henryk”. — Było to pokwitowanie, wystawione przez kierownika grupy „Szarych Szeregów”, specjalizującej się we włączaniu w sieć megafonów niemieckich, przez które nadawali anty-niemieckie przemówienia i wiadomości oraz z reguły „Jeszcze Polska nie zginęła”. Grupa ta miała się udać do Lwowa, by tam urządzić pod egidą Walki Cywilnej taką imprezę. Kwit wkładałem natychmiast do ust, żuję i łykam. Ładnie bym wyglądał, gdyby Niemiec zajrzał do legitymacji! Zosia ze swej torby wyjęła plik depeesz, kody i konspiracyjną korespondencję. Rozejrzała się naokoło i zbliżyła do kuchni. Jakaś starsza kobieta bez słowa odsunęła garnek i zaczęła pomagać w paleniu papierów. Wszystko to odbywało się na oczach kilkunastu osób, obserwujących wielkimi oczyma czynności Zosi. Wreszcie, co było obciążającego spalone i zaczynamy się ze sobą żegnać. Nie mamy wątpliwości, że jako obcych w kamienicy, wezmą nas i za chwilę rozdzieli. Trzymamy się o tyle w garści, że pożegnanie odbywa się spokojnie. Teraz już wszyscy patrzą na nas życzliwie, a starsza kobieta wręcz ociera łzy z oczu. Na ulicy i na schodach ożywiony ruch. Zajeżdżają samochody, słychać stuk butów. Podnoszę się na palcach i widzę przez okno, jak przez ogród idą niemieccy oficerowie w mundurach lotników. Z mieszkania Mirka, co widzę znów przez szparę między drzwiami a futryną, wynoszą jakieś pakunki. To pewno radiostacja. W pewnej chwili trącam Zosię i patrzymy oboje, jak z mieszkania wynoszą kształt ludzki, owinięty w białe prześcieradło. Zaczynamy się modlić po cichu, gdy nagle w kuchni pokazuje się dowódca i dwóch cywilów, którzy dotychczas się nami zajmowali. Dowódca potoczył wzrokiem po obecnych. Zapadła martwa cisza. Wszyscy rozumieli, że waży się ich losy. Wzrok jego zatrzymał się na nas. Pokazał nas palcem: „A ci, co za jedni?” — „Ach, oni znaleźli się tu zupełnie przypadkowo” — mówi niedbale jeden z cywilów, z lekceważącym machnięciem ręki. Dowódca odwrócił się bez słowa i wyszedł. Dwaj cywile poszli w jego ślady. Patrzymy na siebie w osłupieniu. Czyżbyśmy byli uratowani?

Na schodach ruch widocznie maleje. Jest coraz mniej ludzi, wreszcie przez szparę we drzwiach widzę granatowego policjanta i słyszę głos znajomego cywila: „Pilnować mieszkania, żeby nikt nie wchodził. Trupa zaraz zabrać”.

Za chwilę wszedł do kuchni granatowy policjant: „Już po wszystkim, możecie wrócić do swoich mieszkań”. — W tłumie zawrzało. Wszyscy rzucili się naraz ku nam: „Uciekajcie, uciekajcie natychmiast!” Starsza kobieta rzuciła się Zosi na szyję i obsypuje ją pocałunkami: „Bóg was uratował, ale uciekajcie, na miłość boską, uciekajcie!” Zwróciłem się do obecnych: „Pozwólcie państwu, że jeszcze trochę poczekamy. Nie bardzo wierzę, żeby się to tak skończyło z nami”. — Jakiś chłopak wyskoczył na schody i po paru chwilach wrócił: — „Uciekajcie, na schodach i w podwórzu nie ma nikogo!”

Wziąłem Zosię pod rękę i oszołomieni, nie wierząc temu, że jesteśmy wolni, schodzimy szybko po schodach, z uwagą napiętą do ostateczności. A nuż rozlegnie się: „Halt!” Nie ma jednak nikogo, kroczymy więc szybko do bramy, przy której także nikt nie stoi.

Po drodze mijamy leżący na ziemi martwy kształt, owinięty w prześcieradło. Zosia się żegna i mówi: „To Mirek”.

XV

A zatem w ciągu dwóch dni dwie stacje zlikwidowane. Władę w rękach Niemców, Mirek zabity. Ciężkie, bardzo ciężkie ciosy. Wysyłam ludzi na zwiady i już na drugi dzień wiemy, że nim Niemcy weszli do domu na Dolnej, obstawili go ze wszystkich stron i gdy Mirek, w momencie wylamywania drzwi, wyszedł na balkon, aby uciec po występach muru przy rynnie na dół, co sobie zawsze planował na wypadek niebezpieczeństwa, został zastrzelony serią z pistoletu maszynowego przez Niemca, stojącego na tyłach kościółka na Puławskiej. Zrozumiałem teraz ostrzeżenie cywila, aby nie wyglądać przez okno, bo to śmierć i wiem, czyje to głowy widziałem przez okno.

Ciało Mirka jest już w kostnicy na Oczuki i Zosia znów załatwia sprawę jego pogrzebu z zakładem, który konspiracyjnie grzebał Ziutka. Przyjmują ją tam z dyskretnym współczuciem i traktują z zaufaniem, gdyż to już jest „stały klient”. Trzeba im dać pieniędzy na łapówkę dla Niemców, bo inaczej nie wydobędzie się ciała z kostnicy, dokąd zwozi się zabitych na ulicach miasta. Po paru dniach Mirek już pochowany na Powązkach, pod przybranym nazwiskiem Arciszewski, a my otrzymujemy z zakładu pogrzebowego jego wiatrówkę i zdjęcie dokonane po śmierci. Dostał serię od karku przez cały bok. Pokrwawiona wiatrówka jest postrzelana, jak sito. Twarz na zdjęciu zdradza cierpienia i jest jak gdyby zamyślona. Musiał zginąć na miejscu, tak jak Ziutek. W kilkanaście dni później widzimy nazwisko Władysława na czerwonym plakacie, zawiadamiającym o egzekucji publicznej. Więc i ten zginął!

Analizuję nasze postępowanie i dochodzę do wniosku, że wszyscy troje nie mogliśmy się uratować. Minuta opóźnienia, a Niemcy zastają nas u Mirka i wtedy koniec także z nami. Z drugiej strony niemożliwe było, aby Mirek zdążył włożyć buty

i wyjść z nami na schody przed nadejściem Niemców. Nawet, gdyby zdążył, Niemcy zatrzymaliby na schodach całą trójkę i zidentyfikowaliby Mirka, jako zameldowanego właściciela mieszkania, w którym znaleźliby broń i sprzęt. Gdybyśmy zaczęli rozmontowywać radiostację i chować sprzęt, Niemcy zastaliby nas przy tej robocie. Było jasne, że ich człowiek, spotkany przez Zosię pod drzwiami, umiejscowił stację na ostatnim piętrze, gdyż na niższych Niemcy nawet się nie zatrzymali. Jasne się stało, że Zosię i mnie uratowało to, że Niemcy nie zauważyli nas w momencie, gdy wychodziliśmy z mieszkania Mirka, a dopiero gdy wychodziliśmy z mieszkania kobiet obok. W związku z tym potraktowali nas, jak innych lokatorów. O ratunku zadecydowały po prostu sekundy.

W ten sposób, przy obsłudze „Switu” straciliśmy dwóch telegrafistów i dwie stacje i to dzień po dniu. Stało się to głównie na skutek zaskoczenia nas przez Niemców nową metodą, przy posługiwaniu się nieznanymi nam dotychczas aparatami kieszonkowymi, które umożliwiały dotarcie po prostu do drzwi radiostacji. Łączność ze „Switem” zawisła na włosku. Pozostała nam w Warszawie tylko jedna radiostacja, której oszczędzaliśmy i pilnowaliśmy, jak oka w głowie, aż do czasu zorganizowania nowych. Wkrótce potem, nowa i ostatnia wpadka naszej radiostacji w Piasecznie, pod Warszawą. Chodziliśmy zrezygnowani i ponurzy, jak ciemna noc. Zabici najbliżsi współpracownicy i rachunek prawdopodobieństwa mówił, że mimo uratowania się na Dolnej, czeka nas ten sam los.

Któregoś dnia, jestem z Zosią na ul. Królewskiej, między Marszałkowską a Placem Marszałka Piłsudskiego, na kontroli obserwatorek, pilnujących naszej stacji. Powtarza się ta sama historia. Znad ruin gmachu giełdy wyskakuje niziutko samolot, a zaraz po nim wyjeżdżają Niemcy wolno samochodami z Ogrodu Saskiego. Jeden rzut oka wystarczył nam, by poznać, że to ta sama ekipa, co była na Dolnej. Odwracamy się gwałtownie tyłem do jezdni i pochyleni, zaczynamy oglądać wystawę sklepową. Samochody najeżone pistoletami maszynowymi, przejechały wolno na Pl. Marszałka i stanęły przed SIMEM. Szperacze ruszyli w naszym kierunku. Było jednak dość czasu, by zaalarmować stację.

Mimo wszystko praca szła dalej i „Swit” mówił. Mówił specjalnie dużo w czasie wspaniałych i tragicznych sześćdziesięciu trzech dni Powstania Warszawskiego. Działalność z tego okresu czasu, stanowi odrębny rozdział w historii „Switu” mniej jednak ciekawy od strony krajowej, gdyż nasze i inne radiostacje pracowały wówczas w warunkach jawności i względnego bezpieczeństwa. Nie groziła nam już więcej gonina, a co najwyżej niemieckie granaty i bomby. Nasza stacja na przykład w centrum miasta była co kilka dni przepędzana ogniem artyleryjskim z jednego miejsca na drugie.

XVI

Kiedy tajemnica „Świtu” została w kraju szerzej ujawniona? O ile mi pamięć dopisuje, radio „Kościszko”, nadające z Sowietów, bardzo szybko zaczęło twierdzić, że „Świt” nie jest w Polsce, ale temu nikt w kraju nie wierzył, bo to mówiła stacja bolszewicka, co było ogólnie wiadome. Niemcy długi czas zdawali się nie orientować. Wydaje mi się, że dopiero na początku 1944 r. „Nowy Kurier Warszawski” zaczął pisać, że „Świt” jest w Anglii. Temu też ludność nie wierzyła, uważając to za trick propagandy niemieckiej.

Jeśli chodzi o władze podziemia, tajemnica pękła w jakiś czas po śmierci gen. Sikorskiego. Wówczas to nadeszła do kraju drogą wojskową wiadomość o miejscu, gdzie „Świt” pracuje, jego organizacji, zatargach polsko-angielskich itd. Jak długo żył gen. Sikorski, tajemnica „Świtu” była w kraju utrzymana. Była do chwili jego śmierci — mówiąc słowami drugiej depechy — prawdziwą tajemnicą Naczelnego Wodza, który w stosunku do nas wziął na siebie pełną odpowiedzialność za ten wojenny podstęp.

Stefan KORBONSKI

Copyright by Stefan KORBONSKI, 1953.

„Burza” we Lwowie?

Szanowny Panie Redaktorze,

Przeglądając „Polskie Siły Zbrojne”, tom III, Armia Krajowa, (Wyd. Instytutu Historycznego im. gen. Sikorskiego) — zwróciłem uwagę na rozdział pt. „Burza w obszarze Lwów”. Przez cały czas niemieckiej okupacji byłem we Lwowie i wyjechałem dopiero 17 lipca w południe. Mimo to nie zauważyłem niczego co wskazywać by mogło na przygotowanie do operacji typu „Burza”.

Na wiosnę 1944 r. (o ile pamiętam w połowie maja) Komenda Główna Ukraińskiej Powstańczej Armii (UPA) poinformowała mnie, że Polacy przygotowują we Lwowie „powstanie”. Otrzymałem polecenie wyjaśnić tę sprawę na najbliższej naradzie Polsko-Ukraińskiej Komisji Porozumienia. Powyższa sprawa została poruszona w czasie następnego posiedzenia przez przedstawiciela AK, który prosił o dane informacyjne dotyczące koncentracji oddziałów „UPA” w najbliższych okolicach Lwowa. Wówczas udzielając odpowiedzi przedstawicielowi AK oświadczyłem, że według naszych informacji, AK przygotowuje we Lwowie przeciwniemieckie wystąpienie. Dodałem, iż według naszej opinii, takie wystąpienie nie miało by żadnego sensu z punktu widzenia wojskowego a jego jedynym celem byłoby tylko zamanifestowanie polskości Lwowa. W takiej sytuacji „UPA” byłaby zmuszona również wystąpić w celu zamanifestowania ukraińskości Lwowa. Oczywiście łatwo przewidzieć, że takie równoległe operacje doprowadziłyby

w rezultacie do walk pomiędzy Polakami i Ukraińcami co byłoby wojskowym i politycznym nonsensem i naraziłoby na ogromne niebezpieczeństwo z takim trudem wypracowane porozumienie. Oświadczyłem również, że Główna Komenda „UPA” zdaje sobie sprawę z faktu, że konflikt zbrojny polsko-ukraiński na terenie Lwowa w przededniu zajęcia miasta przez Bolszewików byłby absurdem, niemniej jednak — nie mając innego wyboru — jednostki „UPA” pozostaną pod Lwowem tak długo jak długo istnieć będzie możliwość polskiego wystąpienia. Podkreśliłem, że całą sprawę należy załatwić możliwie szybko i zgodnie z intencjami, które przyświecały powstaniu „Komisji Porozumienia”.

Na skutek mojego wystąpienia wywiązała się ożywiona dyskusja. Obie strony przedstawiły uczciwie swój punkt widzenia i ostatecznie zdecydowano zwrócić się do czynników kompetentnych celem załatwienia całej sprawy.

W czasie następnego spotkania, które odbyło się po tygodniu — przedstawiciel AK złożył oświadczenie, że we Lwowie nie będzie żadnego demonstracyjnego wystąpienia Armii Krajowej i że Polacy byłiby wdzięczni gdyby otrzymali zapewnienie Głównej Komendy „UPA”, iż jednostki „UPA” zostaną wycofane z najbliższych okolic Lwowa. W odpowiedzi imieniem strony ukraińskiej wyraziłem przekonanie, iż decyzję polską uznać należy za celową i że jednostki „UPA” zostaną ściągnięte w terminach na jakie zezwala położenie. Na tym konflikt „powstaniowy” został wyczerpany i w następnych naradach na ten temat nie było więcej mowy.

W cytowanym rozdziale pt. „Burza w obszarze Lwowa” czytamy coś wręcz przeciwnego. Autorzy podają nawet siły użyte w walkach we Lwowie podczas odwrotu Niemców. Oczywiście nie mogę twierdzić z całą pewnością, że gen. Filipkowski i pułk. Czerwiński nie zameldowali się w mundurach w komendzie bolszewickiej. Natomiast co do udziału w walkach z Niemcami 5 dyw. p. i 14 p. ul. mam bardzo poważne wątpliwości. Chciałbym jeszcze zaznaczyć, że sprawa „powstania” nie była bynajmniej jedyną poważną sprawą, która została załatwiona w ramach Komisji Porozumienia. Tym bardziej zależy mi na wyjaśnieniu tej sprzeczności jaka zachodzi między tym co mi wiadomo na temat „powstania”, a relacją jaką znalazłem w rozdziale pt. „Burza w obszarze Lwowa”. Uważam wyjaśnienie tej sprawy za bardzo istotne chodzi bowiem o odpowiedź na pytanie: czy polscy przedstawiciele w Komisji Porozumienia działali uczciwie czy też prowadzili jedynie grę?

W krajowych raportach Głównej Komendy UPA i w materiałach archiwalnych, które znajdują się w posiadaniu Zagranicznego Przedstawicielstwa Ukraińskiej Głównej Rady Wyzwolenia (ZP-UHWR) nie można znaleźć żadnych danych, które by wskazywały, że Polacy zorganizowali we Lwowie „powstanie”. Także w raportach sytuacyjnych z późniejszych okresów nie ma na ten temat żadnych wzmianek czy aluzji. Istnieją wzmianki o polskiej milicji we Lwowie ale w kołach ukraińskich sprawie tej nie poświęcano większej uwagi, gdyż oddziały milicji były systematycznie likwidowane przez NKWD i wojskowe władze sowieckie. Władze sowieckie, których w żadnym wypadku nie można posądzić o sympatie dla ukraińskiego nacjonalizmu nie były jednak skłonne angażować się natychmiast przeciw ukraińskiemu podziemi i wskutek tego nie interesowały się ewentualnym polskim sojusznikiem, który tu i tam się wpraszał. Atak sowiecki przeciw ukraińskości zaczął się dopiero w kilka lat później. Uwagi te podaję celem wyjaśnienia, że każda inicjatywa Polaków, nawet jeżeli szła po linii ukrytych intencji Sowietów w stosunku do nacjonalizmu ukraińskiego, traktowana była nieufnie a inicjatorzy w każdym wypadku ginęli bez śladu.

Wymiana listów oraz rozmowy jakie przeprowadziłem z uczestnikami owych wydarzeń nie dostarczyły materiału, który pozwoliłby twierdzić,

że między 17 a 23 lipca zaszły na terenie Lwowa wypadki, które mogłyby być określone mianem „operacja Burza” w rozumieniu redakcji wyd. „Polskie Siły Zbrojne”, tom III. Nie wykluczam, że tu i tam padły z okien strzały, ale od pojedynczych strzałów do zorganizowanego wystąpienia 8.000 ludzi o którym mówi tom III „Pol. Sił Zbrojnych” jest bardzo daleko. Należy pamiętać, że we Lwowie były w owym czasie jednostki armii niemieckiej złożone z Ukraińców, były jednostki tyłowe „Waffen-Grenadier Division der SS, Galizische Nr 1”. Była również komenda ewakuacyjna ukraińskiej policji. Nastroje w tych jednostkach nie były specjalnie przychylne dla Polaków ale nie spotkałem się w żadnym wypadku z jakimś echami czy wspomnieniami, które wskazywałyby, że takie walki w niedalekiej przeszłości miały miejsce. Takie walki miały jedynie miejsce w marcu 1944 w powiecie Brody pod Hutą Pieniacką ale w tym wypadku chodziło o jednostki „Gwardii Ludowej” czy inne jednostki, które operowały w ścisłej operacyjnej i taktycznej łączności z sowieckimi oddziałami partyzanckimi.

Archiwa z owych czasów notują wiele aktywnych wystąpień regularnych jednostek polskich po stronie bolszewickiej. Są również znane niechlubne wystąpienia polskiej milicji, która tworzyła się w różnych miejscowościach po wkroczeniu wojsk sowieckich. Jednak Lwów jest i był punktem zbyt eksponowanym, by jakieś zajście mogło uciec nie zauważone. Tym bardziej, że Lwów z r. 1944 nie leżał jeszcze za podwójną „żelazną kurtyną”; można twierdzić, że o ile redakcja III tomu „Polskich Sił Zbrojnych” nie padła ofiarą mistyfikacji — to mamy do czynienia z pewnym pomieszczeniem pojęć, które polega na tym, że jednemu i temu samemu zjawisku nadaje się dwie całkowicie różne tak co do brzmienia jak i treści nazwy.

Dziękuję z góry Redakcji za umieszczenie powyższych uwag i łączę wyrazy głębokiego szacunku.

Eugen WRECIONA

«Libres Propos»

REVUE MENSUELLE

a publié des textes de :

Georges ALTMAN — Jacques F. BLIN — François BONDY —
Manuel BRIDIER — Michel COLLINET — Michel DEBRE —
Jacques DOMINATI, Pierre DUMAS — Jacques ENOCK —
Pierre FATAUD — Pierre FELCE — Auguste GALLOIS —
Georges GAUDIOT — Claude GUIBLIN — Gérard JAQUET —
Jean KOSEK — André LAFOND — André MALRAUX —
François MAURIAC — Robert MARGERIT — Louis MERCIER —
Robert MOSSE — Roger MUS — Simone MUNIER —
Hugues PANASSIE — Almé PATRI — Georges PASCAL —
Pierre RESTANY, Louis VALLON, Colette VERGNOLLE.

LIBRES PROPOS, 13 bis, rue de Poissy, Paris-5^e

Prix du numéro : 50 frs

Abonnement, 1 an : 500 frs

étudiants : 400 frs

C.C.P. Paris 8.596.33

Z ostatniej chwili

Wypożyczalnia członków

Znów byłem w Londynie i mogłem na marginesie innych zajęć poczynić pewne obserwacje, które skłoniły mnie do poddania pod rozagę ruchliwszych przedsiębiorców nowej koncepcji handlowej.

W ogóle jestem zdania, że nasza emigracja (pardon, naród błądzący po świecie, jak pijane dziecko we mgle, krótko naród w świecie) zdradza zbyt mało przedsiębiorczości. Pieniądze leżą na ulicy, a ludzie nie umieją ich podnosić z bruku i rynsztoku stolic Europy i innych kontynentów, ograniczając się do wyciągania ręki żebraczę do tych, co umieli się nachylać i podnosić.

W Stanach Zjednoczonych na przykład starsi panowie mają sporo możliwości zarobku dzięki instytucji baby-sitterów (dziecio-siad). Jest to słowo niemal polskie nad Hudsonem, a nie-za-babami ma związek raczej pośredni — chodzi o siedzących przy dzieciach, w czasie, gdy rodzice idą na bridge'a do teatru czy do kina.

Zadanie baby-sittera polega na tym, by sięść przy niemowlęciu, zatkać sobie uszy watą i dać brzdącowi drzeć się w nie-bogłosy ile wlezie. Nie należy zwracać uwagi na wilgoć w pieluszkach, bo wówczas niemowlę gotowe za wcześniej przestać krzyczeć. Gdy zbliża się godzina przybycia rodziców wystarczy niemowlę przewinąć, by zmęczone długim zawrotem zasnął ze słodkim uśmiechem.

Przybywającym rodzicom wskazuje się z dumą na smacznie śpiącą dziecinę, a na zapytanie, jak osiągnięto tak piękny rezultat, wspomina się dyskretnie o swym doświadczeniu w pracy zawodowej. Doświadczenie to uczy, że trzeba zadowalać tych, którzy płacą, to znaczy w tym wypadku rodziców, a nie dzieci, które głosu nie mają.

W Londynie zapotrzebowanie na baby-sitterów jest małe, gdyż angielscy mężczyźni wymyślili kominki, aby żony pilnowa-

ty zimą domowego paleniska, zamiast kontrolować kierunek i natężenie płomieni uczuć męskich, wybuchających czasem poza domem. Poza tym sporo czasu zajmuje opieka nad zwierzętami, którymi angielski mężczyzna zaludnia, nie bez kozery swój dom. Strzegąc kotów, psów i papug, karmiąc je i myjąc, tudzież do-rzucając węgla na kominek, kobieta angielska siedzi w domu, może więc przy sposobności rzucić okiem na dziecko, czy się nie pali przy kominku. W lecie znowuż, a zwłaszcza w sezonie wiosennym kobiety muszą pilnować cnoty menażerii, a więc także nie mają czasu strzec cnoty mężów, także siedzą w domu. Baby-sitter niepotrzebny, baby same siedzą.

Tymczasem istnieje nad Tamizą dość pokaźna ilość naszych rodaków, wyżej ceniących zajęcia przygodne, nie odbierające zasiłków Assistance Boardu, od posad stałych. Zajęcia przygodne pozostawiają dość czasu dla rozważań patriotycznych na temat błędów Roosevelta, Churchilla, Petaina, Mussoliniego itp., które doprowadziły do upadku Polski, tudzież na snucie marzeń o triumfalnym powrocie do Warszawy Polaków, przewidujących wszystko prócz własnych klęsk.

Na rzadkich walnych zebraniach i idealnie rzadkich światowych zjazdach niektórych stronnictw, jak np. Stronnictwa Postępowego *odłam „Jedności”*, Stronnictwa Postępowego *„Ni-cosć”*, Stronnictwa Postępowego *„Bezczelność”* itd. daje się zauważyć pewien deficyt członków.

Stronnictwa takie mają wszelkie warunki rozwoju: piękne nazwy, wzniosłe hasła, wysokie aspiracje i przywódców, obdarzonych niepospolitymi walorami mężów stanu. Na pierwszym miejscu wymienić tu należy warunki zewnętrzne, konieczne do zasiadania dostojnie, solidnie i trwale w szerokich fotelach Rad oraz tubalne głosy.

Deficyt członków jest jednak zagadnieniem poważnym, o wiele poważniejszym od deficytu umysłowego, jako że ten ostatni nic nikomu nie szkodzi, a na pokrycie jego finansowych skutków ktoś już tam da forszę — choćby wartownicy z Niemiec lub kandydaci do wysokich odznaczeń państwowych z szeregów wiernej i niezawodnej przy takich okazjach Polonii Amerykańskiej. Są i inne możliwości...

Wykazanie siły liczebnej stronnictwa jest koniecznym warunkiem zdobycia innych możliwości, ostatecznie pokrywających finansowy deficyt i umożliwiających działalność publiczną, polegającą przeważnie na jedzeniu śniadań. Jesteśmy w okresie zimnej wojny, która stwarza dolegliwości, nakłada obowiązki i przynosi zaszczyty właściwe temu sposobowi wojowania. Słodko i zaszczytnie jest dla Ojczyzny umierać — mawiano. A jakże słodko jest dopiero dla Ojczyzny i na jej rachunek spożywać śniadania! A przy tym tych słodczy i zaszczytów można dostę-pować 365 razy w roku, podczas gdy śmierć dla Ojczyzny ponieść można tylko raz i to nawet nie w życiu lecz na jego zakoń-czenie. Zimna wojna przybiera na natężeniu, po prostu gorzej na polach bitew Monachium, Paryża, Londynu, Berlina, wśród salw butelek mrożonego szampana, szczęku pucharów z ice-

creamem i widelców uderzających w talerze z zimnymi hors d'oeuvre'ami. W Monachium dają nawet polski chłódnik z lodem. Szturmowe oddziały przybyły już w dużej sile z oceanu. By dostąpić zaszczytnego udziału w bojach czołówek zimnej wojny trzeba wykazać, że się jest czołówką, że ma się za sobą tyły, czyli członków.

Skąd jednak wziąć członków, jak sprowadzić ich na walne zebrania, skoro wiedzą oni z góry, co kto ma im do powiedzenia (konieczność zaprzestania sporów, położenia kresu rozbiciu, zlikwidowania niereprezentacyjnych i nietradycyjnych grup, tudzież dopuszczenia do głosu młodych, pod warunkiem, że będą słuchać starych).

Skoro istnieje zapotrzebowanie na jakiś towar, a nie ma na niego podaży to znaczy, że trzeba podnieść cenę. Ponieważ cen-ne myśli przywódców niektórych trójdzielnych stronnictw nie są dostateczną atrakcją dla słuchaczy, trzeba im parę groszy dopłacić za udział w pracach, umożliwiając tym samym skomple-towanie władz. Jednorazowy udział w imprezie, wynagradzany dyskretnie jak usługi zawodowego czwartego do bridge'a da konieczne uzupełnienie zasiłków Assistance Boardu. Czwarty do założenia stronnictwa, czy wzmocnienia jego szeregów też ma prawo żyć, choć naturalnie ma mniej kwalifikacji od zawodo-wego bridge'ysty. Taki party-sitter w zasadzie robi o samo co baby-sitter: zatyka uszy watą, nudzi się i spogląda na zegarek, czy metro nie ucieknie.

Ponieważ Londyn podobno po rokowaniach o zjednoczenie narodu odczuwa pewien kociokwik, choć kota tam nie było, po-łożymy kres naszemu gadulstwu i akt połączenia narodu w szere-gach trójdzielnych partii za pośrednictwem skupialni i wypoży-czalni członków ogłosimy odrazu w konkretnej formie jako

CENNIK USŁUG

Biuro nasze rozporządza bogatym zespołem fachowych uczestników Walnych Zebrań, Akademii itp. (Party-sit-ters). Wyszczególnione niżej opłaty obejmują już wynagrodzenie za spontaniczne oklaski, ironiczne uśmiechy i po-mruki niezadowolienia w razie wystąpienia nieodpowiedzial-nych oponentów, głosowanie za wszystkimi wnioskami pre-zydium i (nigdy nie-) ustępującego zarządu. Pracownicy przez nas poleceni nigdy nie ziewają, nie zasypiają, a w ra-zie zaśnięcia nie chrapią i nie wydają żadnych odgłosów, nie przewidzianych w porządku obrad, siedzą do końca, biją oklaski, gdy mówca podrapie się za uchem lub gdzie indziej (wedle umowy) i dają jednomyślny wyraz przywią-zaniu do ideałów stronnictwa, ilekroć zajdzie tego potrzeba.

Zwróć uwagę na nasze rewelacyjne stawki!

A. — Taryfa zbiorowa

1) Za udział w walnym zgromadzeniu i zapisanie się do Stronnictwa :

- a) Byli ziemianie... 3/6 sh., arystokracja... 4/6 sh.
- b) Robotnicy... 5/7 sh. (Dopłata za kombinezon poplamiony smarami 2/3 sh.).
- c) Chłopi 7/6 sh. (Dopłata za długie buty 3/6 sh.).
- d) Przedstawiciele młodego pokolenia (gwarantowany wiek poniżej 60 lat, powyżej 14 lat)... 9/6 sh.

2) Dopłata za ślubowanie dożgonnej wierności ideałom Stronnictwa w uroczystej formie przy grupach a-c... 1/3 sh., przy grupie d)... 1/9 sh.

3) Gwarancja firmowa, że członek w ciągu 3 miesięcy nie zapisze się do innego ugrupowania politycznego... jedna gwinea (21/- sh.).

Ditto za roczny okres 2 gwineje (42/- sh.).

4) Za udział we władzach Stronnictwa z wyboru, 50 % dopłaty do stawek pod 1).

5) Ditto z pełnomocnictwem do głosowania dla wskazanej przez PP. seleniodawców osoby 100 % dopłaty do stawek pozycji 1).

B. — Taryfa indywidualna i specjalna

1) Specjalne taryfy kombinowane na śądanie klientów. Niektóre pozycje cennika specjalnego : za usługi księcia o historycznym nazwisku lub b. ministra, który da się wybrać na prezesa komisji rewizyjnej i podpisze antydatowany o rok protokół z rewizji ksiąg, wniosek o absolutorium i podsięgowanie dla (nigdy nie-) ustępującego zarządu za wzorową gospodarkę... £. 5/6-

2) Za usługi ogólnie szanowanego za prawość członka sądu organizacyjnego, który podpisze trzy orzeczenia in blanco bez daty... £ 3/8/6

3) Za wystąpienie przybyśsa z kraju, który zapewni o dożgonnej wierności ujarzmionego Narodu ideałom stronnictwa... £ 6/10

Ditto z gwarancją, że ten sam przybyśs w ciągu najbliższych 3 miesięcy nie wystąpi na zebraniu innego stronnictwa... 50 % dopłaty.

Ditto z gwarancją roczną... 100 % dopłaty.

4) Za pozytywną ocenę pracy stronnictwa w rozmowie (wszystkie języki) z zagranicznymi ekspertami zimnej wojny, uczestniczącymi w walnym zgromadzeniu — wedle umowy, wynagrodzenie procentowe od „rendement” czyli wyników.

5) Za pisanie doniesień do władz miejscowych o szkodliwej działalności agenturowej innych ugrupowań według dostarczonego tekstu... 3 pensy plus papier, koperta i koszt porta.

6) Za udział w zebraniach przeciwników i protesty — ceny wedle umowy, dyskrekcja zapewniona.

BEZPŁATNE USŁUGI DLA REKLAMY : ZA DARMO WYSYŁAMY NA ZEBRANIA NIEKTÓRYCH STRONNICTW DOWOLNĄ IŁOŚĆ OSÓB BEZ RÓŻNICY PŁCI I WIEKU, KTÓRE GOTOWE SĄ GŁOSOWAĆ ZA WNIOSEM O ROZWIĄZANIE PARTII.

Ta ostatnia, pozornie niezrozumiała pozycja cennika tłumaczy się nadzieją, że po likwidacji niektórych noworozmnożonych stronnictw korzyści pośrednie zrównoważą utratę zarobku party-sitterów (Przyp. Dr A. Gamma).

Dr A. GAMM

PREUVES

REVUE MENSUELLE LITTERAIRE ET POLITIQUE
AOUT-SEPTEMBRE

ANDRE PHILIP : Les problèmes de l'Europe totale

INTERROGATIONS SUR L'ASIE :

M.R. MASANI : « Donnez-nous le pain de l'esprit » ;

FRANÇOIS BONDY : Y-a-t-il une Asie ?

FRANCIS PONCE : Le porte plume d'Alger ; FRANZ HELLENS : Méditation au pied de la Montagne (Présentation de Michel Manoli) ; CLAUDE-EDMONDE MAGNY : Le Regard de Dominique Rolin ; DOMINIQUE ROLIN : Bonne et heureuse ; WLADIMIR WEIDLE : Minerve et le Centaure ; etc.

PREUVES : 41, avenue Montaigne, Paris 8

Téléphone : ELY 56-61 et 63 — C.C.P. : 17.800 Paris.

Le N° de 112 p. ill. France : 120 frs — Etranger : 150 frs.

Spécimen gratuit sur demande

Kronika kulturalna

Rękopisy Morza Martwego

Wczesną wiosną 1947 roku, oczy całego świata zwracały się ku Ziemi Świętej, gdzie napięcie polityczne dochodziło do maksimum. Nikt jednak nie mógł przypuszczać, iż właśnie w tym czasie zdarzy się tam drobny, banalny wypadek, któremu sądzone będzie stać się pierwszym ogniwem w długim łańcuchu zdarzeń, których doniosłości dla dziejów kultury ludzkiej nie można jeszcze teraz ocenić nawet w przybliżeniu.

Na zachód od Morza Martwego leży słynna pustynia Judejska, skalista, spalona przez słońce. Od wieków stanowiła ona idealne miejsce schronienia dla wszystkich, którzy z tych lub innych powodów unikają życia społecznego. Obecnie wegetują tam nieliczni beduini; otóż jeden z nich, szukając pewnego dnia zaginionej owcy, natrafił w okolicach Jerycha, około źródła Ajn-Feszka, w pobliżu ruin zwanych Kirbet-Kumran, na jaskinię, — jakich pełno jest w tej miejscowości.

W jaskini stał szereg dużych garnków glinianych, a niektóre z nich zawierały zwoje pergaminowe, owinięte w płótno i zalane asfaltem.

Za pośrednictwem antykwariuszów, beduin sprzedał za grosze, lepiej zachowane zwoje metropolicie syriackiemu z klasztoru Świętego Marka w Jerozolimie, Mar Atanaz Jeszue Samuelowi. Pokazywane znawcom, nie wzbudziły u nich zwoje większego zainteresowania. Dopiero w listopadzie 1947 roku, dowiedział się o znaleziskach profesor Uniwersytetu Hebrajskiego w Jerozolimie E. Sukenik i zrozumiał ich wartość. Sukenik natychmiast nabył od antykwariusza w Betleemie pozostałe rękopisy, oraz dwa całe garnki. Chciał on też wykupić resztę zwojów od Metropolity, ten jednak, po kilku spotkaniach, przerwał pertraktacje i rozpoczął targ z Amerykanami.

Po salomonowym podziale Palestyny przez O.N.Z., na Ziemi Świętej zapanowało piekło. Metropolita namówiono, aby zabezpieczył rękopisy, deponując je w Stanach Zjednoczonych.

O samej jaskini zapomniano zupełnie. Dopiero w styczniu 1949 r., z inicjatywy jednego z obserwatorów O.N.Z., porucznika belgijskiego Ph. Lippens'a, rozpoczęto poszukiwania koło Ajn-Feszka, niestety, za późno! Okazało się, że w listopadzie 1948 r., ludność okoliczna, szukając skarbów, zniszczyła całe podłoże jaskini i podeptała przedmioty, bezwartościowe z punktu widzenia beduinów. Mimo to, ekspedycja kierowana przez dyrektora Francuskiej Szkoły Biblijnej w Jerozolimie, Dominikana Ojca de Vaux, dostarczyła licznych drobnych urywków, często zawierających zaledwie kilka liter hebrajskich lub greckich. Była to jednak zdobycz bardzo ważna, gdyż pozwoliła ustalić, iż fragmenty te stanowią części rękopisów znalezionych poprzednio, a więc nie mamy tu mistyfikacji. Koło jaskini postawiono nareszcie straż.

W listopadzie i grudniu 1951 r. O. de Vaux rozpoczął badanie ruin Kirbet-Kumran, odkopując resztę wielkiej sali, przeznaczonej prawdopodobnie na zgromadzenia, oraz garnki tego samego typu co w jaskini oraz monety.

Badania cmentarza, położonego obok i uplanowanego bardzo regularnie, dały wyniki wręcz sensacyjne. Okazało się, iż zwłoki są zorientowane w sposób dotychczas zupełnie niespotykany na terenie Palestyny i krajów sąsiednich, mianowicie wyciągnięte według kierunku południka, z głową zwróconą na południe.

Na dalsze badania zabrakło środków. Wobec tego archeologów zastąpili badacze spośród tubylców, którzy na swój sposób rozpoczęli przeszukiwanie okolicy. Odkryto nowe groty z zabytkami. Nareszcie w marcu 1952 r., Ecole Biblique et Archeologique Française i American School of Oriental Research w Jerozolimie, wznowiły poszukiwania, kontynuowane na jesieni tegoż roku.

W licznych grotach znaleziono rękopisy i przedmioty z różnych epok. Wyrażane są zdania, iż pustynia Judejska stanie się dla historyków tym, czym był Egipt po odkryciu Champoliona.

Dziś zajmujemy się tu wyłącznie znaleziskami z pierwszej jaskini, oraz im pokrewnymi. Nie wszystko jeszcze się ujawniło. Gdy, na przykład, po kilku latach żmudnej pracy, rozwinięto jeden ze stwardniałych zwojów (tzw. *Apokalipsę Lamecha*), właściciel zwoju, Metropolita Mar Atanaz, nagle cofnął pozwolenie na ogłoszenie i nawet fotografowanie rękopisu¹⁾. Zresztą, nie tylko Beduini i Lewantyńcy, lecz także uczeni zachodni, nie zawsze stali na wysokości w całej tej sprawie nowych rękopisów. Jaką zaś doniosłość mają te znaleziska, można sądzić chociażby z faktu, iż od chwili ogłoszenia pierwszych dokumentów, na temat ich ukazało się ponad pół tysiąca większych prac, nie licząc drobnych notatek i artykułów dziennikarskich. Okazała się nawet potrzeba założenia nowego czasopisma bardzo poważ-

1) Rękopis, treść którego jest ogłoszona, traci wiele na swej wartości rynkowej. — Mar Atanaz od początku sprawy wykazał nieprzeciętne talenty handlowe, pospolite zresztą u całego duchowieństwa lewantyńskiego.

nego : *Vetus Testamentum*, wydawanego w Leydze przez Międzynarodowe Towarzystwo Badaczy Starego Testamentu.

Bilans dotychczasowych znalezisk, przedstawia się następująco :

1. — Klasztor Świętego Marka posiada : a) *Księgę proroka Izajassa*, b) *Komentarz do Księgi proroka Habakuka*, c) Część tzw. *Podręcznika Dyscypliny*, d) Dzieło w języku aramejskim, tzw. *Apokalipsę Lamecha*. Tekst wszystkich tych rękopisów, z wyjątkiem ostatniego, jest ogłoszony w całości.

2. — Uniwersytet Hebrajski posiada : a) *Księgę Proroka Izajassa*, b) Dzieło pod tytułem : *Walka Synów Światłości z Synami Ciemności*, c) *Psalm nieznany*. Dotychczas ogłoszono drobne wyjątki tych dzieł.

3. — Francuska Szkoła Biblijna posiada liczne urywki, bardzo cenne.

4. — Do Palestyńskiego Muzeum Archeologicznego w Jerozolimie należy część *Podręcznika Dyscypliny*.

Wszystkie te fragmenty mają być wkrótce ogłoszone. W pracach przygotowawczych bierze udział Polak, Ks. J.T. Milik, świetnie zapowiadający się biblista.

Już same *księgi Izajassa* mają olbrzymią wartość dla krytyki tekstów biblijnych, będąc najstarszymi obecnie odpisami Pisma Świętego. Prawdziwa sensacja jednak rozpoczęła się od *komentarza do Księgi Habakuka*.

Habakuk należy do tzw. 12-tu mniejszych proroków. W redakcji obecnej, cała Księga składa się z dwóch króciutkich ustępów, oraz niezwiązanego z nimi treścią psalmu, będącego dodatkiem późniejszym. *Księga Habakuka* zawiera zapowiedź i opis inwazji Chaldejczyków i pochodzi prawdopodobnie z okresu około VI stulecia przed Chrystusem.

W naszym rękopisie nieznany komentator zaktualizował to dzieło. Do każdego wiersza tekstu dodał on komentarz, nawiązujący do współczesnych mu wypadków. Komentator uważa proroka Habakuka jako zwiastuna wydarzeń, którym sam on się przyglądał. Jest to zresztą metoda znana i często stosowana przez dawnych komentatorów. Jest więc komentarz pierwszorzędny źródłem historycznym. Cóż z niego wynika? Autor opisyuje dzieje pewnej osobistości, niewymienionej z imienia, tytułowanej *Nauczycielem Sprawiedliwości*. Był to pomazaniec Boży, Mesjasz, głoszący miłość bliźnich, pokorę, ubóstwo, czystość. Bezbożny Arcykapłan prześladował Nauczyciela, kazał zedrzyć z niego szaty i zamęczyć. Później jednak, nastąpił triumf Nauczyciela Sprawiedliwości. Zjawił się on w glorii nad Jerozolimą, bezbożny Arcykapłan został oddany w ręce wrogów i zginął, odpokutowując za swoje zbrodnie.

Według autora, w chwili pisania komentarza, ludzkość znajduje się w ostatnim okresie swego istnienia. Wkrótce ma nastąpić Sąd Ostateczny, na którym Nauczyciel Sprawiedliwości, Wybraniec Boży, będzie sądził całą ludzkość. Uratują się jedynie ci, którzy wierzą w Nauczyciela, reszta zostanie potępiona.

W tym oczekiwaniu końca, zwolennicy Nauczyciela mają żyć, przestrzegając jego nakazów, zgromadzeni w gminie, która się nazywa *zjednoczeniem*, lub *stronnictwem*. Członkowie jej zaś noszą tytuły *biedaków*, lub *prostaczków*.

Szczęściem, wśród rękopisów, zachował się tzw. *Podręcznik Dyscypliny*, rodzaj Statutu tego zgromadzenia. Dzięki niemu możemy poznać organizację, zasady, system filozoficzny, modlitwy i pouczenia tej nieznanej dotychczas sekty palestyńskiej, *Gminy Nowego Przymierza*.

Badaczom *Komentarza i Podręcznika*, od razu rzuciło się w oczy podobieństwo ich do głośnego od 40-tu lat, rękopisu, który w swoim czasie wzbudził wielką sensację, lecz nie mógł być całkowicie zrozumiany. Chodzi o tzw. *Pismo Damasceńskie*, znalezione w końcu XIX wieku w archiwum świątyni karaickiej w Kairze²⁾, i ogłoszone przez S. Schechtera w 1910 r. Są to dwa odpisy z X-go i XII-go wieku, z oryginału pochodzącego z II-go lub I-go wieku przed Chr. *Pismo Damasceńskie* stanowi regulamin *Gminy Nowego Przymierza w kraju Damasceńskim*, założonej przez zwolenników Nauczyciela Sprawiedliwości, po ich ucieczce z Palestyny. Zarówno styl, terminologia, ideologia jak i postać Nauczyciela, nie pozostawiają wątpliwości, iż rękopis kairski i rękopisy jerychońskie pochodzą z tego samego środowiska i zostały ułożone w tym samym okresie.

Czymże więc była ta Gmina Nowego Przymierza i kim był ów Nauczyciel Sprawiedliwości? Dlaczego nie mieliśmy o nich świadectw w innych źródłach? Czy może byli oni znani pod innymi imionami?

Stworzono cały szereg hipotez o okresie powstania nowych rękopisów. Rozpiętość przypuszczeń wahała się od VI-go wieku przed Chr. do X-go wieku po Chrystusie. Ostatecznie, najbardziej przekonującą wydała się teoria, iż rękopisy zostały zredagowane w II-gim lub I-szym wieku przed Chr., schowane zaś w jaskini przez wiernych Gminy Nowego Przymierza, między 66 a 70-tym rokiem po Chr., w okresie powstania żydowskiego i wielkiej wojny z Rzymianami.

Co do autorstwa rękopisów, pierwszy Sukenik postawił pytanie czy nie są one dziełem Eśseńczyków. Myśl tę rozwinął Dupont-Sommer i obecnie ma ona najwięcej zwolenników.

Encyklopedysta rzymski Pliniusz Starszy (zmarł w 79 r. po Chr.) donosi nam, iż za jego czasów, na zachód od jeziora Asfaltowego (Morza Martwego) mieszkali Eśseńczycy. „To jest naród jedyny w swoim rodzaju, zadziwiający ponad wszystkie inne na świecie : bez żon, wyrzekający się wszystkiego co pochodzi od Venus, bez pieniędzy, nie mający innego towarzystwa

2) Odkrycie tego archiwum, tzw. *Genizy Kairskiej*, zawierającej około 200.000 dokumentów hebrajskich, aramejskich, arabskich i greckich, sięgających 8-go wieku, wywołało prawdziwy przewrót w poglądach na dzieje kultury Środkowego Wschodu za okres wielu stuleci. Znalezione tam fragmenty ksiąg Pisma Świętego, znane poprzednio jedynie z nazwy, nieznane utwory poetyckie, filozoficzne, teologiczne itp.

niż palmy. Jednak stale pozostają oni w niezmienniej liczbie, dzięki tłumowi nowych przybyszów, albowiem wielka jest liczba takich, którzy zmęczeni przez życie, są kierowani przez los do przyjęcia ich sposobu bycia. W ten sposób, w ciągu tysięcy wieków trwa ten wieczny naród wśród którego nikt się nie rodzi".

Prawda, że w nowych rękopisach nigdzie nie występuje nazwa Eseneńczycy. Jednak dla oznaczenia gminy, często spotykamy wyraz hebrajski *ecach* (stronictwo). Dupont-Sommer przypuszcza, iż wyraz ten który w transkrypcji greckiej powinien dać *essa*, przeszedł w *essaioi* i *essenoi*, greckie nazwy Eseneńczyków.

Istniało kilka kategorii Eseneńczyków: Eseneńczycy ścielej reguły, właściwi zakonnicy, oraz coś w rodzaju tercjarzy, żyjących poza zakonem i posiadających rodziny. Stąd też rękopisy zawierają ustawodawstwo dotyczące życia małżeńskiego.

Reguła zakonna Gminy była niezwykle ostra. Nie istniała tam własność prywatna, wszystko należało do ogółu, regulamin przewidywał surowe kary dla tych, którzy, wstępując do Zgromadzenia, zatajali swój majątek. Kandydat był egzaminowany przez przełożonego i po pewnym czasie próbnym, na mocy decyzji zgromadzenia był dopuszczany do dwuletniego nowicjatu. Po tym okresie nowicjusz zostawał pełnoprawnym członkiem i mógł brać udział we wspólnych posiłkach i wspólnych kąpielach oczyszczających, mających charakter sakralny. Jeżeli surowy regulamin odstraszał członka, mógł on opuścić Gminę. Gdy wracał na nowo, musiał odbyć nowicjat od początku. Członek, który opuścił Gminę po dziesięcioletnim pobycie, nie mógł być przyjęty powtórnie.

Ścisła hierarchia była przestrzegana i raz na rok układano listę starszeństwa według kolejności wstąpienia i według zasług. Starcy cieszyli się wielkim szacunkiem, istniała jednak granica wieku dla piastowania urzędów. Wszystkie stanowiska obsadzano na podstawie wyborów i losowania. Trybunał składał się według *Podręcznika Dyscypliny* z dwunastu członków, według *Pisma Damasceńskiego* z dziesięciu; kapłani i lewici mieli w nim zarezerwowaną ilość miejsc. Poza tym, kapłani grali wielką rolę w całej organizacji Gminy i oni to błogosławili chleb i wino w czasie posiłków, mających charakter sakralny. Posiłki te poprzedzano kąpielą oczyszczającą i wkładano następnie specjalne szaty. Poza dwoma posiłkami codziennymi, cały czas od świtu do zmroku był wypełniony pracą. Dzień rozpoczynano i kończono modlitwą. Co trzecią dobę odbywały się nabożeństwa nocne. Za najmniejsze przewinienie karano zmniejszeniem i tak skromnej racji żywnościowej lub zamknięciem.

Poza przepisami ustawodawczymi i porządkowymi, rękopisy zawierają modlitwy, oraz ustępy treści filozoficznej. W wierzeniach Gminy Nowego Przymierza, spotykamy rzecz nieznaną w Starym Testamencie mianowicie dualizm typu irańskiego. Pierwsiastek zła nie jest przeciwstawiony Bogu, uważa się, iż za-

równy dobro jak i zło zostały stworzone przez Boga. Jest to typowy dualizm według nauki Zoroastri.

Jeszcze za wcześnie decydować jaką drogą ta nauka trafiła do Palestyny: bezpośrednio z Iranu czy też z Grecji, za pośrednictwem Pitagorejczyków. Zaznaczmy, iż w Egipcie, z którym Pitagorejczycy byli związani, istniały liczne grupy Eseneńczyków, zwanych tam *Terapeutami*.

Dupont-Sommer udowadnia istnienie znacznych wpływów pitagoryjskich na Gminę. Między innymi, członkowie jej w systemie mistyki liczbowej, przypisywali najwyższą świętość cyfrze 50, uważanej także przez Pitagorejczyków za podwójnie doskonałą³⁾.

Kalendarz Eseneńczyków zdradzał pochodzenie z obszarów bardziej północnych; jest to kalendarz słoneczny, rozróżniający cztery pory roku, gdy w Palestynie istnieją jedynie lato i zima. Każda pora była podzielona na trzy miesiące; dwa pierwsze miały po 30 dni, trzeci zaś jeden dzień dodatkowy, służący za przejście do następnej pory.

Eseneńczycy, na równi z Pitagoryjczykami, czcili swego mistrza tak dalece, iż nie wolno było wymawiać jego imienia, które pozostaje nieznane dla nas. Kimże był ten Nauczyciel, Pomazaniec Boży?

Niektórzy chcieli zidentyfikować go z Chrystusem, lecz: 1) Chrystus żył i działał w Galilei, — Nauczyciel Sprawiedliwości w Judei; 2) Nauczyciel pochodził z rodu kapłańskiego, — Chrystus z pokolenia Dawida; 3) Nauczyciel był uczonym filozofem, surowym ascetą, — Chrystus nie potępiał radości życia, działał wśród prostego ludu.

Niektóre ustępy komentarza Habakuka każą przyjąć, iż Nauczyciel Sprawiedliwości działał za panowania Arcykapłana i króla z dynastii Hasmonejskiej, Aristobula II (67-63 przed Chr.), wziętego do niewoli i zamordowanego w więzieniu w Rzymie. Męczeńska śmierć Nauczyciela miałaby miejsce między 65 a 63 rokiem. Opis upadku Jerozolimy, jako kary za zbrodnię, zgadza się z opisem zdobycia tego miasta przez Pompeusza w październiku 63 r. przed Chr.

Identyfikacja autorów rękopisów z Eseneńczykami ma dotychczas licznych przeciwników. Niektórzy, jak np. H.E. Del Medico, całkiem zaprzeczają istnieniu Eseneńczyków, uważając ich za wytwór fantazji Józefa Flawiusza. Inni zaś, a przede wszystkim S. Zeitlin nie szczędzą wysiłków, aby odmówić rękopisom dawności i jakiegokolwiek wartości. Według tych poglądów mają rękopisy pochodzić z okresu około X-go wieku po Chr. i są dziełem mało piśmiennych autorów karaickich. Język

3) Najprostszy trójkąt prostokątny, o bokach wyrażonych w całych jednostkach, ma przyprostokątne równe 3 i 4 i przeciwprostokątną równą 5. Suma ich wynosi 12 — liczba doskonała według Pitagorejczyków. Boki tego trójkąta podniesione do kwadratu, na podstawie twierdzenia Pitagorasa, dadzą 9, 16 i 25, w sumie 50 — liczbę podwójnie doskonałą.

ma jakoby zdradzać liczne arabizmy, terminologia zaś i ideologia są typowe dla Karaizmu.

Jedynym wynikiem wystąpienia Zeitlina i jego szkoły jest to, iż dziś nie ulega już żadnej wątpliwości istnienie ścisłego związku między ideami i regułą rękopisów jerychońskich i damasceńskich, a Karaizmem. Dawność rękopisów została niezbicie udowodniona. Dane paleograficzne i badania fizyczne znalezionych przedmiotów wskazują zgodnie na okres II lub I wieku przed Chr. jako czas ich powstania. Wpływy językowe, rzekomo arabskie, okazały się po prostu aramejskimi, a więc również z tego samego okresu.

Już prawie od wieku, badacze jak: Geiger, Graetz, Harkavy, Kaufmann Kohler i inni zwrócili uwagę na podobieństwo ustawodawstwa religijnego karaickiego z esseńskim. Podobieństwo to jeszcze bardziej się uwydatniło po znalezieniu Pisma Damascenckiego i rękopisów Morza Martwego. Zwróćmy tu uwagę na kilka analogii. Członkowie Gminy Nowego Przymierza nazywali siebie: *ci co wzdychają i jęczą* (wyrażenie zapożyczone od Proroka Ezechiela), *sieroty*, — *biedacy* — dokładnie te same wyrażenia, jakie stosowali do siebie dawniej wyznawcy Karaizmu.

Księgi Proroków w obu wypadkach mają tę samą doniosłość co i Pięcioksiąg. Alegoryczny system interpretacji Pisma Świętego jest charakterystyczny dla obu grup.

Według nowoznalezionych rękopisów, Mesjasz ma być nie z domu Dawida, lecz Aarona; tę samą koncepcję znajdujemy jeszcze w XII-tym wieku wśród Karaitów.

Przepisy dotyczące pożycia małżeńskiego, zakaz poligamii (chociaż uznanej przez Stary Testament), utrudnienia rozwodowe, zakaz ponownego ślubu rozwiedzonego, za życia pierwszego małżonka — wszystko to jest wspólne dla obu grup.

Już w *Pismie Damascenckim* znajdujemy regułę analogii tak charakterystyczną dla karaickiego ustawodawstwa kanonicznego.

Trybunał składa się z dwunastu członków (według Pisma Damascenckiego i przepisów karaickich — z dziesięciu), gdy w Palestynie najczęściej z trzech, a już nigdy z parzystej liczby sędziów.

Dawny kalendarz karaicki był identyczny z esseńskim, o którym mówiliśmy wyżej. System grzebania zwłok, głową na podłudnie, stwierdzony na cmentarzu w Kirbet-Kumran, stosowany jest po dziś dzień przy pogrzebach karaickich.

W karaickich dziełach teologicznych, częste są wzmianki o Nauczycielu Sprawiedliwości. Jednak zapomnienie całej spuścizny duchowej zaszło tak daleko, iż dziś już nikt nie wie o kim tu mowa. Postać Nauczyciela występuje także w liturgii; autor niniejszego ogłosił przed rokiem pewną modlitwę pokutniczą, odmawianą jeszcze do dziś, w której mamy takie zdanie: „*Zeslij nam Nauczyciela Sprawiedliwości, aby skłonił serce ojców ku synom*”.

Jednocześnie z tendencjami szkoły Zeitlina zarysowała się odmienna, reprezentowana przez J.L. Teichera i innych. Twierdzą oni, iż wymienione wyżej zbieżności są czysto przypadkowe. Według tej szkoły, Karaizm, nie posiadając żadnych podstaw ideologicznych, miał się chwycić części rękopisów, wykrytych koło Jerycha w IX wieku i przywłaszczył sobie ich idee. Zwoleńnicy tej teorii zapominają jednak o drobnostce: w jaki sposób Karaizm, żywiłowo rozpowszechniający się w VIII wieku, mógł już wtedy, o całe stulecie naprzód, znać te idee, rzekomo udostępnione dopiero w IX wieku, i wyrażać je w swoich ówczesnych pismach?

Jakże więc powiązać wszystkie te fakty, omówione tu w wielkim skrócie? Na łamach *Vetus Testamentum* wskazaliśmy na tekst autora arabskiego XIV i XV wieku, Makrizi'ego mówiący o wielkim rozłamie religijnym w Izraelu w okresie dynastii Hasmonejskiej (II-I w. przed Chr.).

Było to prawdopodobnie związane z prześladowaniem Nauczyciela Sprawiedliwości i wywołało emigrację pewnej grupy, unoszącej ze sobą swoje pisma. Wtedy to powstał poza granicami Palestyny, ośrodek religijny monoteistyczny o tendencjach uniwersalistycznych, przeciwstawiający się ośrodkowi nacjonalistycznemu w Jerozolimie. Ciekawą jest rzeczą, iż rękopisy Morza Martwego znają następujące kategorie członków Gminy Nowego Przymierza: kapłani, lewici i zwykli synowie Izraela. Pismo Damascenckie, ułożone już na wygnaniu, przechowane w kienasie karaickiej, rozróżnia jeszcze czwartą kategorię — prozelitów. Widocznie w Damaszku, była prowadzona szeroka akcja misyjna wśród ludności pogańskiej.

W Damaszku, na gruncie przygotowanym przez adeptów Nauczyciela, Chrześcijaństwo znalazło silniejszy oddźwięk niż w Palestynie. Nie powinno to dziwić, skoro przypomnimy sobie w jakim stopniu całe życie Gminy Nowego Przymierza było przepojone czystą ideą religijną. Istniało tu więc podłoże podatne dla rozpowszechniania idei Chrystusa. Saul z Tarsu, rozpoczynając walkę z Chrześcijaństwem, pierwszy swój cios kieruje w Damazek, jako centrum bardziej niebezpieczne niż Jerozolima. Tutaj też następuje jego nawrócenie się i przemiana na apostoła Pawła.

Wierni z Gminy Nowego Przymierza nawróceni na chrześcijaństwo mogli ze sobą przynieść pewne idee i instytucje. Gmina chrześcijańska kieruje 12 Apostołów i po zdradzie Judasza, miejsce jego zostaje natychmiast obsadzone, ucieka się przy tym do losowania. W pierwotnych gminach chrześcijańskich istniała wspólnota majątku, charakterystyczna dla Esseńczyków. Coraz liczniejsze prace mają obecnie za temat te związki.

Po emancypacji Chrześcijaństwa i przeniesieniu jego centrum do Europy, Gmina Nowego Przymierza osłabła i przez kilka wieków prowadziła istnienie mało na zewnątrz dostrzegalne.

Jednak w łonie jej trwała praca ideowa i odbywała się ewolucja duchowa, objawiająca się od czasu do czasu w postaci ruchów zwanych *prekursorami Karaizmu*.

Dopiero w VIII w., dzięki sprzyjającej atmosferze duchowej na Bliskim Wschodzie, Karaizm rozpoczął ekspansję, która błyskawicznie ogarnęła Azję, Północną Afrykę, a nawet daleką Europę Wschodnią. Wtedy to został nawrócony na Karaizm szereg ludów różnych ras: resztki ich dochowały się do naszych czasów, między innymi także na terytorium Polski.

Znaczenie rękopisów Morza Martwego polega właśnie na tym, iż pomaga uzupełnić lukę w dziejach religii monoteistycznych i powiązać w jedną całość szereg zjawisk, uważanych dotychczas za odosobnione.

Szymon SZYSZMAN

Biust i kółko

(Na marginesie tegorocznych wystaw paryskich)

„Gdyby pierś kobieca nie była tak okrągła, nigdy nie zostałbym malarzem”.

RENOIR

Sztuka zawsze była zbliżaniem się do świata przez ucieczkę. To błędne koło jest paradoksem życia duchowego. Anarchiści zwykli określać „powrót do rzeczywistości” jako „*embourgeoisement*”. Taka wulgaryzacja życia duchowego jest charakterystyczna dla manii socjologicznej, która opętała myśl wyzwoloną od teologii.

Aforyzm Renoira jest na pierwszy rzut oka wyznaniem erotomana, który swą namiętność „*voyeur’a*” ukrywa pod pozorami artystycznej bezinteresowności. Psychoanalitik poprzestałby na tym. Podchwyciłby skwapliwie fakt, że Renoir zrobił to wyznanie już w podeszłym wieku i patrzyłby na akty Renoira jak na manifestację wysublimowanej satyriasis.

Nie powiedział wprawdzie Renoir: „Gdyby pierś kobieca była mniej okrągła, nie malowałbym nagich kobiet”, ale: „nie zostałbym malarzem”. Dlatego, że kółko może w odpowiednim kontekście form oznaczać pierś kobiecą, zostałem malarzem, tj. człowiekiem, który operuje formami. W tej postaci aforyzm ten jest niemal manifestem biologizmu. Czynność duchowa staje się interesująca tylko, jeżeli zadowala potrzeby biologiczne.

Ale o to właśnie chodzi: czy sztuka „zadowala” instynkty, czy też raczej je eksploatuje? Sztuka nie jest wcale pierwszym aniołem, który wprowadza duszę za rogi do raju. To samo robi już życie. Choć można oczywiście mieć wątpliwość, czy słowo

„raj” jest w tym wypadku dobrze dobrane. Instynkt robi z człowieka narzędzie gatunku. Podstęp tego używa także społeczeństwo, gdy eksploatuje takie instynkty człowieka jak strach, głód itd. Zarówno gatunek jak społeczeństwo uwznioślają tę niewolę. Kochanek, pociągnięty przez pokusę, staje się ojcem, którego pokrzepia duma ojcowska; żołnierz, bity w co popadnie, pociesza się uczuciami patriotycznymi.

Czy Renoir umiałby powiedzieć, co fascynowałoby go bardziej: krągłość, która oznacza pierś, czy pierś, która jest krągłością? Może wstydzi się swej namiętności do form i chciał ją usprawiedliwić? Jestem taki sam, jak wy: słaby człowiek. Słabość wyznana rozbraja. Jak można mieć malarzowi za złe jego manię form i kolorów, skoro zaspokaja ona tak zrozumiałe potrzeby?

Misia Sert na starość nie mogła sobie wybaczyć, że nie chciała pokazać Renoirowi swego wspaniałego (wówczas) biustu. I nawet nie przyszło jej do głowy, że Renoirowi wystarczyłby może widok pięknego jabłka. Czy ta próżność jest wybaczalna? Innymi słowy: czy „czysta forma” nie jest objawem hipokryzji?

Renoir maluje z pasją i smakiem nagie kobiety, o których widz zapomina, gdy odkrywa, jak biusty, biodra i pośladki układają się w tę rzecz zawsze niespodziewaną i wyrwającą ze świata: obraz. Przed aktem Ingresa musi sobie nawet przypominać z wysiłkiem, że pretekstem do obrazu była czyjaś nagość — tak przedmiot roztopiony tu został w formie. Puryści natomiast malują tylko kształty geometryczne, ale Remizow nawet przed kolekcją kwadracików Kandinsky’ego powie: „On dotyka ciała!”

Nie chodzimy do muzeów, by oglądać to, co możemy zobaczyć w domu czy z okna domu. Gdyby tak było, do muzeów chodziliby tylko chłopcy w wieku pokwitania i ubodzy, którzy stracili nadzieję, że zobaczą kiedykolwiek egzotyczne kraje. Ale gdy już wiemy, czego szukamy w muzeach, nie zadowolą nas żadne surogaty. Dlatego olbrzymia większość malowanych dziś w Paryżu obrazów abstrakcyjnych nigdy nie zawiśnie w Luwrze.

Cézanne sprowadzał świat widzialny do trzech form stereometrycznych, ale chciał wisieć przy Poussinie, choć pragnął go namalować jeszcze raz „z natury”. Poussin zrobił wysiłek, którego żaden wynalazek techniczny trzech następnych stuleci, żaden „postęp sztuki” nie unieważnił: pokazał, że wszystko, co przemija, ma wieczną formę. Malarz abstrakcyjny chce pokazać samą formę. Odwraca głowę od świata, bo nie wierzy, że świat ma te formy. Ta niewiara gubi go.

Sztuka abstrakcyjna dowodzi, że kultura błądzi przez nadmiar swych skarbów. Poprzez wszystkie epoki i style przewija się nieustannie Forma. Im większa jest różnorodność jej realizacji, tym jaśniej widać, że chodzi wciąż o to samo. Obchodzono się bez anatomii, bez perspektywy, bez rozbicia promienia słonecznego i osiągnano formę, do której po wynalezieniu perspektywy, anatomii i optycznej syntezy kolorów niczego nie można dodać.

Cóż za pokusa! Dlaczegożby nie sięgnąć po Formę bezpośrednią?

Picasso nie uprawia żadnej mistyfikacji. To nie on wynalazł teorii sztuki abstrakcyjnej, które czarują naiwnych. On nie potrzebuje maskować swych intencji. Powiedział po prostu: „Zawsze chcę namalować jakiś obraz, który mi się podobał, ale zawsze wychodzi coś innego”. Kubizm był próbą powtórzenia klasycznej sztuki w abstrakcji od jej tematyki. Namalować tylko to, co Baudelaire widział od wejścia w obrazach Delacroix, z nim mógł rozróżnić co one przedstawiają.

Czy można tak malować? Oczywiście, że można, ale nie można na tym poprzestać. Kubizm był w karierze Picassa okresem przejściowym — próbą instrumentów. „To może mi się do czegoś przydać” mówił przerysowując jakąś bardziej efektowną mapę nieba. „Wszy na jego kołnierzu” zobaczyły tę notatkę i zbudowały na niej „izm”, z którym zeszyli do grobu. Picasso studiował dalej.

Kto dziś chce się uczyć malarstwa, ma tysiąc mistrzów. Na wazach greckich jest wszystko, co trzeba wiedzieć o greckiej wrażliwości, ale oślepego Minotaura, którego mała dziewczynka wyprowadza na łąd, narysował dopiero Picasso.

Na hiszpańskich martwych naturach widzieliśmy dynie, ogórki i cebule, w których było więcej mistycyzmu, niż w jednej anielskiej postaci malarstwa dewocyjnego. I sto razy więcej, niż w purystycznych, „czystych” spekulacjach abstrakcjonistów. Uduchowienie nie może być programem — jest nagrodą za wysiłek. Oto prawda, o której sztuka abstrakcyjna chciałaby zapomnieć. Próbuje ona seryjnej produkcji aktów Łaski. Wulgarnie spojrzenie na świat nie traci nic ze swej wulgarności, gdy spoczywa na samych plamach barwnych i ich wzajemnych relacjach. Istnieje pewien wysiłek duchowy, którego nie można obejść. Nie wszystko będą za człowieka robiły maszyny, bo życie duchowe nie jest nadwartością.

J. U.

Wystawy paryskie

Wystawę witraży francuskich w Musée des Arts Décoratifs (ulica Rivoli) zawdzięczamy dość paradoksalnie wojnie i jej, trwającemu do dziś, skutkom. Aby uchronić średniowieczne witraże od bomb pozdziejowano je w r. 1939 i ukryto w bezpiecznym miejscu. Zaraz w 1945 r. chciano urządzić z nich wystawę, ale witraży było 50.000 metrów kwadratowych, nie więc dziwnego, że zdecydowano umieścić z powrotem główne witraże w katedrach i kościołach Paryża, Chartres, Bourges itd. a obecna wystawa pokazuje tylko drobną cząstkę i to właśnie — bardzo zresztą słusznie — witraże mniej znane, z jakichś bardziej zapadłych okolic.

Witraże postarano się umieścić w atmosferze zbliżonej do oryginalnej, a więc w półmroku niby kościelnym. Dla spotęgowania wrażenia dobrze poukrywane głośniki nadają dyskretnie muzykę religijną. Oczywiście ściany z płótna nie zastępują średniowiecznych murów, a oświetlenie elektryczne, umieszczone zresztą bardzo zgręcznie za witrażami, nigdy nie dorówna światłu dziennemu (toteż najlepiej przedstawiają się witraże umieszczone na prawdziwej ścianie muzeum i oświetlone światłem dziennym). Wystawa trwać będzie co najmniej do końca września i radziłbym tym, co na niej jeszcze nie byli, by zaczęli ją zwiedzać „od końca” tj. od witraży najpóźniejszych, umieszczonych w głębi. Nie dlatego, abym twierdził, że tylko wczesne witraże są coś warte, a późniejsze nie. Bynajmniej. Witraże renesansowe uderzają świeżością barw i godne są także podziwiania. Ale po nich zawsze jeszcze można oglądać i podziwiać witraże średniowieczne, jak choćby 14-wieczny „realizm” czy może, ściślej biorąc, zainteresowanie życiem ziemskim, widoczne w postaciach rzemieślników i kupców na granatowo-czerwonym witrażu z Semur. A po witrażach z XII wieku nie już oglądać nie można. Ich twórcy interesowali się nie życiem ziemskim, ale niebieskim i środki artystyczne których używali były na miarę ich zainteresowań.

Artystów, którzy stworzyli te witraże nazywa się powszechnie prymitywami. Nie byli oni w każdym razie prymitywami, jeśli chodzi o technikę, skoro do dzisiaj mimo usilnych poszukiwań nie udało się na przykład odnaleźć odkrytego przez nich sposobu barwienia szkła, któremu dorównać dziś nie potrafimy. A więc może tworzyli dla ludzi prymitywnych? Chłop z XII wieku, który orał drewnianym pługiem, nie umiał na pewno czytać ani pisać, a wierzył w najrozmaitsze, z naszego punktu widzenia absurdałne, przesady (mamy na to dowody, bo wiemy w jakie przesady wierzyli członkowie ówczesnej elity). A jednak spośród tych właśnie ludzi, wśród nich, i zapewne dla nich, powstała tak wspaniała sztuka i widocznie była potrzebna i pożyteczna, skoro zapewniano jej tak poczytne miejsce w katedrach, które znowu były dosłownie centrum ówczesnego społeczeństwa. Nie darmo w średniowiecznym mieście katedra wznosi się wysoko ponad domy i jest niejako sercem miasta. Dom Boży nie był dla współczesnych tylko przeznaczeniem, a zresztą katedra poświęcona np. świętemu Stefanowi lub Matce Boskiej, to był dom Naszego Pana, św. Stefana czy Naszej Pani (skąd: Notre Dame), no a ziemie należące do katedry były po prostu ziemiami świętego Stefana. Wszystko to ma na celu wskazanie, że mimo naszego estetycznego zachwytu dla witraży niewiele być może rozumiemy z zamiarów i celów ich twórców. Ostatecznie nie tworzyli oni może dla wiernych, tylko wyłącznie dla Boga. A co widzieli w tej powodzi barw pokorni chłopcy, którzy przychodzili do katedry raz na miesiąc czy zgola dwa razy do roku, nie dowiemy się chyba nigdy.

Jeden tylko kraj na świecie może sobie pozwolić na urządzenie wystawy poświęconej winu w historii tego kraju i to zorganizowanej nie przez związek producentów win, a przez Archives Nationales. (Oczywiście, Włochy stałyby na wystawę „Wino w sztuce”). Najciekawszą zresztą częścią wystawy były bodaj niektóre miniatury średniowieczne przedstawiające bądź to pijaństwo Noego bądź uprawę win. Już w średniowieczu wino było uważane za środek leczniczy i jedna ze średniowiecznych encyklopedii medycznych zapewnia pod literą V: „Dodaje się niekiedy do wina ziola i korzenie aromatyczne, aby nadać mu zapach i smak sztuczny... i takie wino dobre jest do picia i na lekarstwo, albowiem ziola i korzenie udzielają mu wielkiej cnoty i strzegą je od zepsucia, a wino takowe rozkoszne jest dla smaku i zaostrza apetyt (pierwsze aperitywy!) i zapachem swoim krzepi mózg i żołądek i czyści krew i przenika członki i żyły”. Jak widzimy kult

dla wina we Francji nie datuje się od dzisiaj. Na wystawie można było podziwiać wspaniałe pergaminy królewskie z VIII-IX wieku nadające winnicę temu czy owemu klasztorowi lub mapę z wykresem szlaków eksportu win francuskich do Holandii i Skandynawii w tym samym okresie.

Dla mieszkańca Paryża melancholijnie nieco przedstawia się gablotka poświęcona stolicy Paryża: winnice rozpościerały się nie tak jeszcze dawno nie tylko w Clichy czy w „Clos Saint Lazare”, ale nawet w Saint Germain des Près. Tym bardziej melancholijnie, gdy czyta się kontrakt między jakimś stolarzem i innym rzemieślnikiem o sprzedaży winnicy położonej w obrębie dzisiejszego Paryża. Ilu rzemieślników w Paryżu ma dziś winnicę? Takie dokumenty rzucają czasem niespodziewane światło na różnicę w sytuacji społecznej dwóch epok i na dzisiejszą bezdomność — „deracinement” — robotnika paryskiego w porównaniu z jego przodkami. Nawet dokumenty z drugiej połowy XIX wieku pokazują jakie postępy zrobili od tego czasu wielkie monopole także jeżeli chodzi o produkcję wina, mimo że ta dziedzina zostawia jeszcze wiele pola dla indywidualizmu. To samo nastąpiło na większą skalę w takich przemyśłach jak produkcja beczek czy butelek, z jak najgorszym skutkiem dla strony artystycznej. Dwie sale wystawy poświęcono pięknym, naprawdę starym beczkom (rzeźbionym), butelkom i kieliskom. Intrygujące jest, że najładniejsze kieliszki pochodzą z XVII i XVIII wieku, choć w innych dziedzinach sztuki wiek ten był raczej mierzny. Epoka, która wydała znakomite malarstwo, nie koniecznie musi być epoką znakomitej architektury; to „prawo” obowiązuje widocznie i wobec sztuki stosowanej.

Jan TOROSIEWICZ

Der MONAT

MIĘDZYNARODOWY MIESIĘCZNIK
POLITYCZNO-LITERACKI
POD REDAKCJĄ MELVINA J. LASKY'EGO
Berlin-Dahlem, Saargemünder Strasse 25.
Cena egzemplarza — 1 DM.

UWAGA POLACY W KANADZIE

KSIEGARNIA WYSYŁKOWA I AGENCJA CZASOPISM

RADEGAST

570 Aberdeen Ave., WINNIPEG, Man.

ułatwi Wam nabycie każdej polskiej książki oraz załatwi prenumeratę następujących czasopism: KULTURA, WIADOMOŚCI, ŻYCIE, ORZEŁ BIAŁY i in.

„RADEGAST” dostarcza ze składu w Kanadzie najpiękniejsze polskie płyty POLONIA i innych wytwórni.

Książki

Niemcy a rewolucja przemysłowa

Książka Edmond Vermeil *) słusznie zwraca uwagę, że uprzemysłowienie Niemiec przybrało tak odrażające formy głównie z powodu opóźnienia tego kraju w procesie uprzemysłowienia. Gdy Niemcy, wzbogacone przez bismarckowskie zwycięstwo nad Francją, zaczynają się gwałtownie uprzemysławiać, Anglia i Francja już od pół wieku systematycznie budują przemysł. Co dopiero zjednoczone politycznie, Niemcy ulegają pod wpływem tego raptownego procesu cywilizacyjnego społecznemu rozdarciu. Osiągają namiastkę harmonii społecznej tylko w okresach nacjonalistycznej egzaltacji lub w okresie dyktatury. Gdy brak takiego stymulansu, burżuazja i proletariatus nie są nawet partnerami w walce klas, ale przeciwnikami w dżungli.

Prusy dały Niemcom mechanizm, który przez kilka dziesięcioleci zapewni temu krajowi spokój, jeżeli nie harmonię: wojsko i biurokrację, wychowane w kantowskiej etyce obowiązku i posłuchu. Gdy tego mechanizmu zabraknie, wraca dżungla. W latach 1920-23 burżuazja przemysłowa nie tylko zwala na proletariatus wszystkie koszty swej walki o władzę — jaką wygrywa wbrew zwycięskim aliantom — ale poświęca niemniej bezwzględnie podporę Niemiec cesarskich — drobnomieszczaństwo. Nie rozumie ona — powiada Vermeil — że w ten sposób toruje drogę cezaryzmowi, który ją pochłonął a Niemcy stracił w przepaść.

Brutalizacja rewolucji przemysłowej w miarę jej przesuwania się na Wschód i coraz większego „zapóźnienia” zdaje się być zresztą jednym z praw naszej cywilizacji. Rosję dzieli bowiem od Niemiec znowu odstęp 50-letni. Jeżeli to prawo nie jest tylko zbiegiem okoliczności, grozą przemawiać musi myśl, czym będzie — jako zjawisko polityczne, społeczne i kulturalne — uprzemysłowienie Chin!

W sto lat po Lutrze i Koperniku Francja położy w Pokoju Westfalskim fundament pod „europejskie niebezpieczeństwo” Niemiec: rozbija ten kraj na tyleż królestw i księstw, ile jest dni w roku. Gdy Bismarck zjednoczy Niemcy, popadną one w gorączkę industrializacyjną, której polityka

1) Edmond Vermeil. *L'Allemagne Contemporaine sociale, politique, culturelle 1890-1950*. Tome I: *Le règne de Guillaume II 1890-1918*, frs. 590. Tome II: *La République de Weimar et le Troisième Reich 1918-1950*, frs. 620, Aubier, Editions Montaigne, Paryż 1952/53.

i kultura tak samo nie dotrzymają kroku, jak zdezorientowani stróże porządku europejskiego — Francja i Anglia. Pierwsza wojna światowa, wywołana sięgnięciem przez Niemcy po brakujący im filar uprzemysłowienia — potęgę morską — skończył się interwencją Ameryki w Europie; druga, wywołana ponowną próbą wymuszenia harmonii społecznej przez eksplozję imperialistyczną, ostatecznie zatrzyma Amerykę w Europie i przesunęła granice Rosji nad Łabę.

Hermann Rauschning²⁾ daremnie domagać się będzie od Anglosasów, by uznali „rewolucję europejską” założoną w kulturze niemieckiej i zjednoczyli Europę jako „zwornik pokoju światowego”. Czym jest kultura wobec cywilizacji technicznej, czym romantyzm rewolucyjny wobec Rewolucji Przemysłowej? Europa była jednością mimo „rozbicia”, na które utykałano bez końca. Teraz o jej zjednoczeniu mówią ci, którzy rozbili ją ostatecznie. Łaba stała się fosą oddzielającą dwa coraz bardziej obce sobie światy. Mit jedności Europy jest już tylko narzędziem psychologicznym ułatwiającym utrzymanie jej podziału. Dwa okupujące Europę imperia gotowe ją zjednoczyć, ale każde tylko i wyłącznie na swoich warunkach. Łatwo obliczyć szanse tego zjednoczenia. W istocie, geniusz niemiecki nie dorósł do roli pogromcy demona przemysłu.

Alfred Grosser³⁾ (którego książka jest jakby trzecim tomem pracy Vermeila, albo lepiej: pierwszą częścią tego tomu, skoro Grosser ogranicza się do Republiki Federalnej) pisze: „Zdawano sobie sprawę (w marcu 1952 r.), że w gruncie rzeczy ani Sowiety ani Zachód nie są gotowe pogodzić się ze zjednoczonymi Niemcami w innej formie jak czy to w postaci rozszerzonej ku Zachodowi Republiki Demokratycznej, czy rozszerzonej ku Wschodowi Republiki Federalnej. Zjednoczenie o charakterze syntezy nie będzie mogło być brane pod uwagę wcześniej, niż w dniu, gdy Stany Zjednoczone i Sowiety zdecydują się uczynić z Niemiec pierwszy kraj, w którym pogodzą się dwa światy, rozchodzące się dziś coraz bardziej”.

Bainville żądał w r. 1915 powrotu do Pokoju Westfalskiego. W roku 1920 przepowiedział lata 1937/39, gdy przeczytał Traktat Wersalski. Trzeba było Stalina i Roosevelta, by po drugiej wojnie światowej nie popełnić błędu, który ku rozpaczai Bainville'a popełniono po pierwszej. Bainville myślał, że na podziale Niemiec skorzysta Francja. Dziś jeszcze wierzy w to wielu Francuzów, choć ci, którzy boją się wojny z Rosją, w szczególnym zaślepieniu życzą sobie zjednoczenia Niemiec.

Podział Niemiec jest w interesie tych, którzy go przeprowadzili i od ośmiu lat utrzymują. Dla czegoż mieliby „godzić dwa światy coraz bardziej się dziś rozchodzące”? Żeby powtórzyć rok 1914 albo rok 1939? Czy może po to, by urzeczywistnić utopię, np. „harmonijne współżycie burżuazji i proletariatu”, które Vermeil — za Maxem Weberem — uważa za ideał społeczny cywilizacji przemysłowej?

Cywilizacja przemysłowa ma dokładnie takie ideały, jakie urzeczywistnia: masa bez godności i bez trosk, administrowana przez techników, dla

2) Hermann Rauschning, *L'Allemagne entre l'Ouest et l'Est, La Révolution Européenne*, Julliard, Paryż 1952.

3) Alfred Grosser, *L'Allemagne de l'Occident 1945-1952*, Préface d'Edmond Vermeil, Gallimard (Paryż, 1953).

których ludzkość jest samowystarczalną maszyną. Rok 1945, to był Armageddon cywilizacji, w której zbyt wiele było przypadku, nieobliczalności, niespodzianek. Amatorom dreszczyków i spekulacji pozostała już tylko sucha kość „zimnej wojny”: gdy wywąchają, że jest z kauczuku i domyślają się, jak jest fabrykowana — kultura straci ostatnie zaczepienie w rzeczywistości. Psycho-technika już wyparła psychologię, dialektyka — metafizykę. Maszyny cybernetyczne do administrowania światem już są w przygotowaniu.

Nie zapominajmy, że cywilizację techniczną buduje dopiero czwarte pokolenie i dla tego nie żądajmy zbyt wiele.

Hans Frank⁴⁾ należy do owego drobnomieszczaństwa niemieckiego, które burżuazja przemysłowa sproletaryzowała w okresie inflacji, zdemoralizowała i wpędziła w rozpacz. Frank otrzymał wykształcenie prawnicze, a gdy Piefke ma fach, utożsamia się z nim. Próbuje więc Frank występować wobec Hitlera jako obrońca prawa, a w szczególności prawa rzymskiego. Ale daje się ofuknąć bez żalu, choć gryzie go, że Führer nie szanuje jego idiosynkrazji zawodowej. Bo Hitler, to jest co prawda „wysłanik piekieł” (eksterminacja Żydów jest niewybaczalna), ale równocześnie był on namaszczonego wodzem narodu i byłby nim pozostał, gdyby umiał w r. 1937.

Wszystkie elementy niemieckiej „Bildung” (ale i „Un-bildung”) kotłują się we Franku jak graty z rozbitego przez powódź domu. Vermeil wylicza pracowicie „źródła duchowe hitlerizmu” i dopatruje się ich nawet w Średniowieczu Konradina. W duszy Franka rzeka kultury niemieckiej rozplynęła się na powrót w swe źródła, które tu giną w brudnym mule przyfabrycznym.

Frank ludzi się, gdy sądzi, że Niemcy mogły wytrwać u szczytu, na jaki wprowadził je Hitler w r. 1937. Trudno mieć o to pretensję do niego, bo nawet historycy nie wypracowali jeszcze metod badania dziejów ostatnich stu lat jako historii jednej jedynej rewolucji — rewolucji przemysłowej. W siedem lat później przerazi go morda ponurego milczka Bormanna, czuwającego we wschodniopruskim bunkrze nad dogorywającym zezwiokiem Hitlera. Po paradnym pogrzebie Hitlera w r. 1937, ta lub inna morda byłaby przywitała Franka w zimnej hali nowej Reichskanzlei i przemysł niemiecki byłby tak samo szukał njeścia w zbrojeniach, jak je znajdował, gdy Hitler usiłował nadać kierunek niemieckiej rewolucji przemysłowej.

Czym dla Napoleona były piramidy, czym dla Hitlera grobowiec pod kopułą Inwalidów, tym dla Hansa Franka był Wawel. „Nie łatwo być w Polsce królem” powie mu dr Cybichowski przed grobowcem Jagiellończyka. Notując te słowa, Frank odsłoni zarazem swą megalomanię i swój kompleks niższości. Bo Wawel uświadomił Frankowi, że nie był w Krakowie na swoim miejscu. W Norymberdze zrozumie, że miejsce to jest na szubienicy i będzie mu się wydawało, że godząc się ze swoim losem, dokonywał aktu bohaterskiej pokory. Włożył głowę w pętlę z błogim uczuciem, że wchodzi w Królestwo Niebieskie, a równocześnie wznosi sobie pomnik ze spiżu.

(J.U.)

4) Hans Frank, *Im Angesicht des Galgens*, F.A. Beck Verlag, München-Gräfeling, 1953.

Totalitarna demokracja

„Myślę więc, że ten rodzaj ucisku, który zagraża narodom demokratycznym, w niczym nie będzie przypominał tego, co poprzednio było na świecie; nasi współcześni nie będą umieli znaleźć obrazu tego ucisku w swoich wspomnieniach. Sam na próżno szukam określenia, które by oddało dokładnie, co o tym myślę. Zjawisko jest nowe; trzeba się więc starać je zdefiniować, ponieważ nie mogę go po prostu wymienić”.

ALEXIS DE TOCQUEVILLE

Marksizm znajduje się przed trudnością nie do pokonania, gdy staje przed nim zadanie wytłumaczenia własnych sukcesów. Według marksizmu o wierzeniach religijnych, o poglądach filozoficznych, obyczajach, literaturze i sztuce, o strukturze społecznej — o całej „nadbudowie” — decydują stosunki produkcji. Dalej twierdzi on, że rozwój kapitalizmu nieuchronnie prowadzi do rewolucji komunistycznej. Jeśli więc wyciągnie się wnioski z tej doktryny, to należy oczekiwać, że partie komunistyczne, ściślej marksistowskie, winne być najsilniejsze i rewolucja marksistowska powinna nastąpić najpierw w tych krajach, w których rozwój kapitalizmu jest najdalej posunięty. Zgodnie z tymi założeniami Marks, przebywając w ostatnich latach swego życia w Londynie, oczekiwał w Anglii szybkiego wybuchu rewolucji. Nic takiego nie nastąpiło, a ruch robotniczy angielski oparł się na niemarksistowskich założeniach. Podobnie stało się w Ameryce. W czasach obecnych, po blisko 70 latach od śmierci Marksa, sytuacja się nie zmieniła: wpływ tej doktryny i partii marksistowskich jest ciągle niewielki w obu tych krajach o najbardziej rozwiniętym kapitalizmie, zwłaszcza jeśli je porównamy dla przykładu z Francją czy Włochami. A przecież kapitalizm jest znacznie mniej rozwinięty we Francji czy we Włoszech! A jak tu według doktryny marksizmu wytłumaczyć wpływ jego w Hiszpanii przed wojną domową? Marksizm nie może również wyjaśnić dlaczego ma większy wpływ na koła intelektualne jak np. w Anglii a nie na robotników. Przecież według tej doktryny powinno być odwrotnie.

Te wstępne uwagi prowadzą do tezy, że o treści i charakterze życia politycznego decydują procesy świadomości i wpływ idei. W pewnych dość ściśle dających się określić warunkach ideowych i umysłowych, a nie na skutek takiego czy innego rozwoju gospodarczego, doktryna marksistowska, a w konsekwencji ruch polityczny marksistowski, uzyskują wpływ na społeczeństwo. Jądro zagadnienia leży w świecie idei i myśli. Stosunki gospodarcze odgrywają rolę wtórną, jak wykazują podane przykłady, wcale nie najważniejszą. (Stąd też błędna jest popu-

larna na Zachodzie teza o możliwości powstrzymania komunizmu przez podniesienie dobrobytu).

Kilka miesięcy temu ukazała się doskonała, choć trudna w czytaniu praca J.L. Talmona, prof. Uniwersytetu Hebrajskiego w Jerozolimie, pt. „Źródła totalitarnej demokracji”. Książka odbiła się dużym echem na Zachodzie, ale dotąd raczej tylko w recenzjach, a nie wywarła głębszego wpływu. W prasie polskiej przeszła, jak mi się wydaje, nie zauważona. Zasługuje w pełni na to, by ją obszernie omówić.

Tytuł książki może wywołać zdziwienie. Zwykliśmy przeciwstawiać demokrację totalitaryzmowi. Tymczasem Talmond łączy te dwa określenia, pisząc stale o totalitarnej demokracji w przeciwstawieniu do demokracji liberalnej. Będąc dyktatorem, opartą na entuzjzmie mas, jest demokracja totalitarna czymś nowym i różnym od znanego od wieków zjawiska króla lub tyrana, mającego absolutną władzę. Sądzi się potocznie, że totalitaryzm jest zjawiskiem świeżej daty, obcym tradycji politycznej europejskiej. Talmond zwalcza z dużym powodzeniem tę tezę. Dowodzi on, że demokracja totalitarna nie jest wcale czymś nowym i jest częścią tradycji politycznej Europy, bo źródła jej leżą w filozofii 18 wieku, a od czasów Wielkiej Rewolucji Francuskiej istnieje jako samodzielny prąd, o nieprzerwanej ciągłości. Marksizm choć najbardziej żywotny z totalitarno-demokratycznych idei jest tylko jednym z jej przejawów, które następowały jeden po drugim w ciągu ostatnich 150 lat.

W wieku 18 pogląd na świat uległ zasadniczej zmianie, zmiana rewolucyjnej — ludzie ówczesni doszli do wniosku, że warunki, w których świat żył od wieków, warunki stworzone przez wiarę, zwyczaj i tradycję, są nienaturalne i sprzeczne z rozumem, i muszą być zastąpione przez zaplanowane formy życia, które z istoty swej będą racjonalne, więc naturalne. Uwierzono, że historia jest ciągłym postępem w kierunku ostatecznego rozwiązania, które da odpowiedź na wszelkie dręczące ludzkość problemy — społeczeństwo dojdzie do szczytu i do końca swego rozwoju. Temu przekonaniu towarzyszyło głębokie przeświadczenie, że człowiek nieodparcie pchany jest do tego ostatecznego szczytowego punktu i że prędzej czy później musi do niego dojść.

Ta historyczna przemiana w poglądach ludzkich była skutkiem działania szeregu zasadniczych przyczyn. Religia w owym czasie straciła swój intelektualny i uczuciowy wpływ, który posiadała przez wieki; hierarchiczne instytucje feudalizmu uległy rozkładowi pod naciskiem czynników ekonomicznych i społecznych; pogląd na społeczeństwo jako oparte na stanach, zastąpiony został przez ideę jednostki — Człowieka, ujmowanego niezależnie od wszelkich powiązań i grup społecznych, Człowieka in abstracto.

„...w epoce, w której wpływ tego postępu na opinie, opinii na narody lub ich przywódców, przestając być w jednej chwili powolnym i trudnym do spostrzeżenia, spowodował w masach

szeregu narodów rewolucję, wskazuje w ten sposób, że taka sama rewolucja musi objąć cały rodzaj ludzki. Po wielu pomyłkach, po błędzeniu na manowcach mglistych lub niepełnych teorii, publicyści doszli wreszcie do poznania prawdziwych praw człowieka, do wyprowadzenia ich z tej jednej podstawowej prawdy, że jest on istotą rozumną, zdolną do formułowania sądów i nabywania idei moralnych" — pisze Condorcet, charakteryzując trafnie, choć niecałkowicie, istotę przemian, które nastąpiły.

Totalitarnej demokracji przeciwstawiona jest demokracja liberalna, uważająca politykę za dział praktycznego działania, w którym decyduje doświadczenie i tradycja. Systemy polityczne są według niej praktycznymi rezultatami ludzkiej pomysłowości i spontaniczności; co więcej, demokracja liberalna uznaje, że istnieją działy indywidualnego i zbiorowego działania, które leżą poza obrębem polityki. Demokracja totalitarna nie zajmuje oczywiście tego stanowiska i nie uznaje, aby były dziedziny życia, leżące poza obrębem politycznego wartościowania. Państwo mogło kiedyś uważać: „oddajcie co jest cesarskiego Cesarzowi, a co Boskiego Bogu". Teraz użyteczność społeczna jest jedyną miarą wartości, a naród, pojęty jako zespół wszystkich czynnych w przeprowadzeniu rewolucji, jest jedyną formą, w której jednostka winna działać.

Oba prądy wysuwają wolność jako wartość najwyższą, ale rozumieją wolność w zupełnie odmienny sposób. Demokracja liberalna za istotę wolności uważa spontaniczność i brak przymusu. Cele ostateczne pojęte są raczej negatywnie; uważa ona, że społeczeństwo na drodze doświadczenia może kiedyś osiągnąć stan idealnej harmonii. Demokracja totalitarna sądzi, że do wolności można dojść jedynie przez zrealizowanie określonych form zbiorowego życia, zapewniających absolutną równość. Cnotą jest przystosowanie swego życia do tych form. Cnota i wolność są identycznościami. W procesie dziejowym totalitarna demokracja skryształizowała się w doktrynę wybranych, którzy w imię zrealizowania ostatecznego szczęścia ludzkości na ziemi, uznali za słuszne i sprawiedliwe stosowanie przymusu wobec tych, którzy w ich rozumieniu nie chcą być cnotliwi, a więc wolni. Demokracja liberalna cofnęła się przed tego rodzaju konsekwencjami.

Przełom poglądów w 18 wieku miał impuls etyczny i polityczny; w dziedzinie ekonomii i własności niezależnie od najbardziej radykalnych teoretycznych wniosków czołowi myśliciele wstrzymywali się od radykalnych postulatów praktycznych. Stąd popularność od fizjokratów wziętej tezy, że wolna działalność człowieka w dziedzinie gospodarczej, automatycznie doprowadzi do harmonii społecznej. Ale nim wiek 18 dobiegł końca, wewnętrzna logika tej doktryny i wypadki historyczne doprowadziły do zasadniczej przemiany: porządek naturalny, owo ostateczne rozwiązanie, zaczął oznaczać nie tylko rewolucję polityczną i moralną, lecz przede wszystkim społeczną. W tym

miejsu rozchodzą się ostatecznie drogi demokracji liberalnej i totalitarnej.

Autor nazywa często demokrację totalitarną mesjanizmem politycznym, bo teza o nieuniknionym nadejściu ostatecznego porządku na ziemi, porządku oznaczającego rozwiązanie wszelkich problemów i udręk człowieka ma charakter mesjaniczny. Podkreśla jednak Talmond zasadniczą różnicę, która dzieli ten mesjanizm od mesjanizmu Platona, Tomasza Morusa czy Campanelli. Ich mesjanizm miał charakter religijny — cofał się na ogół, choć z wyjątkami jak kalwińska Genewa czy Muenster anabaptystów, przed użyciem siły, bo uważał, że ludzie są omylni i że życie na ziemi ma swoje dalsze przedłużenie po śmierci. Mesjanizm polityczny od 18 wieku sądzi, że wszystko winno i może być osiągnięte tu na ziemi i to w niedługim czasie.

Autor rozróżnia totalitaryzm lewicy i totalitaryzm prawicy, choć praktyczne rezultaty obu tych odłamów uważa za omal identyczne. Totalitaryzm lewicy ma za punkt wyjścia człowieka i jego rozum, a nawet, stawiając klasę czy partię jako cel absolutny, nie traci swego indywidualistycznego i racjonalistycznego charakteru, bo partia czy klasa jest jedynie mechanicznym zgrupowaniem jednostek. Stąd też totalitarne ideologie lewicy mają charakter uniwersalny, zwracając się do ludzi bez różnicy narodowości czy rasy. Totalitaryzm prawicy wychodzi ze zbiorowej jedności — państwa, narodu czy rasy; stąd też cel jego jest zawsze ściśle ograniczony do pewnej grupy i nie pretenduje on do uniwersalizmu. (Faszyzm nie jest artykułem na eksport — mówił Mussolini).

Drugą cechą rozróżniającą oba te odłamy jest odmienne podejście do człowieka: totalitaryzm lewicy uważa naturę ludzką za dobrą w swej istocie i zdolną do osiągnięcia doskonałości; totalitaryzm prawicy uważa człowieka za słabego i zepsutego. Dlatego też autor czuje się usprawiedliwiony w przyznaniu totalitaryzmowi lewicy charakteru demokratycznego, a natomiast nie daje tego określenia totalitaryzmowi prawicy.

Pierwsze rozróżnienie uważam za słuszne; sądzę jednak, że nie ma różnicy w poglądzie na naturę ludzką obu odłamów — Hitler nie wątpił, że natura aryjczyka jest najlepsza i zdolna do stania się doskonałą. Dlatego też jeśli dodawać przymiotnik demokratyczny, to dodawać do obu odłamów. Ale czy dodawać? Czy w ten sposób nie rzucamy plamy na demokrację i nie doprowadzamy do pomieszania pojęć? Przymiotnik ten razić będzie na pewno wielu i mnie samego początkowo raził. Podkreśla on jednak ścisłą łączność doktryn totalitarnych z ideologią demokratyczną, wobec której są one odwrotną stroną medalu. Odcina on totalitaryzm od dawnego absolutyzmu, z którym błędnie się go łączy i wskazuje na jego zasadniczą cechę charakterystyczną, na opieranie się na masach, a przynajmniej na rozentuzjasmowanej elicie — partii czy klasie.

W obronie fikcji

Zbiór opowiadań p. Danilewiczowej *) bynajmniej nie przypadkowo pojawił się na półkach księgarskich i bibliotecznych. Autorka — długoletnia bibliotekarka, żyta z czytelnikiem emigracyjnym jak mało kto — pisząc swą książkę podjęła coś w rodzaju zamówienia społecznego. Wiedziała jakie książki emigracyjny czytelnik odrzuca, jakich mu brak i na łamach czasopism i w rozmowach prywatnych przyznaje się, że napisała taką właśnie książkę, o jaką od dawna dopominali się czytelnicy jej biblioteki.

Książkę tę krytyka emigracyjna przyjęła bardzo serdecznie — ludzie po prostu cieszą się, że napisano taki „dobry, autentyczny zbiór opowiadań”, przenoszący nas w niedaleką przeszłość. „Jak to dobrze” — westchnął jeden z recenzentów — „że to nie jeszcze jedna książka o okropnościach wojny”.

W jedynej wydanej w kraju książce, o której mogę powiedzieć, że jest naprawdę uroczą — w „Córeczce” Żukrowskiego — czytamy następujące słowa, wygłoszone do pisarza: „Napisz pan coś zwyczajnego, ludzkiego: jak ptak śpiewa, jak się dzieci chowają, jak się baba cieszy, że mężowi jedzenie smakuje po robocie. Albo jak się piele w ogródku. Teraz maj, ziemia jak pachnie... Ziele pachnie... a ludzie dożywają swego życia... Taką książkę każdy, stary, czy młody przeczyta i pochwali”.

Więc zamówienie społeczne takie same. Zamówienie społeczne ludzi zmęczonych tym wszystkim, co się nad nimi przevaliło i jeszcze przewala. Czytelnik pragnie książki „ludzkiej, zwyczajnej” o tym, jak ptak śpiewa, jak się dzieci chowa, a ludzie dożywają swego życia.

Czytelnikowi książka ma przynieść chwilę ulgi i wypoczynku — i takie staje się zadanie literatury pięknej.

W numerze trzecim „Nowej Książki” zwierza się p. Maria Danilewiczowa czytelnikom. Otóż jeden z jej rozmówców miał do niej szczery i głęboki żal o fałszerstwo, gdy dowiedział się, że — o zgrozo — pisała w pierwszej osobie wspomnienia o osobie fikcyjnej, o „Jantolkowej”, która jest postacią syntetyczną, zlepkiem wspomnień autorki o „babokach” kujawskich. Nie obchodziło go to, że prawda fikcji literackiej jest silniejsza i głębsza niż prawda wspomnieniowego reportażu i że fikcyjna Jantolkowa żyje własnym, bardzo mocnym życiem, na pewno lepiej streszczając w sobie typ kujawskiej babiny, niż inne, może dokładniej z rzeczywistości kopiowane postacie. Inny czytelnik odetchnął z ulgą, gdy stwierdził, że autorka naprawdę pochodzi

*) Maria Danilewiczowa, *Blisko i daleko* (opowiadania), Londyn, 1953. Nakładem Katolickiego Ośrodka Wydawniczego „Veritas”.

z Aleksandrowa, że mają wspólnych znajomych, „że mu to wszystko pasuje” i że „nie ma w tym budy”.

„Wszystko sprowadza się do jednego” — konkluduje p. Danilewiczowa — „do głodu autentyzmu, prawdy o przeszłości, prawdy o teraźniejszości, strachu przed zawodem, przed wprowadzeniem w błąd...”

A więc dla czytelnika dzisiejszego przestaje być ważna prawda fikcji, świat wyobraźni pisarskiej, autonomiczne życie utworu? Warto zamyślić się i zastanowić chwilę nad tymi postulatami... Warto zastanowić się, choćby dlatego, że urzędowi krytycy literaccy zza żelaznej kurtyny omawiając wartość dzieła literackiego badają starannie kryteria „wierności odtworzenia” obok „kryteriów polityczno-społecznych dzieła” i usuwają na dużo dalszy plan tzw. „kryteria natury estetycznej”.

Książka p. Marii Danilewiczowej ma dużo prawdy wewnętrznej. Ludzie, którzy przesuwają się przed naszymi oczami naprawdę żyją — czy to będzie Jantolkowa, czy Grochot, czy miłośniczka starych kołód panna Domańska, czy kapitalny wprost wuj-filolog, Ludwik. Każdą z tych postaci można spotkać w życiu, dziś czy jutro — i w rozmowie z nią — tak jak na kartach książki — podpatrzeć jakąś własną, niby małą, a naprawdę dużą prawdę każdej z nich.

Najlepsze wydają mi się w książce Danilewiczowej opowiadania tematycznie związane z Kujawami. Są plastyczne i wyraziste — wyraziście występuje w nich krajobraz kujawski, w którym georginie i astry oznaczają kres lata, a zimę zwiastuje srebrna szadź na okaleczonych kikutach słoneczników.

Prawie równocześnie pojawiła się na półkach bibliotecznych książka napisana w kraju, której akcja rozgrywa się również na tle Kujaw, we Włocławku. Mam na myśli „Pamiętkę z Celulozy” Igora Newerlego *) — powieść, nad którą nie sposób przejść do porządku dziennego bez względu na to, czy wyznaczy się jej — jak to robi krytyka krajowa — miejsce obok „Lalki” i „Przedwiośnia”, wśród największych powieści polskich, czy tylko uzna się ją za bardzo dobrą książkę o dużym zacięciu epickim, szczerzej pasji, przebijającej z każdej strony i — co niezwykle w schematycznej i dość nieciekawej literaturze socrealistycznej — naprawdę tętniącej szczerą miłością człowieka.

Nie jest moim zamiarem porównywanie zbioru opowiadań Marii Danilewiczowej z powieścią Newerlego. Zestawienie to nasunęło mi się jednak, gdy czytałam o „głodzie autentyzmu”, prawdy o przeszłości, o strachu przed wprowadzeniem w błąd”. Powiedziały już, że wizja Kujaw w opowiadaniach p. Danilewiczowej robi wrażenie czegoś bardzo prawdziwego. Wizja ta jest raczej pogodna — rozsloneczniona jakimś wewnętrznym uśmie-

*) Igor Newerly. *Pamiętka z celulozy*. Warszawa, „Czytelnik”, 1952, str. 518.

chem autorki, spokojna i bardzo jasna. To wizja jakiegoś wielkiego szczęścia, które minęło, świata, w którym każda rzecz jest ważna, w której poczesne miejsce zajmuje choćby gąska — młoda, smakowita, prosto z koszyka Sobczakowej, pieczona z majerankiem i winkowatymi jabłkami w oliwkowych skórkach, czy też idealna poduszka, wypchana pierzem z tych młodych gęsi z jeziora Służewskiego. Ludzie żyją sobie spokojnie od odpustu do jarmarku i choć chłopci biedują na piaskowych górkach nad Wisłą, a dzieciaki od maleńkości przyucza się do pracy, nikt się temu zbytnio nie dziwi — widać od lat każdy wie, że do Popielca jakoś tam idzie, a post już w jedno się łączy z przednówkiem. Za to w Boże Ciało małorolny Grochot niesie w procesji chorągiew ze Świętym Florianem i maluje ich sam pan Noakowski.

A wizja wsi kujawskiej w powieści Newerlego? Czyżby tylko talent autora sprawił, że „warstwa przedmiotów przedstawionych” — by użyć terminologii prof. R. Ingardena — tak bardzo wydaje się autentyczna? Czyżby tylko prawda fikcji literackiej narzucała nam mocną wizję wsi, gdzie żywi, w strasznym ścisisku duszą się w małej dolince, chata nad chatką, obora przy oborze, „kupa beznadziejna i zbita — bedłki jakieś, czy opieńki”. W tej wsi „dziadostwo” z zamożniejszym chłopem ma tyleż cmentarz wspólny, a biedakowi nawet w lesie wolno zbierać tylko mech i posusz; w tej wsi bieda jest straszną hańbą; w tej wsi nic się nie dzieje: „woda stojąca, rzęsa pokryta; kaczenie kiwają się sennie, ropuchy rechoczą i nic, tylko głód”, chyba, że się jarzyn ukradnie ciemniejszą nocą z ogrodów — jeśli się nie ma kurzej ślepoty, wywołanej straszną, przewlekłą awitaminizacją. W mieście Włocławku fabryka „Celuloza”, spryskana blaskiem wschodzącego słońca, drżąca w odbiciu wiślanym, wydaje się piękną, zwinną i upragnioną złudą. Na jej podwórzu leżą wynędzniali ludzie ze wsi i miasta, bezrobotni czekając aż ich wynajmą do pchania wózków lub strugania obalków na placu. „Żywot słoneczny — mówi autor — ze słońkiem nadzieja na pracę się budzi i ze słońkiem gaśnie”. W pamięć czytelnika wbijają się „arki” na przedmieściu — jamy długości trzech metrów, w których mieszkają bezdomni, „Zabi skrzek” zatruwający okolicę wyziewami, brudne, rachityczne dzieci. Chłop kujawski, ojciec bohatera książki, który, zagnany nędzą, przywędrował do miasta, nie nadawałby się na modela dla pana Noakowskiego: „skóra i kości; szyja cieniutka, ręce dziecięce, do łokci tylko ciesielskie, żyłaste; łysy i drobny — niemowlętko z wąsami, można powiedzieć, tak bardzo wyschnięty”.

Która z dwóch prawd jest prawdą o przeszłości?

„Dobrze tym, którzy dzisiaj nie dożyli” — mówi na zakończenie swej książki pani Danilewiczowa. Tam, wtedy, jakże inaczej było. Nieszczęścia, smutki, katastrofy związane są w jej wspomnieniach z wojną, z wielką klęską żywiołową ludzkości. Z pierwszą wojną światową, gdy na cmentarz kujawskiego miasteczka wynoszono z gruźliczych domów liczne trumienki, gdy nad-

ciągały liczne „epidemie, choróbska ordynarne... tyfus plamisty, dezenteria, świerzb...” Z drugą wojną światową, rozpoczętą bombami niemieckimi, które spadły na pogodnie i spokojne targowisko, gdzie dzielny koń Szpak przyciągnął „kolorowy ładunek buraków, marchwi, pomidorów”. Wtedy zaczęto wywozić ludzi w niepowrotne nieznane, wtedy mały Staszek zmarł na tyfus pod okupacją sowiecką, a inne dzieci „na złych manowach poznawały przedwcześnie twarde prawdy życia”. Dzieci Piotra i innych Polaków wyrwanych z kraju były wówczas „wychudłe, obdarte, o twarzach smutnych, nad wiek doświadczonych”. Znały głód, nędzę i niewolę, były „strasliwie pokrzywdzonymi stworzeniami”. To przyniosła bezbronnym wojna.

Jest w książce Newerlego, obrazującej spokojne, przedwojenne czasy, jeden obraz, od którego ostrej wizji długo nie mogłam się uwolnić. To obraz „jaszczurek” na Grzywnie. Trudno zorientować się nawet — dzieci, czy zwierzęta o rozdętych głowach, „przebierające uparcie kruchymi pałkami raczyn, pełzną wlokąc na kształt ogona nogi miękkawe, bezwładne, nogi, które są tylko zawadą, brudzą piasek ciągnioną z tyłu koleiną”. „Cóż ja na to poradzę — mówi Szczęsny, bohater powieści — taka plaga u nas, na Grzywnie: paraliż dziecięcy. Zbijają się do kupy i same jakoś sobie radzą...” Dzieciaki, potworki nędznego przedmieścia radzą sobie rzeczywistość: „grzane przez słońce, nie bite, nie ruszane, skamieniałe w szczęśliwości płazowej... jaszczurki”.

Gdzież więc jest ten autentyzm, o który tak się doprasza dzisiejszy czytelnik, gdzie jest ta prawda o przeszłości? W jednej, czy w drugiej książce? W opowiadaniach o pogodnych Kujawach przeszłości, czy w powieści, która tę przeszłość na tychże Kujawach przedstawia w najczarniejszych i najsmutniejszych barwach?

Myślę, że autentyczna jest i jedna, i druga książka. W mieście, w którym spędziłam dzieciństwo i w tym drugim, gdzie dorastałam, było również takie, jak w książce Newerlego, „Wesołe miasteczko”. Ale wewnątrz tego „Wesołego miasteczka” było dla mnie, dla moich siostr, koleżanek, — nieznane i egzotyczne niby wewnątrz australijskiego buszu. Obok paraliżu dziecięcego i nędzy „Wesołego miasteczka” płynęło moje jasne, słoneczne dzieciństwo na Antokolskiej, czy Ostroroga — i trzeba było wojny, rozbicia domu rodzinnego, utraty bliskich, by wszystko na świecie przewróciło się do góry nogami. Dopiero nocując na Wolskiej, Wroniej, czy w ciasnocie Targówka można było poznać jak część ludności żyje i jak żyła przed wojną. Nie mówmy więc za dużo o autentyzmie. Każdy „autentyczny” obraz to tylko *parva pars pro toto* i dopiero dopełniony przez kontrast może dać syntezę, zbliżoną do prawdy rzeczy. Ale nie w tym sprawa. I nie to jest, nie to powinno być najważniejsze dla wrażliwego czytelnika. Ważna jest wewnętrzna prawda książki — przekonująca prawda fikcji i prawda o człowieku prawdziwym, a jednocześnie niepowtarzalnym — obojętnie, czy będzie nim pokrzywiony i wyschnięty na szczapę zdun z „Pamiętki z Celulozy”, czy smakosz życia i folkloru — wuj-filolog pani Dani-

lewiczowej, czy — właśnie fikcyjna — a najbardziej prawdziwa Jantolkowa. To tylko może zbliżyć i stać się wspólnym problemem dla dwóch tak różnych książek. Książek, które tylko to chyba łączy, że gdziekolwiek się bohater opowiadania z „Blisko i daleko” znajdzie — „zaraz ustala jak najdokładniej kierunek imaginacyjnej linii, łączącej chwilowy przystanek z czymś trwałym”, z rodzinnym miejscem w ojczyźnie. Szczęsny Newerlego wie, „że gdyby go nagle zrzucono z bezmiernej wysokości, poznałby rzekę rodzinną po zapachu, bo tak tylko Wisła pachnie! Poznałby po jednostajnie niskim dźwięku, jakim powietrze pulsuje na dalekich kujawskich roztoczach, jakby coś — półczłowiek, półzwierzę — cierpiało, kochało bardzo ludzko mając na to wciąż tę jedną biedną nutę: hu-hu — hu...”



Jeszcze jeden aspekt książki p. Danilewiczowej nasuwa ciekawe refleksje. Niewiele jest książek polskich w dwudziestym stuleciu, które z całą życzliwą ciekawością opisują życie mieszczaństwa i to prowincjonalnego. Pisarze tzw. „dwudziestolecia” kontynuując w tym tradycję Młodej Polski wykazywali tylko jałowość, beznadziejność, pruderię i zakłamanie środowisk mieszczańskich i drobnomieszczańskich. „Straszny mieszczanin” stał się niemal symbolem środowiska w którym wśród zakurzonych filusów i pluszowych kanap paczy się i rozkłada osobowość ludzka. Od czasów nieśmiertelnej Dulskiej i Tułki-Zapolskiej aż do powieści Uniłowskiego atmosfera mieszczańskiego domu stanowi w literaturze polskiej idealną pożywkę, na której hodują się bakcyle kompleksów, urazów i chorób psychicznych zgorzkniałych i nieciekawych ludzi.

Atmosfera domów mieszczańskich w książce Danilewiczowej jest diametralnie inna.

W opowiadaniach swoich Danilewiczowa kreśli nam wyraźnie postaci ludzi pozytywnych, z których każdy zajmuje tę czy inną — dużą czy też małą — placówkę i na niej w miarę sił i możliwości pracuje. Opowiadania Danilewiczowej to książka, która z sympatią opisuje ludzi spokojnych, zacnych i przyzwyczajonych. Serdeczne przyjęcie książki przez czytelników nasuwa i pod tym względem sporo refleksji. Nie wszyscy już bowiem ufają przeciętnemu, zewnętrznemu człowiekowi, który wobec straszliwych kataklizmów, jakie miały i mają światem, stoi zbyt bezradny i bezbronny. „Nie chcę znać zacnych ludzi” — potrafi powiedzieć bohater ostatniej książki Janusza Jasieńczyka — „Przyzwoci ludzie nie zwalczą komunizmu, nie wyrwą jego korzeni... Na to, psiakrew, trzeba pasji, trzeba odwagi, trzeba wielkiej wzdury dla wszelkiego wyzysku, trzeba wielkiej miłości tego bliźniego, który właśnie nie jest przyzwyczajonym człowiekiem”. Ciekawe byłoby prześledzić liczne postaci nowoczesnych Judyńców, którym kataklizm dziejowy narzucił inne cele, niż spokojne życie w gronie przyzwyczajonych ludzi, postaci, błakające się

na kartach książek — pisanych obecnie, polskich, a także nie polskich...

Pod względem faktury pisarskiej książka Danilewiczowej nie nawiązuje do literatury dwudziestolecia. Zbliży się raczej do polskich realistów z okresu pozytywizmu. Ani śladu deformacji w jej opowiadaniach, jest natomiast umiejętne operowanie szczegółem, który często — jako artystyczne *pars pro toto* wybija się na plan pierwszy w obrazie. W tej prozie nie ma metafor poetyckich, a mimo to świat przedstawiony silnie narzuca się czytelnikowi dzięki niemałemu kunsztowi plastycznego przedstawienia ludzi i rzeczy, głównie od strony wrażeń wzrokowych.

Proza Danilewiczowej to proza wysokiej klasy — spokojna, potoczna o doskonale skonstruowanych zdaniach i dobrych rytmicznych okresach. Na tle niepokalanej literatury polszczyzny autorki świetnie wychodzą fragmenty gwarowe z pochylonymi samogłoskami i nasalizowanym „y” i „u”, gdzie mamy „pi-niundze” i „gałunzki” i „świat” i „cuś” i „cztyrdzieści”. Rozkoszować się można taką prozą. Podkreśla ona wewnętrzną prawdę opowiadań, wydobywa dobry materiał literacki książki.

Zbiór opowiadań Marii Danilewiczowej stanowi najmocniejszą dotychczas pozycję „Biblioteki Polskiej”. Wydawnictwo to nie ma raczej szczęścia do starszych, rutynowanych pisarzy, dało natomiast dobry debiut. Jego siła polega nie na „autentyzmie” — przed którym chce bronić autorkę nawet wbrew jej samej. „Blisko i daleko” to czyn artystyczny, to nie reportaż, lecz dzieło fikcji, sięgającej w głąb rzeczywistości środkami sztuki.

Książka wydana jest starannie. Szkoda tylko, że jej obwoluta nie przynosi nic interesującego ani w kolorze, ani w rysunku. Niestety, poza paroma pracami Zygmunta Turkiewicza nie widziałam ani jednej ciekawej okładki emigracyjnej książki.

Olga ŻEROMSKA

Pograżeni w przeszłości

Trudno, trudno pisać o poezji. Jeśli piękna, prawimy komplementy, zachwycamy się urodą, w uniesieniu a bez zastanowienia sypimy superlatywami, jak przy wyznaniach miłosnych. Jeśli brzydka — cierpką, dyskretnie milczymy. Mówienie o niej w tonie rzeczowym drażni i budzi niesmak. Z poczuciem winy więc, ze świadomością wykroczenia przeciw dobremu manierom, przystępuję do skreślenia paru prozaicznych słów o poezji Bałłuckiego, Lechonia, Łobodowskiego i Wierzyńskiego. Nie będzie to krytyką literacką, chciałbym tylko postawić dwa pyta-

nia, jakie nasunęła mi lektura antologii Dr St. Lema^{*)}. Ograniczając się do poezji powstałej na emigracji, muszę niestety pominąć tutaj Józefa Wittlina, który w antologii przedstawił głównie wiersze przedwojenne.

Największa będzie bieda z tym „rzeczowym tonem”. Jak go dobrać na przykład do utworów Stanisława Balińskiego? Najchętniej stanąłbym przed jego Poezją, z galanterią ucałował końce paluszków i powiedział: „Piękna Pani! Już tyle wieczorów pozwoliłaś mi spędzić przy Tobie, dotąd w milczeniu wpatrywałem się w Twą anielską urodę, czy nie nadużyję Twojej dobroci, jeśli zadam dziś kilka pytań? Czemu to, ile razy odwiedzam Cię w tym salonie, umykasz w ramki staroświeckiej miniaturki i stamtąd, z daleka, z oddawna spoglądasz na mnie i na mój świat? Czemu przyjmujesz mnie w sukni Twojej prababki, czemu wbrew tegorocznej modzie przewiązujesz loki różową wstążką i rozpuszczasz na łabędzią szyję? Czemu na pytanie „Gdzie jesteś?” odpowiedziałas melancholijnie „W Krzemieńcu”, na pytanie „Kiedy?” odrzekłaś „Temu lata”? Dlaczego, kiedy przyprowadziłem ze sobą panów Sartre’a i Koestlera, kazałaś powiedzieć pannie służącej, że cierpisz na migrenę? Czemu, Piękna Pani, udawałaś, że nie wiesz, co to znaczy „dipis”, i dopiero kiedy powiedziałem „wýgnaniec”, ocknęłaś się, przypominając sobie, że to „słowo istniało w powieściach, w historii, w sztambuchu”? Jeśli zadaję pytania nazbyt niedyskretne, wierz mi, że podyktowała je nie pusta ciekawość lecz przyjaźń, i zaklinam, nie zapominaj, że jestem Twoim od lat wiernym adoratorem. I gdybyś nie miała ochoty odpowiadać, nie wezmę Ci tego za złe, obiecuję, że do tych pytań nigdy nie powrócę, poproszę tylko, byś siadła przy klawieczynie i jeszcze raz zaśpiewała barkarolę „o różach budzących się w krynolinach z luty”.

Podobne deklaracje, acz każdą w odmiennym stylu, złożył Jan Lechonia, Bylinie Józefa Łobodowskiego, Muzie Kazimierza Wierzyńskiego. Mówiąc nieszczerym tonem rzeczowym, uważam, że każdy z nich posiada swą wyraźnie zarysowaną indywidualność, ale wszyscy czterej zapatrzeni są w przeszłość. Więcej: patrząc w przeszłość, patrzą oczyma przeszłości. I więcej: spoglądając na wypadki bieżące, patrzą na nie również oczyma przeszłości. Więcej jeszcze: to zanurzenie się w przeszłości jest jeśli nie całkowicie, to w dużej mierze świadome.

Najpiękniejsze wiersze Stanisława Balińskiego poświęcone są cieniem świata minionego. Poeta ma tyle taktu i delikatności, że nie budzi ich ze snu, nie wywołuje z królestwa Hadesu, lecz sam przeprawia się przez Styks. „Pieśni kochanków” — już sam tytuł wiersza jest mu łodzią ku tym, dla których „ko-

*) „Najwybitniejsi poeci emigracji współczesnej” (Baliński, Lechoń, Łobodowski, Wierzyński, Wittlin) antologia, wydał i wstępem opatrzył Dr St. Lam. Portrety według rysunków Stefana Mroźewskiego i Esteban Sanza. Okładka według projektu M. Lurezyńskiego. Księgarnia Polska w Paryżu, 123, Bd Saint-Germain.

chankowie” oznaczali tylko „zakochanych”. Stanąwszy zaś na drugim brzegu, poeta zapomina o nas, pozostawionych na lądzie dwudziestego wieku, zapomina o naszym zblazowanym języku i z najbardziej niefrasobliwą swobodą używa takich byronowskich wyrażeń jak „cisza pełna czaru”, rzuca takie obrazy jak „odbicie księżycy w umarłym jeziorze”. Czasem obejrzy się za siebie — przepraszam, chyba przed siebie — ale i do utworów o tematach współczesnych przeszczepia wizje i słownictwo pozastyksowe. W wierszu „Fermé jusqu’à la victoire” pisze, że mu te francuskie słowa „melodią wracają w snach”. W wierszu lirycznym, osobistym „Na oceanie atlantyckim” przemawia do „gwiazdy na ciemnym niebie”, czekając „na zaklęcie, na znak, którego oprócz nas nikt nie usłyszy”. Wiersz pt. „Wizja ghetta” rozpoczyna od słów „Dokądże mnie prowadzisz, tragiczny poeto...”. Zakochany w przeszłości, zatracca się w niej, utożsamia z jej duchami, ze świata aktualnego godzi się przenieść do swej twórczości tyle tylko, na ile mu pozwalają środki poezji dawnej.

Jan Lechoń daje nam galerię portretów historycznych: Jana Kazimierza, Rejtana, Mickiewicza, Krasińskiego, Książka. Zacytuje najpierw własne wyznanie poety:

*„Wszystkie słowa podniosłe, któreś znał ze szkół,
Muzyka starych pieśni, wolności anioly,
Książę Józef na koniu, wiszący nad biurkiem
I olbrzymi Batory w malej czapce z piórkiem
I młodzieniec z Grottgiera, co śegna swą miłą,
Pocztówka z Białym Orłem — wszystko to ożyło!”*

Inaczej mówiąc, Lechoń nie portretuje z modelu czy z wyobraźni, lecz rozmyślnie kopiuje pocztówki, śliczne pocztówki malowane przez Kossaka, pisane przez Or-Ota, troszcząc się nade wszystko o to, by nie skazić ich stylu najmniejszym rysem nowoczesności. Oryginalność Lechonia to wyrzeczenie się oryginalności, to zupełne oddanie się sztuce naśladownictwa, złożenie swej osobowości na ołtarzu czasu minionego. Artystą będąc z bożej łaski, potrafił w niejednym wierszu przewyższyć swych mistrzów, ale kiedy przyszło mu sportretować postać współczesną, Stefana Starzyńskiego, użył tych samych sielankowych barw, tych samych podniosłych słów, które znał ze szkół. Ubrązowiony tym dobrodusznym pędzlem, nawet Boy-Zeleński wszedł w poczet narodowych świętych! Lechoń pograżył się w dawności tak dalece, iż czasem odnosi się wrażenie, że w ogóle nie zna słów, które istnieją dziś a które nie istniały pięćdziesiąt czy sto lat temu. Trzeba się domyslać, że jego wiersz „Pożegnanie Marsylianki” dotyczy klęski Francji z czerwca 1940 roku, bo również dobrze a nawet prędzej odnieść by go można do zajęcia Paryża przez wojska koalicyjne po upadku Napoleona. Jednym z niezwykle rzadkich terminów nowoczesnych, jakie da się wykryć w twórczości Lechonia, jest słowo „kaloryfer”.

ale poeta nie poniża się do rzucenia choćby jednego spojrzenia na ten aparat nieznaną za czasów Andriollego, a tylko nocą słyszy w nim „cudny harfy dźwięk”, czytaj: kapanie wody. Nie od rzeczy będzie dodać, że Lechoń jest zapewne ostatnim dziś poetą nieużywającym asonansów, a pierwszym umiejącym naprawdę posługiwać się rymem.

Uroki dawności zniewalają również rogatą, niepodległą duszę Józefa Łobodowskiego. Raz po raz odzywa się w nim żyłka historiozofa, a wtedy dosiada swego kozackiego pegaza i galo-puje na przelaj po latach i wiekach, trzymając go jednak mocno w cuglach erudycji. Z rytmu wiersza, z temperatury słów poznać, że te wyprawy sprawiają mu rozkosz nieomal zmysłową, i chociaż do startu rzucają go sprawy aktualne, nie pomyli się chyba, jeśli przeszłość nazwę kochanką poety, a teraźniejszość — biedną, co noc zdradzaną małżonką. Za wymowny przykład posłużyć może wiersz „Do dyktatora rzymskiego” ze zbioru „Modlitwa na wojnę”. Pierwsza, dłuższa część to poetycko ujęte dzieje węzłów polsko-włoskich od Zamojskiego po Francesco Nullo, dumne zrównanie się wolnego Polaka z rzymskim patrycjuszem, plastyczne pejzaże Toskanii i nadwiślańskich miast renesansowych, a potem, w części drugiej, groźby i gniew, ale na co — trudno odgadnąć z niejasnych, skąpych aluzji. Dopiero komentarz prozą zamieszczony na końcu zbioru objaśnia czytelnika, że chodzi o protest przeciwko nadaniu Frankowi tytułu doktora honoris causa przez uniwersytet w Modenie. Nie ulega wątpliwości, że wiersz powstał na skutek tego wydarzenia współczesnego i jemu miał być poświęcony, ale koniec końców poeta wyznaczył mu rolę wstydliwego pretekstu do roztoczenia pysznych fresków dobytých ze skarba przeszłości.

Nieuznający grobel czasu, nieokielznany nurt poezji Łobodowskiego bodaj tylko jeden raz zespolił się na dłużej z wodami teraźniejszości, a stało się to podczas klęski wrześnieowej, kiedy i teraźniejszość rwała przez kraj groźną powodzią. Z zaślubin tych dwóch żywiołów narodził się zbiór poematów chmurnych i piekących „Z dymem pożarów”. Poeta wielokrotnie raz przenosi wzrok z pożóg wrześnieowych ku przeszłości, ale nie oddala się od nich i rozmawiając z historią, rozmawia tylko o wrześniu. W innych wierszach, które znamy z „Kultury” i „Wiadomości” (brak wydań książkowych wyrządza wielką krzywdę Łobodowskiemu i jego czytelnikom) dygresje historyczne górują na ogół nad motywami chwili bieżącej, nie mówiąc już o takich utworach, jak „Gazele i Kasydy”, które w całym swym zamyśle stanowią nawrót do tradycji.

Pewną równowagę między „dawnymi a nowymi laty” zapewniają w twórczości Łobodowskiego urzekające swym artystycznym opisem przyrody. Natura to element ponadczasowy: tak samo klaskają słowiki dziś jak za czasów Jagielly, tak samo w jarach nadłuszczańskich pachną czeremchy teraz jak za życia Chmielnickiego. Ale i w tych opisach poeta odgradza się od naliotów nowoczesności, po polach i lasach wędruje jak po rezer-

wacie, jego chłopci piją nie czystą wyborową czy bimbler lecz gorzałkę, na jego żniwach lokomobila nie zagłusza pieśni dzie-wuch, na jego gościńcach wysadzanych topolami nie ustawiono jeszcze słupów telegraficznych. Nigdy też nie zajrzy do miasta, jakby nie chciał pogodzić się z myślą, że nasza epoka zdegradowała bezlitośnie wieś, całą władzę nad światem oddając w ręce wielkich stolic. Wreszcie o dawności wszystkich utworów Łobodowskiego bez względu na temat decyduje jego język. Jest to mowa przemysłnie stylizowana i często archaizowana; swą składnią, rytmem i słownictwem bliższa prozy poetyckiej Żeromskiego, niż naszej mowy potocznej.

Na pozór by się wydawało, że emigracyjna twórczość Kazimierza Wierzyńskiego od „Barbakanu warszawskiego” po „Krzyże i miecze” zasługiwać powinna na miano współczesnej, skoro za temat wzięła wojenne i powojenne dzieje narodu. Ale podążając z biegiem czasu, Wierzyński nie nadążył za duchem czasu. W swych wierszach operuje „testamentem ideowym” dawnych wieszczów, przejmując z niego tę część, która najsilniejsza nosi piętno retoryki, dziś raczej irytującej, niż przekonującej. Dopiero ostatnio, w „Korcu maku” oderwał się od przeszłości, zmierzając zresztą nie ku światu teraźniejszemu, lecz na pustelnię.

Powracam do moich pytań: jakie są przyczyny tego pograżenia się czterech poetów w przeszłość? dla jakich powodów odwracają twarz od spraw dnia dzisiejszego?

Nie dlatego stawiam te pytania, bym był wrogiem tradycji lub adoratorem wieku dwudziestego, i nie dlatego, bym miał przyznawać poezji modernistycznej automatyczną przewagę nad poezją klasyczną. Uważam tylko, że zapatrzenie się naszych czterech poetów w przeszłość przybrało rozmiary dotąd rzadko spotykane i jako zjawisko odbiegające od pewnej normy wymaga wyjaśnienia. Przypomnijmy sobie, że takie arcydzieła jak „Dziady”, „Kordian” i „Wesele” powstały na kanwie wypadków współczesnych, w duchu i języku epoki. Przypomnijmy, że utwory o tematach historycznych, jak „Konrad Wallenrod” i „Noc listopadowa” były dziełami ludzi, którzy wprawdzie spoglądali w przeszłość, ale z punktu widzenia swego czasu, i dążyli do powstania „Cyda” czy „Balladyny” nie sposób przesunąć ani o pięćdziesiąt lat wprzód, ani o pięćdziesiąt lat wstecz. Przypomnijmy, że Lafontaine, zapożyczając problematykę i intrygi swych bajek aż od Ezopa i Fedry, związał je jednak nierozdzielnie z francuskim wiekiem XVII. Natomiast trudno znaleźć w historii pisarza większej miary, który pisząc o swoim czasie przybierałby umysłowość i styl epoki poprzedniej.

Za moimi pytaniami nie kryje się ani zarzut, ani chęć udzielania rady, ani ambicja wpływania na przyszłą twórczość czterech poetów. Przeciwnie, obawiam się, że ponieśliśmy nieodżałowaną szkodę, gdyby Łobodowski wymienił swą purpurową, żywiczną prozę na chudy język dziennikarski, albo gdyby

Baliński pożegnał Maryle i Ludwika a zaczął pisać wiersze o pin-up-girlsach.

Na moje pytania odpowiedzieć nie umiem i nie śmiem, najchętniej zwróciłbym się z nimi do samych poetów, spróbuję jednak wysunąć pewną hipotezę.

Wydać mi się, że wojna wyjaśnia wiele, ale nie wyjaśnia wszystkiego. Przybranie postawy obronnej, zamknięcie się w twierdzy wspomnień i ewokacji historycznych było niewątpliwie naturalną, a nadto zrozumiałą reakcją na ciosy porażek wojskowych i politycznych. Siegnięcie w przeszłość po afirmację praw do niepodległości było także instynktowym odruchem, którego nie mógł uniknąć naród zagrożony zagładą. Idąc za tym głosem, poeci złożyli piękny dowód zespolenia ze społeczeństwem. Cemu jednak zatrzymali się w połowie drogi, gdy inni przechodzą już do kontrofensywy, czemu nie towarzyszą narodowi w pracy nad rozsupływaniem problemów współczesności, czemu nie dopuszczają do swych utworów trosk ogółu o przyszłość?

Zastrzegam się jeszcze raz, że nie mam zamiaru prawić moralów. Polityk i publicysta muszą zajmować się pewnymi problemami, czy im one podobają się czy nie. Poeta posiada suwerenne prawo wyboru tematu i tego przywileju kwestionować nie wolno. Krytycy i czytelnicy mogą jedynie zanotować, że poeta dokonał takiego a nie innego wyboru i zastanawiać się nad motywami, jakie nim kierowały.

Sądzę, że czterech poetów emigracyjnych pchnęła ku dawności wojna a utrzymuje ich w jej kręgu przemożny wpływ romantyzmu. Mam tu na myśli romantyzm w ujęciu najszerszym, a więc — (przepraszam za uproszczenia w terminologii) — poezję uczuciową w przeciwstawieniu do poezji intelektualnej lub tzw. poezji czystej. Od czasów Mickiewicza liryka polska rodziła się właśnie w sercach i do serc przemawiała, nawet Asnyk i Norwid mimo pewnej filozoficzności pozostają romantykami. Péguy, Valéry nie mieli w Polsce odpowiedników o większym talencie i szerszym audytorium. W okresie dwudziestolecia między dwiema wojnami próby wprowadzenia poezji intelektualnej przez futurystów i innych — istów spaliły na panewce wobec triumfu Skamandra, wskrzeszającego znów, na swój sposób, tradycje romantyczne. Baliński, Lechoń, Łobodowski i Wierzyński wyszli z tej szkoły i do dziś dnia gardzą „mędrca szkiełkiem i okiem”, choć płacą za to bezradnością wobec wydarzeń dnia.

Ich poprzednicy sprzed lat stu w szczęśliwszym znajdowali się położeniu. Światopogląd romantyczny ogarniał wtedy bez trudu przeszłość i przyszłość, bez uszczerbku mieścił w swych ramach dzieje narodu, bo i styl ówczesnego życia, walki, jakie się w tym czasie toczyły, miały podkład uczuciowy. Lat temu dwadzieścia trudniej już było odpowiadać samym tylko sercem na problematykę, jaką przyniósł wiek dwudziesty, ale w Polsce Odrodzonej uchowała się w szczególny sposób atmosfera romantyzmu i społeczeństwo, z natury uczuciowe, zadawało się twórczością skamandrytów, chociaż nie była w stanie dać takiej pełni jak w swoim czasie poezja Słowackiego lub Wyspiańskiego. Dziś,

w erze einsteinowskiej, w okresie kiedy dominują zawikłane problemy społeczno-gospodarcze, kiedy między przeciwnymi obozami polityczno-ideowymi toczy się par excellence „walka na rozumy”, kiedy nawet religie traktowane są przede wszystkim jako systemy filozoficzne, dziś uczuciowy romantyzm schodzi do rzędu sentymentalizmu. Jeszcze mu się nie odbiera prawa azylu, jeszcze go się toleruje, ale też nikt nie bierze go na serio. Nawet miłość, domena zdawałoby się najbardziej „romantyczna”, wymknęła się spod władzy romantyków od czasu odkryć dr Freuda.

Nic więc dziwnego, że nasi czterej poeci, holdujący poezji romantycznej, nie znajdują pomostu do anty-romantycznego świata z roku 1953 i tkwią w ghetcie minionej epoki, minionej umysłowości.

Jeśli te uwagi są słuszne, to stanowią także odpowiedź na skądinąd naiwne pytanie, dlaczego obecna emigracja nie wydała dotąd „wieszczą”. Nie wydała i nie wyda. Wielkość Mickiewicza powstała dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności, który sprawił, że wewnętrzna romantyczność poety wileńskiego szła w parze z charakterem epoki i z charakterem czytelników. Dostroić się do obecnej rzeczywistości mógłby tylko poeta intelektualny, ale na pewno nie znalazłby oddźwięku w społeczeństwie, które na skutek wychowania i przyzwyczajenia uznaje wyłącznie poezję romantyczną, chociaż poezja taka nie daje mu pełnego zadowolenia.

Jan WINCZAKIEWICZ

“Pani Sapowska” i bohaterski pies

Każdy, kto wojnę spędził w Polsce, a zwłaszcza — jak podpisany — brał udział w takich, czy innych działaniach Armii Krajowej, po przeczytaniu ostatniej książki Wacława Grubińskiego *) zadać musi sobie pytanie: co to właściwie jest? Burleska, czy po prostu kpiny z czytelnika? Wprawdzie autor w przedmowie ze właściwą sobie, staromodną kokieterią zapewnia, że mimo formy scenicznej, rzekomo filmowej, napisał powieść, właśnie powieść, której realizm jest jakoby „protokółarnie stwierdzony”, „historycznie wierny” i „aż do zbytku udokumentowany” — ale takich oświadczeń nie sposób traktować na serio, gdy chodzi o pisarza, znanego ze skłonności do kpienia ze wszystkiego (choć nie z siebie). Uważniejsze przyjrzenie się temu dziwnemu tworowi, jakim jest *Pani Sapowska*, uwieczniona na obwołanie ekliwą podobizną, jakby żywcem przerysowaną z pudełka do

*) Wacław Grubiński. *Pani Sapowska*, powieść. Nakł. Kat. Ośr. Wyd. „Veritas”, Londyn, 1953.

czekoladek — wykazuje, że p. Grubiński nie ma nawet zielonkawego pojęcia o realiach, a zwłaszcza o atmosferze jakiegokolwiek działań konspiracyjnych i bojowych polskiego podziemia w czasie okupacji niemieckiej.

Na nic by się nie zdało wyliczanie nieprawdopodobnych gaff w terminologii, w sytuacjach, charakterach i w klimacie tej bzdurnej i nieciekawej wycieczki „kuriera” Andrzeja na cztery dni z Londynu do okupowanej Polski i z powrotem. Trzeba użyć uproszczonej metody i stwierdzić z całą stanowczością, że ani jeden człowiek i ani jedna sytuacja w tej książce nawet w przybliżeniu nie odpowiada rzeczywistości i nie wywołuje jej wrażenia. Jediną postacią bohaterską i mniej więcej prawdopodobną jest pies Neron, którego autor obarczył ważną misją pilnowania stacji radiowej, ukrytej w jego budzie. Odnosi się wrażenie, że Grubiński pisząc tę ramotę świadomie przyjął zasadę „to hell with credibility”, stosowaną w niektórych drugorzędnych filmach amerykańskich (tzw. „B” Pictures). Obiektywnie są dane, że tak właśnie postąpił nasz weteran lżejszej muzy, choć wolalibyśmy przyjąć pochlebniejsze dla jego rzetelności pisarskiej (choć mało pochlebne dla inteligencji) wytłumaczenie: że po prostu padł ofiarą jakiegoś króla łgarzy, albo raczej królowej, czy może „czarującej” — jak sam określa swoją panią Sapowską — królewny łgarstw prywatnych, urzędowych i hurrapatriotycznych. W każdym razie zdaje się nie ulegać wątpliwości, że autor *Pani Sapowskiej* nie przeczytał ani historycznego, obszernego opracowania pt. *Armia Krajowa*, nie mówiąc już o solidnie na źródłach opartej, świeżo wydanej powieści Janusza Jasieńczyka *Brunatne i czerwone*, która sugestywnie ewokuje prawdziwą atmosferę konspiracyjnych walk z Niemcami.

Ale może nudnawy i wcale nie zabawny „utwór” p. Grubińskiego (który powinien by nosić tytuł „Jak Dziadzio Wacio wyobraża sobie konspirację w kraju i zagranicą”) posiada wybitne walory artystyczne, jakich możemy się spodziewać po pisarzu, który przed wojną miał niemałe nazwisko, a na emigracji zdobył Nagrodę Gruzlików za solidny i dobrze napisany pamiętnik pt. *Miedzy młotem i sierpem*? Niestety, nie. Z jakiegokolwiek punktu widzenia spojrzałoby się na *Panią Sapowską* — zawsze okaże się, że jest bezkształtny wór, który twórca, (najprawdopodobniej w wielkim pośpiechu), upchał wyżej scharakteryzowanym towarem. Wbrew „orzeczeniu” samego autora (patrz przedmowa), sprzecznemu zresztą z każdą poważną teorią literatury, *Pani Sapowska* nie jest ani powieścią, ani scenariuszem filmowym.

Jeśli do tego rejestru „grzechów głównych” pana Grubińskiego dodamy, że język *Pani Sapowskiej* nosi cechy bardzo męczącej maniery (np. uporczywe stawianie zaimka zwrotnego „się” przed czasownikiem — „się odwrócił”, „się oddala”) — to będziemy mieli przybliżony obraz jego „osiągnięć” artystycznych w ostatnim „dziele”, o którym nie warto by pisać, gdyby nie aspekt społeczny sprawy.

Nie można starszym literatom odmawiać prawa pisania choćby najbzdurniejszych utworów. Gdyby istniał na emigracji normalny rynek wydawniczy, nie można by także zabronić wydawcom wydawania takich prac: publiczność — odmawiając ich kupowania i czytania — sama dałaby sobie radę z autorami zbyt lekko traktującymi jej smak i poczucie prawdopodobieństwa w fikcji. Ale z *Panią Sapowską* było inaczej. Została wydana drogą subskrypcji przez firmę katolicką Veritas. Kilkuset czytelników kupiło ją jak kota w worku, dając z góry pieniądze na utwór nieznany, a może nawet nie napisany w momencie rozpisanie prenumeraty. Czytelnicy ci spodziewali się, że katolickie wydawnictwo ma lektorów, którzy oceniają dzieło starannie i zastanowią się, czy jest warte przynajmniej dobrego papieru, na którym będzie wydrukowane. Brali też z pewnością pod uwagę nazwisko autora i poprzednie pozycje „Biblioteki Polskiej”, z których przynajmniej jedna (*Blisko i daleko*) Marii Danilewicz) jest bardzo mocna.

W zamian ze swe pieniądze i za swe zaufanie subskrybenci Veritasu otrzymali książkę artystycznie bezwartościową i w dodatku ideowo całkowicie obcą katolikowi, książkę zupełnie wypraną z wartości etycznych lub choćby pedagogicznych. Jednym słowem placący z góry nabywcy otrzymali bezwartościowy towar. Wiemy jak to się nazywa w stosunkach handlowych — ale jak nazwać to w obrocie kulturalnym?

Krzysztof T. GÓRSKI

Notatki wydawnicze

Od czterech lat ukazuje się w Ameryce raz na rok antologia literackiej awangardy pt. *New Directions* (393 Sixth Ave., New York). Wszystkie młode oryginalne talenty amerykańskie debiutowały w tym wydawnictwie, które poza tym szerzy znajomość najnowszej literatury europejskiej i tych klasyków którzy, jak Lautréamont, Hölderlin, Louise Labé czy Choderlos de Laclos atali się nam poprzez taką czy inną alchemię czasu współcześni. Ostatni tom *New Directions* (1953) (410 stron) zawiera między innymi antologię prozy poetyckiej zebraną przez młodego amerykańskiego poetę Charles Henry Ford, dawnego wydawcę surrealistycznej *View*. Antologia jest całkowicie przypadkowa, zebrana na podstawie indywidualnego smaku kompilatora i sięga do poezji chińskiej, do klasyków, do całkowicie nieznanych młodych poetów. I oto wśród dwudziestu paru urywków prozy poetyckiej, obok Beaudelaire'a, Kafki, Poe, Rimbaud, Leonarda, natrafiamy na dwa ustępy pióra pisarza z Polski. Jest nim Jakub Yitzhak (nie śmiem zaryzykować polskiej transkrypcji nazwiska), lubelski chasyd z XIX wieku. Oto jeden z tych urywków, o „Wesołym Grzeszniku”, który uradowałby Gide'a i Whitmana:

„W Lublinie żył wielki grzesznik. Kiedykolwiek odwiedzał rabina, ten chętnie zgadzał się rozmawiać z nim, tak jakby miał do czynienia z czło-

wiekami uczciwym i przyjacielem. Wielu spośród chasydów krzywo na to patrzyło aż jeden rzekł do drugiego: „Czyż to możliwe że nasz rabin, któremu dość raz spojrzeć na twarz człowieka aby poznać jego życie od początku do końca, aby poznać samo sedno jego duszy, nie widzi, że człowiek ten jest grzesznikiem? A jeśli widzi, jakże dopuszcza do rozmowy i przebywania z nim?” Wreszcie odważyli się pójść do samego rabina ze swym zapytaniem. A on im odrzekł: „Wiem wszystko o nim tak jak wy. Ale wiecie jak lubię radość i jak nienawidzę przygnębienia. A ten człowiek jest tak wielkim grzesznikiem! Inni skoro tylko grzeszą, żalują, pozostają chwilę w żalu i znów powracają do swych błędów. Ale ten człowiek nie zna skruchy i nie zna pokus i żyje w swoim szczęściu jak w wieży. A światłość jego szczęścia raduje moje serce”.

Jakże mało znany Polakom jest skarbiec żydowskiej literatury z jego poezją, mądrością, fantazją, subtelnym humorem, nierzadko ze światłem czystego mistycyzmu. Czy nie można by, z pomocą z Izraela, amerykańskich i europejskich ośrodków badań hebrajskich, wydać antologię najcenniejszych tekstów polskich Żydów: talmudystów, chasydów, pisarzy regionalnych, poetów i dramaturgów żargonowych? Wydawca tego rodzaju antologii znalazłby chociażby w pisarzu i erudycie klasy Stanisława Vincenza idealnego redaktora. A antologia taka nie tylko pokazałaby Polakom czym jest dusza i tradycja żydowska (polska opinia waha się tu pomiędzy bzdurami p. Pawlikowskiego z „Dwóch Światów” i bawieniem się dowiecipami p. Hemara), ale mogłaby być literacką rewelacją.

(j)

Przegląd miesięczników

Założony w r. 1918 jako organ belgijskiego ruchu oporu (warto zanotować, że jednym z trzech założycieli był Polak: dobrze znany czytelnikom „Kultury” Anatol Muhlstein), *Le Flambeau* (1, Avenue Antoine Depage, Bruxelles), jest nadal, po 36 latach, jednym z najpoważniejszych belgijskich czasopism polityczno-literackich. O charakterze liberalnym, *Le Flambeau* daje doskonały obraz sytuacji politycznej i międzynarodowej i belgijskiej i artykuły pierwszorzędných pisarzy i publicystów belgijskich i zagranicznych. Czerwcowy numer otwiera artykuł Anatola Muhlsteina o „Nieuniknionej Negocjacji”. W swej analizie polityki międzynarodowej po śmierci Stalina, Muhlstein przeciwstawia mglistym nieraz dociekaniom „ekspertów” i „specjalistów” zdrowy rozsądek i doświadczenie dyplomaty w polaczeniu z obiektywnym spojrzeniem historyka. Usunąć na bok dotychczasową zabawę w „zgadywanki” i przejdźmy do politycznych realiów — oto zasadnicze podejście Muhlsteina. W artykule napisanym przed aresztowaniem Berii, Muhlstein stawia sprawę jasno: w Rosji istnieją dwie siły realne, a nie trzy, jak się ogólnie przypuszcza — policja Berii i wojsko. Dyktatoriat sowiecki, złożony z ludzi bojących się wzajemnie i pozbawionych czynnika nadrzędnego, naturalnie dąży do uspokojenia położenia międzynarodowego, aby móc się skoncentrować na zagadnieniach wewnętrznych, przygotować się do nienukniowanych rozgrywek i wzmocnić osłabione fundamenty państwa. Czy — wobec takiej sytuacji — należy rozpocząć negocjacje? Zdaniem Muhlsteina nie ma na co czekać: nie wskazuje na to, żeby Rosja miała się szybko osłabić, czy Zachód szybko wzmocnić. Należy oczy-

wieście negocjować z pozycji siły: ale Zachód jest silny, siła jego jest zlokalizowana w Ameryce i — choć nie należy ani na chwilę zwolnić przygotowań do uzbrojenia i zjednoczenia Europy — należy rozpocząć rokowania nie zwlekając. Muhlstein ujmuje rokowania inaczej niż Churchill czy europejscy „neutraliści”: z całą siłą historycznej dokumentacji wykazuje, że musimy żądać od Rosji poważnych ustępstw, nie mając w zamian nic do ofiarowania prócz pokoju. Należy określić jasno cel rokowań: wycofanie się Rosji z Niemiec, Austrii i Europy środkowo-wschodniej. Czy, postawione równie twardo i nieustępliwie, rokowania takie mają jakąkolwiek szansę powodzenia? Muhlstein przypomina nam tutaj jak przed wiekiem wielki poprzednik Churchilla, Disraeli zmusił Rosję właśnie na mocy rokowań do wycofania się z Konstantynopolu, gdyż obecność wojsk rosyjskich nad Bosforem była „nie do przyjęcia” dla Europy. Możemy zmusić Rosję do ustąpienia z Europy za cenę pokoju — oto zasadnicza teza Muhlsteina. Ale rokowania tego rodzaju są tak delikatne, mogą być tak osłabione przez reakcję opinii publicznych, że Muhlstein, jako stary dyplomata, gorąco apeluje do tradycyjnych metod tajnych rokowań pomiędzy kancelariami dyplomatycznymi. Dość publicznych apeli, deklaracji prasowych, artykułów w „Prawdzie” czy „Timesie”: należy przejść do rokowań bezpośrednich, obojętnie czy terenem ich będzie UNO, State Department czy salony Kremla.

W czasach kiedy raporty ambasadorów zbyt często przypominają artykuły publicystów, zdziwić może artykuł publicystyczny, który jest raportem idealnego ambasadora: spoczywa na realnej ocenie sił, na wytrawnym doświadczeniu, na niechęci do abstrakcyjnych koncepcji i na solidnym znawstwie historii. Artykuł Muhlsteina przeznaczony jest może bardziej dla tych kancelarii do których kieruje on apel o rokowania, niż dla czytelników szukających „nowych interpretacji”.

W czerwcowym numerze amerykańskiej *Portisan Review*, Victor Erlich pisze o „Rosyjskim Formalizmie”. Formalizm, jako szkoła krytyki literackiej, powstał w Rosji około 1915-16 i doszedł do rozkwitu we wczesnych latach dwudziestych. Borys Eikhenbaum, Roman Jakobson (którego artykuł ukazał się w czerwcowym numerze „Kultury”), Wiktor Szklowski i Juri Tymjanow, byli jego czołowymi przedstawicielami. „Formaliści” uważali literaturę za samoistne pole ludzkiego działania i ukuli termin „literaturności”, obejmujący specyficzne metody literatury „pięknej”. Formalizm został oczywiście ostatecznie wykreślony z sowieckiej nauki jako herezja około r. 1930, pomimo pewnych wysiłków kompromisu z marksistami ze strony formalistów. Erlich przypomina, że formalizm miał również szkołę czeską i polską z Manfredem Kridlem i Franciszkiem Siedleckim.

W tym samym numerze znajdujemy szkic amerykańskiego filozofa niemieckiego pochodzenia, Ludwiga Marcuse o „Europejskim anty-amerykanizmie”. Marcuse próbuje naszkicować historię europejskiego anty-amerykanizmu i przedstawić jego emocjonalny bardziej niż intelektualny charakter. Zdaniem autora, „Ameryka” i „Europa” przestały istnieć; mamy dziś do czynienia z pewną fazą zachodniej cywilizacji, którą nazywamy „amerykańską”, gdyż wywodzi się ona z europejskiej kolonii zwanej Ameryką. „Amerykanizm” istniał rzeczywiście kiedy Ameryka była krajem niecywilizowanych pionierów, i w drugiej fazie, kiedy Ameryka była o wiele bardziej uprzemysłowiona od Europy. Od tego czasu jednak Europa niemal doścignęła Amerykę technicznie, Ameryka niemal doścignęła Europę kulturalnie. Czyżby — kończy autor artykułu — „Europa” i „Ameryka” nie były niczym innym jak historycznymi kategoriami, utrzymywanymi przy życiu przez obustronne przesady?

Idea europejska przechodzi, po pierwszych osiągnięciach w rodzaju poolu węgla i stali, przez ostry kryzys, spowodowany z jednej strony inercją polityczną i ciasnotą rozumowania poszczególnych rządów, z drugiej strony sowiecką „ofensywą pokojową”. Aby przeciwstawić się temu kryzysowi powstała „Grupa Dwudziestu”, komitet najwybitniejszych sił intelektualnych ruchu europejskiego, działający wyłącznie we własnym imieniu i starający się niezależnym wysiłkiem myślowym, w oderwaniu od wszelkich biurokracji znaleźć wyjście z impasu. Należą do „Dwudziestu” między innymi Raymond Aron, H. Brugmans, G. Gafencu, S. de Madariaga, André Philip, Denis de Rougemont, Józef Retinger, Jean-Paul de Dodelsen. „Grupa Dwudziestu” wydaje od kwietnia miesięcznik, *Courrier Fédéral*, pod redakcją Denis de Rougemont (Centre Européen de la Culture, Palais Wilson, Genève). W pierwszych numerach, obok świetnej analizy „kryzysu europejskiego” pióra Denis de Rougemont, znajdujemy projekty europejskiej konstytucji.

Ruch Europejski, grupujący wszystkie europejskie związki federalistyczne wydaje miesięcznik pt. *Nouvelles de l'Europe* (Mouvement Européen, 82, Avenue Marceau, Paris-8^e). Jest to właściwie międzynarodowy biuletyn, zawierający dział wolnej trybuny i podający wszystkie bieżące materiały europejskie (posiedzenia Europejskiego Zgromadzenia Doradczego w Strasburgu, Komitetu Ministrów Europejskich itd.). *Nouvelles de l'Europe* podają w skoncentrowanej formie wiadomości „europejskie”, które giną na łamach innej prasy.

Nieograniczone możliwości rozwoju ludzkiej nauki i techniki od wieku pobudzały wyobraźnię pisarzy i poetów. Jules Verne miał wielu poprzedników: Cyrano de Bergerac zapowiadał podróże międzyplanetarne; Rabelais — produkcję seryjną; Leonardo — kolej żelazną i spadochron. W miarę jednak rzeczywistego zawrotnego rozwoju techniki jakiego jesteśmy świadkami, tego rodzaju utopijne wizje pomnożyły się stokrotnie. Powstał przed kilkunastu laty nowy „rodzaj literacki”, który jest właściwie formą współczesnej mitologii: „Science Fiction” — powieści i nowele oparte na popularyzacji nauki, a raczej jej ewentualnych najbardziej fantastycznych zastosowań. Wprawdzie „Człowiek Niewidzialny” i „Wyspa Dr Moreau”, prototypy współczesnej „Science Fiction” powstały w Anglii i we Francji, ale prawdziwy zalew tego rodzaju książek ukazał się w Ameryce i trwa już od kilkunastu lat. Podobnie jak literatura kryminalna, „Sf” (takiego skrótu używa się dziś w Ameryce) kwitnie na różnych poziomach — od działu popularnych „comics”, aż po utwory pierwszorzędných pisarzy, a nawet — po literackie rozrywki wielkich uczonych. Dziwnym zbiegiem okoliczności, analizą tego typu literatury zajęto się we Francji i w Anglii bardziej niż w Ameryce. *Les Temps Modernes* poświęciły „Sf” specjalny numer przed paroma miesiącami. W czerwcu i lipcu bieżącego roku aż trzy poważne francuskie miesięczniki zajmują się perspektywami amerykańskiej literatury naukowej: *Esprit* poświęca jej specjalny numer; *Mercure de France* i *Cahiers du Sud* — szereg artykułów.

Zagadnienie jest istotnie ważne. Zarówno przez nieoczekiwane zastosowania — Stephen Spriell stwierdza w *Esprit*, że „brains-trusty” armii amerykańskiej używają „Sf” — „celem zapłodnienia zamulonej często wyobraźni uczonych i techników” — jak również jako wyraz podświadomego pesymizmu ludzkości w dobie bomby atomowej. Istotnie, Bertrand d'Astorg wykazuje w tym samym numerze *Esprit*, że cała literatura przyszłości opar-

ta jest właściwie na dziwnym przecuciu zniszczenia rodzaju ludzkiego: przede wszystkim oczywiście kataklizmy — i tu bomba atomowa, ucieczki ostatnich ludzi na inne planety, dezintegracja fizyczna człowieka, przejście do innych wymiarów dostarcza kanwy nowoczesnym Kasandrom nauki. Pesymizm istnieje jednak również na głębszym poziomie — jak stwierdza d'Astorg, klęska człowieka indywidualnego, rozbicie ludzkiej jaźni jest częstym tematem tych książek. Często ta klęska staje się ostateczna — podobnie jak w orwellowskim „1984” przez rozbicie ludzkiej pary: tak jakby miłość pomiędzy mężczyzną i kobietą odczuwana była przez wszystkich „pisarzy przyszłości” jako ostatnia ludzka deska ratunku.

Lipcowy numer *Preuves* zawiera artykuł Józefa Czapskiego o „Voix du Silence” Malraux i rozdział ze „Zniewolonego Umysłu” Czesława Miłosza o Becie-Trubadurze.

Czwarty numer *Westnika* Instytutu Badań Historii i Kultury ZSSR (Monachium, Schliessfach 5) zawiera szereg interesujących studiów. Prof. A. Filipow w artykule „Lenin i Sowiecka nauka” dowodzi, że fałszowanie nauki w Sowiecie zaczęło się od Lenina, który jeszcze w 1909 r. wykazał całkowicie niezrozumienie teorii względności, poprzez powierzchowną krytykę dzieł Poincaré'go.

L. Rzewski bada „Problemy konstruktywnej propagandy antykomunistycznej”. Z trzech elementów działalności propagandowej: idei, jej formy i jej przedmiotu, Rzewski, za najważniejszy w tym wypadku uważa przedmiot, to znaczy mieszkańców Sowiecie. Należy w pierwszym rzędzie poznać reakcje sowieckiego ludu poprzez badanie wszystkich dostępnych źródeł — prasy, nauki, literatury, krytyki i samo-krytyki. Należy również zawsze pamiętać o traumatycznym strachu i schizofrenii, które są zasadniczymi cechami psychicznymi sowieckiego obywatela. Celem zachodniej propagandy powinno być wyzwolenie w świadomości sowieckich obywateli ich tendencji do opozycji przeciw tyranii. Stąd konieczność „dostarczenia celu i natchnienia opozycyjnym dążeniom”. Należy przede wszystkim badać istniejącą opozycję, choćby potencjalną. Na podstawie poszczególnych jej przejawów należy sformułować uogólnienia, które by można streścić w ramach pewnych idei.

„Obecne zadanie polega na pomocy sowieckiemu ludowi w jego wysiłkach utorowania sobie drogi w złożonych warunkach jego życia duchowego i materialnego, pomocy w przezwyciężeniu traumatycznego strachu, sceptycyzmu i apatii”. Należy w tym celu przeprowadzić gruntowną analizę psychologicznego i socjologicznego przekroju sowieckiej ludności, wybrać główne aspekty psychologiczne w poszczególnych grupach społecznych i ustalić które z nich przedstawiają najbardziej podatny grunt pod propagandę. Ta anty-propaganda powinna być zbudowana na podstawach etycznych (np. wykazanie podłości denuncjacji; przeciwstawienie prawdziwego patriotyzmu sowieckiemu pseudo-patriotyzmowi itd.). Pierwszym etapem do którego winna dążyć zachodnia propaganda jest stworzenie warunków w których wymiana informacji i koncentracja opozycyjnych sił byłaby możliwa.

W tym samym numerze, *Westnik* zamieszcza trzystronicową krytykę książki Józefa Czapskiego „Na Nieludzkiej Ziemi”, przypominając historię armii Andersa i podkreślając ciepły stosunek autora do ludności sowieckiej.

Nadesłane nowości wydawnicze

DOKUMENTY CHWILI

- MANTRAN (R.). *Histoire de la Turquie*. Pp. 126 (Ed. Presses Universitaires de France, Paris, 1953).
- BERNANOS (G.). *La liberté pour quoi faire ?* Pp. 311. (Ed. Gallimard, Paris, 1953, frs. 590).
- BURNHAM (J.). *Contenir ou libérer*. 327. (Ed. Calmann-Lévy, Paris, 1953).
- Soviet Imperialism. *Its Origins and Tactics*. Praca zbiorowa pod redakcją Waldemara Guriana. Str. 166. (Wyd. University of Notre Dame Press, Notre Dame, Indiana, USA, 1953, cena dol. 3,75).
- DAVID-NEEL (A.). *Le vieux Tibet face à la Chine nouvelle*. Avec 23 gravures hors-texte et une carte en dépliant. Pp. 241. (Ed. Plon, Paris, 1953, frs. 540).
- WEISSBERG (A.). *L'accusé*. Traduit de l'allemand par Paul Stéphano et E. Bestaux. Pp. 590. (Ed. Fasquelle, Paris, 1953, frs. 875).
- PROKOPOWICZ (S.N.). *Narodnoje chozjastwo SSSR*. T. I. Str. 400, cena dol. 3,25. T. II — Str. 360. Cena dol. 3,25. (Nakładem Domu Wydawniczego im. Czechowa w New Yorku, 1952).
- MARGOLIN (J.B.). *Putieszestwijs w stranu Z-K*. Str. 416. (Nakładem Domu Wyd. im. Czechowa, New York, 1952. Cena dol. 2,75).
- NOWIKOW (M.M.). *Ot Moskwy do Nju-Jorka*. Str. 416. (Nakładem Domu Wyd. im. Czechowa, New York, 1952. Cena dol. 3,00).
- SZWARC (S.M.). *Antisemitizm w Sowietom Sojuzie*. Str. 272. (Nakładem Domu Wyd. im. Czechowa, New York, 1952. Cena dol. 2,25).
- IWANOW-RAZUMNIKOW (R.W.). *Tiurny i sztyki*. Str. 416. (Nakł. Domu Wyd. im. Czechowa, New York, 1952. Cena dol. 3,00).

LITERATURA

- MARGERIT (R.). *La femme forte*. Pp. 229. (Ed. Gallimard, Paris, 1953, frs. 950).

- SALOMON (E. von). *Le questionnaire*. Pp. 648. (Ed. Gallimard, 1953, Paris, frs. 1.200).
- BOJER (J.). *Compable*. Pp. 295. (Ed. Calmann-Lévy, Paris, 1953).
- LINSER (L.). *Histoire d'amour*. Pp. 339. (Ed. Calmann-Lévy, Paris, 1953).
- WEIL (S.). *La source grecque*. Pp. 163. (Ed. Gallimard, Paris, 1953, frs. 350).
- KOESTLER (A.). *La corde raide*. Traduit de l'anglais par Denise Van Moppès. Pp. 358. (Ed. Calmann-Lévy, 1953).
- MILLER (Henry). *Souvenir souvenirs*. Traduit de l'américain par André Michel. Pp. 347. (Ed. Gallimard, Paris, 1953, frs. 700).
- SCHNITZLER (A.). *Les dernières cartes*. Traduit de l'allemand par Dominique Aucières. Pp. 276. (Ed. Calmann-Lévy, Paris, 1953, frs.).
- O'FLAHERTY (Liam). *Insurrection*. Traduit de l'anglais par Gilbert Sigaux. Pp. 271. (Ed. Calmann-Lévy, Paris, 1953).
- PAPINI (G.). *Le liere noir*. Traduit de l'italien par Julien Luchaire. Pp. 218. (Ed. Flammarion, Paris, 1953, frs. 525).
- JACOB (M.). *Les clefs du jardin*. Version française de A. Thumann. Pp. 576. (Ed. Plon, Paris, 1953, frs. 990).
- WILLIAMS (Ben Ames). *Les liens du sang*. V. II : *Le cousin Abraham*. Traduit de l'américain par A. Bertin. Pp. 528. (Ed. Plon, Paris, 1953, frs. 990).
- MARCEAU (F.). *En de secrètes noces*. Pp. 239. (Ed. Calmann-Lévy, Paris, 1953).
- MAURIAC (F.). *Journal*. Vol. V. Pp. 252. (Ed. Flammarion, Paris, 1953, frs. 500).
- LESSING (D.). *Vaincue par la brousse*. Traduit de l'anglais par Doussia Ergaz. Pp. 255. (Ed. Plon, Paris, 1953).

POEZJE

- GOLDMAN (J.). *Carrefour d'espérances*. Pp. 341. (Ed. Calmann-Lévy, Paris, 1953).
- MARKOW (W.). *Priglaszonnyje goslosa*. Str. 416. (Nakładem Domu Wyd. im. Czechowa, New York, 1952. Cena dol. 3,00).
- AŁDANOW (M.A.). *Ziwi kak chozczesz*. T. I. — str. 384, cena dol. 2,75; T. II — str. 304, cena dol. 2,75. (Nakł. Domu Wyd. im. Czechowa, New York, 1952).
- IWANOW (G.). *Petersburskije zimy*. Str. 256. (Nakł. Domu Wyd. im. Czechowa, New York, 1952. Cena dol. 2,00).
- ZAMIATIN (E.). *My*. Str. 224. (Nakł. Domu Wyd. im. Czechowa, New York, 1952. Cena dol. 1,75).
- NAGLEROWA (H.). *Sprawa Józefa Mosta*. Str. 301. (Wyd. Gryf Publications, Ltd., Londyn, 1953. Cena frs. 695).
- GRUBINSKI (W.). *Pani Sapowska*. Str. 182. (Nakł. Katolickiego Ośrodka Wyd. „Veritas”, Londyn, 1953).
- BILLY (A.). *La femme maquillée*. Pp. 283. (Ed. Flammarion, 1953, Paris, frs. 500).
- KARPENKO-ERINICA (P.). *Soldati mogo legionu (1945-1946)*. Poezje. Str. 48. (Wyd. „Orlik”, Chicago, USA).
- STRUVE (G.). *Niezdannij Gumilew*. Str. 237. (Nakładem Domu Wyd. im. Czechowa, New York, 1952. Cena dol. 2,25).
- BOGOLEPOW (A.A.). *Russkaja lirika od Zukowskogo do Bunina*. Str. 416. (Nakł. Domu Wyd. im. Czechowa, New York, 1952. Cena dol. 2,75).
- WALTZ (R.). *La création poétique*. Pp. 279. (Ed. Flammarion, Paris, 1953, frs. 675).
- RADZYMINSKA (J.). *Dzika perla*. Poezje. Str. 44 z linorytami Krystyny Herling-Grudzińskiej. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy na emigracji w Anglii, 1953).
- DOŁĘGA - KOWALEWSKI (J.). *Rozprawy poetyckie (1939-1952)*. Str. 98 z drzeworytami Stefana Barana. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy na Emigracji w Anglii, 1953. Cena frs. 600).

RÓŻNE

- DUBREUIL (H.). *Le travail et la civilisation*. Esquisse de l'histoire et de la philosophie du Travail. Pp. 291. (Ed. Plon, Paris, 1953, frs. 660).
- MARCEL (G.) etc. *Qu'attendez-vous du médecin ?* Pp. 321. (Ed. Plon, Paris, 1953, frs. 570).
- SOIRON (T., O.F.M.). *La condition théologien*. (Ed. Plon, Paris, 1953, frs. 450).
- KING MERTON (R.). *Eléments de méthode sociologique*. Traduit de l'américain par Jean Bué. Pp. 654. (Ed. Gallimard, Paris, 1953, frs. 970).
- BERNADOT, O.P. (M. W. ksiądz). *Matka Boska w naszym życiu*. Przekład z francuskiego Marii Przyłuckiej. Str. 190. (Nakł. Katolickiego Ośrodka Wyd. „Veritas”, Londyn, 1953. Cena 15 sh.).
- GOETEL (F.). *Tatry*. Str. 84 z 14 fotografiami w tekście. (Nakł. Katolickiego Ośrodka Wyd. „Veritas”, Londyn, 1953).
- WALTER (G.). *Histoire de la révolution russe*. Vol. I : *L'effondrement de la monarchie (Février-Mars 1917)*. Pp. 388. (Ed. Gallimard, Paris, 1953, frs. 790).
- Czortkiewska Ofensywa. Str. 37 (Wyd. Bractwo Koła Żołnierzy 1-szej Ukr. Dywizji UNA, Monachium, 1953).
- WOODCOCK (G.) et AVAKOU-MOVITCH (I.). *Pierre Kropotkine le Prince anarchiste*. Traduit de l'anglais par Eugène Bestaux. (Ed. Calmann-Lévy, Paris, 1953, frs.).
- BOK (M.P.). *Wspominania o moim ojcie P.A. Stolypinie*. Str. 352. (Nakładem Domu Wyd. im. Czechowa, New York, 1953. Cena dol. 2,75).
- KRIPTON (K.). *Osada Leningrada*. Str. 256. (Nakł. Domu Wyd. im. Czechowa, New York, 1952. Cena dol. 2,00).

Listy do Redakcji

Szanowny Panie Redaktorze,

Z wielką uwagą przeczytałem recenzję p. Jeleńskiego z książki Michała Pawlikowskiego. Oburzenie recenzenta w pełni podzielam. Wydaje mi się jednak, że oburzenie to zostało skierowane w niewłaściwym kierunku. Każda emigracja miała swoich Pawlikowskich, ludzi, którzy nie wiedzą, co mówią i nie wiedzą, co piszą. P. Michał Pawlikowski opuścił swoją Medykę i udał się na emigrację. Emigracja, wojna, zerwanie z przeszłością, ze środowiskiem to są sprawy trudne. Nie każdy znosi je jednakowo. Zwłaszcza ludzie starzy. Jedni więc żyją wspominkami i starają się nie widzieć swego nowego otoczenia. Inni są mniej szczęśliwi. Żyją czymś gorszym niż wspominki. Żyją w kręgu obsesji. Polityk, który nie potrafi o niczym innym mówić tylko o prawdziwych, czy urojonych przestępstwach politycznych sanacji (są tacy) żyje w kręgu obsesji. Pisarz, który nienawidzi i krytykuje wszystkie narody z którymi się styka na wygnaniu, uważając, że tylko naród polski jest święty i czysty — żyje w kręgu obsesji. Pułkownik, który uważa, że kto nie był w Legionach nie ma co zabierać głosu w sprawach wojskowych żyje w kręgu obsesji.

Otóż w moim przekonaniu książka Michała Pawlikowskiego jest książką-obsesją. Cała jej filozofia sprowadza się do bardzo śmiesznej i dziecinnej teoryjki. Oto ona: Polacy są narodem wybranym. Dlaczego? Bo tylko Polacy zachowali czystą i nieskażoną cywilizację Dunajców. Kto to byli Dunajcy? P. Pawlikowski opowiada o nich długą bajkę. Wszyscy wrogowie Polski to są Azjanci. Najgorsi z Azjanitów są Żydzi. Ale Azjanitami są również Niemcy, Rosjanie, Ukraińcy. Pełno jest Azjanitów we Włoszech, we Francji, w Anglii i w Ameryce. Są wszędzie tam, gdzie sobie p. Pawlikowski życzy. Czy wśród Polaków są też Azjanci? Oczywiście, że są. Cóż to za jedni? Wszyscy ci, którzy nie podzielają poglądów p. Pawlikowskiego. Kto nie jest za Stalinem jest produktem burżuazji, kosmopolityzmu, trockizmu, zgnilego Zachodu itd. Kto nie jest za Pawlikowskim jest Azjanitą. A to znacznie gorsze, niż wszystkie wyzwiska bolszewizmu. Co zrobić z Azjanitami? P. Pawlikowski właściwie widzi tylko jedno rozwiązanie. Trzeba ich wytepić. Poza tym należy żyć miłością chrześcijańską i kochać bliźniego jak siebie samego. Mam jeszcze w tej żalostnej książce parę rozdziałów o niebezpieczeństwie żydowskim. P. Pawlikowski bardzo przestrzega przed neofitami. Azjanci. Napada najgorszymi wyzwiskami na różnych pisarzy polskich od Przybyszewskiego do Staffa i Wittlina. Napasę na Wittlina jest szczególnie oburzająca. Cała twórczość p. Pawlikowskiego nie jest bowiem warta jednej strony, czy jednego poematu tego najwybitniejszego pisarza polskiego na emigracji. Pisarza głęboko katolickiego, przy którym katolicyzm p. Pawlikowskiego jest zwyczajnym „azjanickim barbarzyństwem”.

Ale jak powiedziałem na początku nie mogę oburzać się na p. Pawlikowskiego. Jest to bowiem książka-obsesja. Jest to książka przykra i smutna. Należy mu współczuć a nie oburzać się na autora.

Natomiast z całą stanowczością i jak najdobitniej należy zaprotestować przeciwko tym ciemnym koteriom politycznym, które tę książkę wydały i reklamują ją dziś na emigracji jako nową biblię endecką. Pod względem technicznym książka jest wydana luksusowo, jak żadna książka na emigracji. Wydała ją organizacja katolicka. Pod auspicjami specjalnego Komitetu.

Z prawdziwym żalem i z głębokim oburzeniem przeczytałem recenzję z książki „Dwa światy” napisaną przez Wojciecha Wasiutyńskiego w „My-

śli Polskiej” (nr 217). I do niego właściwie chciałem ten list skierować. Wasiutyński bowiem wie co robi. Nie ma na pewno żadnych złudzeń co do wartości tej książki. A jednak z całym spokojem pisze on o „wybitnej i oryginalnej indywidualności” autora „Dwóch Światów”. P. Wasiutyński wie dobrze, że książka ta nie ma nic wspólnego z żadną nauką. Ani „subiektywną” ani obiektywną. A jednak p. Wasiutyński nie ma odwagi nazwać jej po imieniu. Woli z całą powagą rozводить się o tych poszukiwaniach „wspólnego korzenia żydowskości, germańskości, rosyjskości i ukraińskości”. Co go powstrzymuje w wypowiedzeniu prawdy? Szacunek dla tradycji rodu Pawlikowskich? Ta książka jest degrengoladą tradycji kulturalnych rodu Pawlikowskich. Jest zjawiskiem przykrym i smutnym.

Zastanawiam się co by powiedzieli o tej książce i o tej recenzji nasi dawni przyjaciele, dziś już nieżyjący, z którymi tak namiętnie dyskutowaliśmy te same tematy, będące często przedmiotem nieodpowiedzialnych twierdzeń p. Pawlikowskiego. Stach Cimoszyński i Klemens Smarbachowski, którzy polegli we wrześniu na szosie lubelskiej. Olgierd Szpakowski zamordowany w Katyniu. Tadeusz Lipkowski, Wojciech Kwasieborowski, Bronisław Kopczyński — rozstrzelani przez Niemców. Co by powiedział Jan Mosdorf, którego Wasiutyński znał tak blisko. I wielu innych, którzy tak jak i ja z zapałem i zainteresowaniem czytali jego błyskotliwe felietony „Z duchem czasu”. Myślę, że byłoby im tak przykro jak mnie jest dziś, gdy czytam w organie Str. Narodowego, którego myśl kształtowali niegdyś pisarze tej miary co Jan Popławski, Zygmunt Wasilewski, Adolf Nowaczyński, zachwyty Wojciecha Wasiutyńskiego nad żalostną książką potomka rodu Pawlikowskich.

Jan OLECHOWSKI
274 Clinton Ave. Brooklyn, 5 NY. USA

Szanowny Panie Redaktorze,

Przypadek zrzucił, że dopiero przed kilkoma dniami przeczytałem artykuł p. Czesława Jeśmana pt. „Rubens heroiczny”, umieszczony w kwietniowym numerze „Kultury”, a w którym autor obciąża mnie zarzutem zmarnowania Brygady Podhalańskiej po jej powrocie z Norwegii do Francji. Tym tłumaczy się opóźnienie, z jakim zwracam się do Pana z prośbą o umieszczenie mego listu na łamach Jego poczytnego miesięcznika.

Sprawa Brygady Podhalańskiej została zbadana i rozstrzygnięta osobliście przez śp. gen. Sikorskiego natychmiast po moim przybyciu do Anglii w końcu września 1940 r., czyli w cztery miesiące po wypadkach, kiedy były one jeszcze świeże w pamięci ludzkiej, a Naczelny Wódz miał już relacje wielu oficerów Brygady Podhalańskiej. Nie zostałem wówczas ani oddany pod sąd polowy, ani też nie przeniesiony w stan nieczynny, a jedyną konsekwencją służbową, wyciągniętą w stosunku do mnie, było odznaczenie mnie krzyżem Virtuti Militari czwartej klasy.

Trzeba mieć dużo naiwności, a raczej bardzo dużo złej woli, żeby uwierzyć, iż decyzję tę podyktowało „dobre serce” gen. Sikorskiego. Nie byłem nigdy „sikorzakiem”, nie wiązały mnie z generałem żadne wspomnienia legionowe lub stosunki przedwojenne, więc i z tego tytułu nie miał Naczelny Wódz powodów do pobłażliwości, szczególnie tak daleko posuniętej. Znał on natomiast dobrze prawa, rządzące mechaniką wojny, których p. Jeśman nie zna, oraz wiedział, że nie można kogoś czynić odpowiedzialnym za sprawę nie leżącą w sferze ludzkich możliwości. Nie znalazł on nie karygodnego z punktu widzenia wojennego, lub też sprzecznego z interesem Polski w moich ówczesnych decyzjach, postanowieniach i rozkazach. Jeśli

obecnie powracam do tej sprawy, to czynię to nie w celu usprawiedliwiania się, lecz żeby przypomnieć kilka faktów, skrzętnie przez p. Jeśmana pominiętych.

Zarzut, obecnie mi przez niego postawiony, został sformułowany w następujący sposób: „Dnia 14 czerwca, PO UPADKU Paryża, Brygada Podhalańska, powracająca z Norwegii, została wyładowana w Brest, wówczas kiedy nie było ani możliwości oporu przeciw Niemcom, ani nie istniała armia francuska jako siła walcząca. Istniała natomiast możliwość natychmiastowej ewakuacji do Wielkiej Brytanii w zwartych oddziałach. Zasiłanie się wyższymi rozkazami nie jest tłumaczeniem”.

Po trzynastu latach p. Jeśman zapomniał chronologii zdarzeń i jest widocznie pewien, że mało który z czytelników zachowa ją w pamięci, a że dla wielu innych sprawa ta jest w ogóle nieznana kartą dziejów, więc naciąganie faktów i rozminięcia z prawdą, ukryte za frazesami taniej, lecz pewnej siebie demagogii, nie rzucą się nikomu w oczy.

Dużymi literami akcentuje p. Jeśman słowa „PO UPADKU Paryża, pragnąc wywołać wrażenie, że był to fakt decydujący, po którym wojna nagle się skończyła, walki ustały, a sprawa ewakuacji do Anglii była prostą i łatwą. Natomiast przeźornie woli nie wspominać o tym, że trzy dni dzieliły upadek Paryża od zwrócenia się marszałka Pétain'a do Niemców o zawieszenie broni, a pięć dni od radiowego oznajmienia Churchilla o brytyjskiej decyzji prowadzenia wojny dalej. Ten właśnie okres czasu, niezwykle krótki, lecz znamienity tym, że zbiegał się z kryzysem bitwy o Francję, zdecydował o losie zarówno Brygady Podhalańskiej, jak i innych jednostek polskich.

W tych właśnie dniach francuska armia, o której p. Jeśman twierdzi, że już nie istniała „jako siła walcząca”, organizowała obronę na zachodzie, a w wschodniej części kraju prowadziła zacięte walki na linii Maginot'a i nad granicą szwajcarską.

Nie wie p. Jeśman o tym, że w tym właśnie czasie były się na froncie razem z Francuzami dwie nasze dywizje piechoty i część Brygady pancernej. Druga dywizja strzelców przekroczyła granicę szwajcarską dnia 18 czerwca, a pierwsza dywizja grenadierów była się do dnia 21 czerwca. Czy generałowie dowodzący tymi jednostkami powinni byli PO UPADKU Paryża zaprzestać wykonywania rozkazów swych francuskich dowódców, przerwać walkę i wycofać się do południowych lub zachodnich portów?

Kapitulacja Francji nastąpiła tak szybko i niespodziewanie, że nikt nie mógł ani jej przewidzieć, ani też odgadnąć. Po faktach każdy może łatwo mądrzyć się, lecz wówczas, w dniach krytycznych nawet Anglicy byli zaskoczeni. Przecież jeszcze 16 czerwca jedna z ich dywizji śpieszyła z południa na front, mozołnie przedzierając się pod prąd olbrzymiej fali uciekinierów cywilnych. Przecież dwa inne bataliony angielskie do 17 czerwca organizowały obronę na tym samym froncie bretońskim i w tym samym czasie, kiedy czyniła to Brygada Podhalańska.

Gen. Sikorski, który w powrotnej drodze z frontu po inspekcji obydwóch naszych walczących dywizji zatrzymał się w Vichy i z którym dnia 16 czerwca o północy rozmawiałem telefonicznie, dowiedział się o wszystkim dopiero nazajutrz z komunikatu radiowego, a dnia 18 czerwca wydał rozkaz radiowy do jednostek polskich nakazujący przebijanie się do południowej Francji, bo zagrożenie ewakuacji do Anglii jeszcze w tym czasie nie istniało. Powstało ono dopiero dnia 19 czerwca, ale w tym czasie Brygada Podhalańska, pozbawiona całkowicie środków transportowych, przedzierała się małymi oddziałkami w kierunku południowej Francji przez teren zajęty przez pancerne i motorowe jednostki niemieckie.

Należy uprzytomnić sobie, że od odcinka Brygady Podhalańskiej do Brest było 200 km. w linii powietrznej, a do Nantes 150 km. Najbliższy niewielki port St. Malo został dnia 17 czerwca po południu zdemolowany

przez Anglików. Nie było mowy o tym, żeby w terenie można było zdobyć środki transportowe. Okolica była gruntownie oczyszczona z pojazdów mechanicznych.

Nie wiem co miał na myśli p. Jeśman stwierdzając arbitralnie, że „zasłanianie się wyższymi rozkazami nie jest tłumaczeniem”, bo się żadnymi „wyższymi” rozkazami nie zasłaniałem. Jeśli mu chodzi o rozkaz dowódcy frontu bretońskiego skierujący Brygadę Podhalańską na odcinek obronny na płn. od Rennes, to wykonałem go, bo był wydany w czasie kiedy nie było jeszcze żadnych powodów uzasadniających lub usprawiedliwiających odmowę wykonania.

Był jeszcze jeden fakt, który zaważył niekorzystnie na ewakuacji jednostek polskich znajdujących się już w portach załadowczych. Była to sprawa żołnierzy, pochodzących z terenu Francji. Entuzjazm z jakim duża część społeczeństwa francuskiego przywitała rozejm i zakończenie wojny, wpłynął ujemnie na postawę moralną tych żołnierzy, a przecież stanowili oni ponad 75 % naszych stanów liczebnych. Żeby zapobiec masowym dezercjom i aktom łamania dyscypliny, wydał gen. Sikorski znany rozkaz, pozostawiający uznaniu delikwentów decyzję pozostania lub też wyjazdu do Anglii. W tych warunkach ewakuacja „w zwartych oddziałach” w ogóle była prawie niemożliwa.

Na zakończenie dodam, że do oceny zjawisk wojny, odtwarzania prawdy historycznej i ferowania wyroków konieczne jednak są nieco szersze horyzonty myślowe i głębsza wiedza, a „pewien balast intelektualny należałoby też złożyć”, bo obraz nakreślony przez p. Jeśmana w jego artykule uderza ignorancją, płytkością obserwacji i jednostronnością. Jest on ponadto przepełniony megalomanią i historyczną nienawiścią do każdego, kto nosi tytuł zawodowego wojskowego. Poziom ot, tak, pogadanki jakiegos polityka w prowincjonalnej świetlicy komsomolu.

Proszę przyjąć, Panie Redaktorze, wyrazy prawdziwego szacunku,

Z. BOHUSZ-SZYSZKO

Londyn, 15.VI.1953.



Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

W sprawie drobnego sprostowania.

Pan Czesław Miłosz w „Notatkach z lektury” („Kultura” Nr 5/67 z rb., str. 59), pisząc o książce Floriana Czarnyszewicza „Nadberezyńcy”, zauważył m.m., że „...dopiero po artykule Melchiora Wańkowicza (w „Kulturze”) zaczęto gdzienigdzie tę książkę czytać i doradzać jej przeczytanie w listach do przyjaciół”. Otóż :

- 1) powieść „Nadberezyńcy” ukazała się w roku 1942;
- 2) pierwsza recenzja tej książki pióra niżej podpisanego ukazała się w tygodniku „Lwów i Wilno” (Londyn) w maju i czerwcu 1949 roku (dwa artykuły);
- 3) drugą recenzję pióra p. Jędrzeja Giertycha umieścili „Wiadomości” (londyńskie) w tymże 1949-tym roku w parę miesięcy później (Nr 174);
- 4) Recenzję Melchiora Wańkowicza o książce „Nadberezyńcy” w artykule pt. „Poszerzenie polskości” ogłosiła „Kultura” dopiero w październiku 1953 roku (Nr 10/60), czyli w 3 lata po ukazaniu się pierwszej recenzji.

Melchior Wańkowicz odkrył w swoim czasie Sergiusza Piaseckiego, jak również poczynił wiele innych odkryć reportażywo-literackich. Nie wątpię jednak, że w sprawie „odkrycia” Floriana Czarnyszewicza ustąpi palmę pierw-

szeństwa niżej podpisanemu, który nadto pisał o „Nadberezyńcach” do pięciu czasopism polskich w Stanach Zjednoczonych i w Kanadzie.

Zauważę w końcu, że nazwisko autora „Nadberezyńcy” pisze się Czarnyszewicz, a nie Czernyszewicz.

Racz przyjąć, Panie Redaktorze, wyrazy głębokiego szacunku

M. K. PAWLIKOWSKI

Szanowny Panie Redaktorze,

Zgorszyła mnie recenzja p. Mariana Pankowskiego z ostatniego, 5/67, zeszytu „Kultury”. Panu Pankowskiemu wolno nie lubić poezji Wierzyńskiego. To jego prawo. Ale Wierzyński jest na tyle poważną postacią w naszej literaturze, że trzeba wymagać od krytyka, który się chce z jego poezją rozprawić, aby zabrał się do tego poważnie. A tymczasem recenzja jest utrzymana w toniku nonszalanckim, rozprawia się z Wierzyńskim króciutko, sumarycznie, pogwizdując, poklepując go protekcyjnie po ramieniu. A to już — trudno mi tu użyć innego słowa — nieprzychylności.

I jakież to kryteria i jaką orientację w poezji p. Pankowski reprezentuje w swojej krytyce? Pisze on: „Skamander, spełniwszy rolę rewolucyjną, korzystał przez pewien czas z przywilejów, jakie daje nowość. Poeci świadomi kunsztu słowa winni byli pójść dalej i wyodrębnić style osobiste”. Czyta się to i przeciera oczy. Jakże to? To Skamandryci nie mieli bardzo indywidualnych, osobistych stylów? Komu, posiadającemu choć odrobinkę zrozumienia dla poezji pomiesza się kiedykolwiek Lechoń z Pawlikowską czy Tuwim z Iłakowiczówną? Skamandryci byli szkołą poetycką w bardzo luźnym znaczeniu tego słowa. Zerwali z uroczystym słownictwem „poetyckim” Młodej Polski, wspaniale wzbogacili możliwości rytmiczne polszczyzny — i to na dobrą sprawę wszystko, co ich łączy. Ich siła, bogactwo, świeżość tkwią właśnie w tym, że — mówię o czołowych Skamandrytach — reprezentują oni tak wielki wachlarz różnych indywidualnych stylów. Aż wstyd, że trzeba o takim ABC mówić.

Pan Pankowski poświęca połowę swojej recenzji temu, co nazywa „pogonią za rzadkim rymem czy asonansem” u Wierzyńskiego. Twierdzi, że w tej „pogoni” Wierzyński czasem rozmija się z sensem. Mniejsza o to, czy jego przykłady są przekonujące, czy nie przypominają trochę tego niemieckiego pedanta, który znalazłszy w „Faustcie” „złote drzewo życia”, będące jednocześnie „zielonym” w przeciwieństwie do „szarej teorii”, wydziwiał, jak to co złote może być zielone. Jeśli jednak jego zarzuty mogą tu coś znaczyć, znaczą tyle, że Wierzyński w pogoni za bogatą instrumentacją dźwiękową swoich wierszy gubi czasem sens. A tymczasem p. Pankowski wysnuwa ze swoich wywodów taki wniosek: „Uderza nas fakt, jak mało uwagi poświęca Wierzyński słowu, dążąc przede wszystkim do wypowiedzenia wątku anegdotycznego”. Gdzie tu rym, gdzie Krym, gdzie karczna babilońska?

Pan Pankowski wypomina Wierzyńskiemu „posiwanie od pyłu lat rekwiizyty: Laura, Julietta, Ofelia”. Rekwiizyty te są naprawdę stare. Tym niemniej po dziś dzień posługują się nimi poeci. Ileż takich rekwiizytów jest u T.S. Eliota. A posługują się nimi dlatego, że są one wygodnymi skrótami, kondensacjami pojęciowo-emocjonalnymi. Oczywiście, akroty te będą grały tylko wtedy, gdy czytelnik posiada na tyle kultury literackiej, żeby te imiona miały dla niego jakąś wymowę, wywoływały pewne skojarzenia. I, oczywiście, wszystko zależy od tego, czy poeta, który się tymi

skrótami posługuje, potrafi je odkurzyć. Mnie się zdaje, że Wierzyński potrafił:

Czasem listonosz, mglisty pan Wesper,
Chodzący w płaszczu z ciem i mszyce,
Mówi mi: „Pan jest przecież poetą,
Co tam z Ofelią, Laurą, Juliettą,
Czemu nie piszą nic?”

Ale i o to mniejsza. Ważniejszą rzeczą jest, że zarzut ten jest tu postawiony nielojalnie, bo tego rodzaju rekwiizyty nie są dla tomu typowe. Można je w „Korcu maku” wyszperać, ale trzeba stwierdzić, że Wierzyński posługuje się nimi oszczędnie.

Wreszcie najhorendalniejszy zarzut: „Niestety, warsztat twórcy Wierzyńskiego nie uległ przebudowie”. Czy p. Pankowski naprawdę nie zauważył tego, co w „Korcu maku” jest rzeczą najbardziej imponującą, tego mianowicie, że poeta, który ma za sobą już bogaty dorobek, zdobył się tutaj na przełamanie starych nawyków, że poszukiwał nowych form wypowiedzi, że rytmika Wierzyńskiego jest tutaj inna, swobodniejsza niż w dawniejszych wierszach, liryzm bezpośredniejszy i bardziej ścisły? W nowszej literaturze polskiej znam tylko jeden przykład tak gruntownej przebudowy warsztatu: „Księgę ubogich”. Panu Pankowskiemu mogą się te nowe wiersze nie podobać, ale jak mógł nie zauważyć, że są one tak bardzo nowe!

Pan Pankowski jest młodym, początkującym poetą. Dla młodych poetów istnienie w poprzedzającym pokoleniu tradycji wielkiej poezji jest zawsze rzeczą groźną. Przytłacza. Utrudnia znalezienie siebie, swojej drogi twórczej, swojego stylu. Jest rzeczą aż nadto psychologicznie zrozumiałą, że młodzi poeci bronią się przeciwko wyzwaniu, rzuconemu przez wielką poezję ich poprzedników takimi wyzywająco-nonszalanckimi wypowiedziami. Zjawisko to jest stare jak świat. I dlatego można nawet na tę recenzję patrzeć z pobłażaniem jako na swoisty zabieg ochronny początkującego poety. Ale nie sposób jej traktować jako poważnego osądu krytycznego.

Wiktor WEINTRAUB
Cambridge, Mass.

Szanowny Panie Redaktorze,

Recenzja p. Jasieńczyka o „Błogosławionej Winie” Zofii Kossak („Kultura” 5/67) jest zabiegiem chirurgicznym będącym zdrową reakcją na leczenie przez okadzanie naszej twórczości emigracyjnej.

Natomiast aż dwukrotnie recenzent używa zwrotów dyskwalifikujących generalnie rangę pisarską Zofii Kossak. W stosunku do całego wieloletniego dorobku pisarki, która emigracji dała światowy best-seller o nakładzie 450.000 egz. rzucanie tego rodzaju twierdzenia bez należytego podbudowania sięga po kredyt jakiegoś nie moglibyśmy dać nawet recenzentom o najwyższym autorytecie.

Melchior K. WANKOWICZ
Glen Cove, L. Island, N.Y., USA

UNIVERSUM

kwartalnik poświęcony sprawom Polski i świata

OĞŁASZA PEŁNY TEKST BIULETYNOW PRASOWYCH
RUCHU TYSIĄCLECIA



Numer pierwszy (jesień 1953) ukazał się i jest do nabycia
w przedstawicielstwach :

ANGLIA : TAURUS (Publishers and distributors) Ltd. Black
Lion Lane, London W. 6. Prenumerata za komplet do końca 1954 r.
(6 num.) 7/6 sh., cena numeru 1/3. BELGIA : Janina Korab-
Brzozowska-Csaky, 62, rue Vanderkindere, Bruxelles (Uccle). Pre-
numerata do końca 1954 r. (6 numerów) 48 fr.b., cena numeru
8 fr.b. FRANCJA : Libella, 12, rue St.-Louis-en-l'Île, Paris IV,
CC 565 150. Prenumerata j.w. 360 fr.fr., cena numeru 60 fr.fr. NIEM-
CY : St. Mikiciuk, (13 b) Muenchen 54 Seehamerstr. 4, Baracke
16 B/2. Prenumerata j.w. 3,60 DM, cena numeru 0,60 DM. PORTU-
GALIA : A. Zieliński, Lisboa Central, Caixa postal Nr 110. Prenu-
merata j.w. 25 esc. SZWAJCARIA : Maria Wasung, 53, rue de
Lausanne, Geneve. Prenumerata j.w. fr.szw. 4,20. SZWECJA : Pol-
ski Komitet Pomocy, Jungfrugatan 30/II. Prenumerata j.w. 4,80
kor. WŁOCHY : W. Zahorski, Nazario Sauro 9. Roma. Prenume-
rata j.w. 600 lir. ARGENTYNA : Libreria Polacca, Avenida Lean-
dro N. Alem 641. Pren. j.w. 24 peso. BRAZYLIA : Z. Kietlińska,
Av. Batel 1514, Curitiba, Parana. Pren. j.w. 48 Cr. AUSTRALIA :
A. Syriatowicz, Lot E, Madeline str, Fairfield, N.S.W. Pren. j.w.
7/6 sh. KANADA : T. Sypniewski, 2670, Barclay Ave., apt. 2, Mon-
treal. Pren. j.w. 1,50 dol., cena numeru 25 ct. STANY ZJEDNO-
CZONE : J. Białasiewicz, Public Relations, 1165, Milwaukee Ave.,
Chicago 22, Ill. Pren. j.w. 1,50 dol., cena numeru 25 ct.

Tymczasowy adres redakcji :

Wojciech ZALESKI, 6, Bd Ornano — Paris 18^e

Wydawca : Edition et Librairie „LIBELLA”,
12, rue St.-Louis-en-l'Île, Paris-(IV^e).

Directeur-gérant : Mme Christiane Karasiewicz
Dépôt légal : 3^e trimestre 1953

KULTURA

REDAKTOR — JERZY GIEDROYC

Adres Redakcji: 1, Avenue Corneille, Maisons-Laffitte (S. et O.)
Telefon: Maisons Laffitte (S. et O.) 19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1-rocznia	Rocznia
AFRYKA POŁUDNIOWA: Janusz Kruszyński, 54, 15 th. St., Parkhurst, Johannesburg.	3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
ARGENTYNA: Tadeusz Dąbrowski, «Składnica Książki Polskiej», Av. Leandro N. Alem 641, Buenos Aires.	10 peso	60 peso	120 peso
AUSTRALIA: «Vistula» (Australia) PTY Ltd., 77, Pitt Street, Sydney.	5 sh. (a.)	£A.1.7.6.	£A.2.12.6.
BELGIA I KONGO BELG.: Janina Korab Brzo- zowska-Csaky, 62, Vandrekinder, Bruxelles- Uccle, Nr konta pocztowego 7315-20.	30 frb.	145 frb.	280 frb.
BRAZYLIA: Prenumeraty przyjmują: Julia Barcińska, r. Erasmo Braga 227 s. 214, Rio de Janeiro, oraz Zofia Kietlińska, Av. Batel 1514, Curitiba, Parana.	25 cruz.	150 cruz.	250 cruz.
FRANCJA: «Libella», 12, rue St.-Louis-en-l'Île, Paris-IV.	150 fr.	900 fr.	1.800 fr.
KANADA: Krystyna Krakowska, 2290 Av. Mar- cil, N.D. de G., Montreal/Que., Tel.: HU 8-5224; Stan. L. Lemański, 570 Aberdeen Ave., Winni- peg/Man.; H. R. Radomski, 107 Rose Park Drive, Toronto/Ont., Tel.: HY-0829; Stanisław Zybala, 1089 Queen St. W., Toronto/Ont.; «Zwiąsko- wlec» (Pol. Alliance Press, Ltd.), 700 Queen St. W., Toronto/Ont.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
MEKSYK: Victor Stanisławski, Apartado Postal 206, Culiacan, Sin.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
NIEMCY: «Ostatnie Wiadomości», 17a, Mann- heim-choenau, 4094 LSC Schoenau, U.S. Zone; St. Mikiciuk, Seehamer-Str. 4, Baracke 16B/2, München 54.	2,50 DM	13,50 DM	25 DM
SZWAJCARIA: Maria Wasung, 2, rue Thalberg, Geneve, Tel. 2-32-92.	2 fr. szw.	12 fr. szw.	22 fr. szw.
SZWECJA: Red. Norbert Żaba, Kallskärgatan 3/IV, Stockholm.	3 kr.	15 kr.	28 kr.
URUGUAY: Jerzy Pałuski, Calle Itu 2060, Montevideo-Melvin.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
U.S.A.: Józef Białasiewicz, 1165, Milwaukee Ave., Chicago 22, Ill.; W. Białkowski, «Gryf Publ.», 615, Henry St., Utica, N.Y.; L. Dudarew- Ossetyński, 28471 Ventura Blvd, Agoura, Cali- fornia; S. Dziarczykowski, 3216 W.—15 St., Los Angeles 19, California; M. K. Dziewanowski, 27 Aberdeen Ave., Cambridge, Mass.; Christian M. Kretowicz, 2109 Robinwood Ave., Toledo 2, Ohio; Andrzej Pleszczyński, P.O. Box 750, Santa Bar- bara, California; M. Syprowski, 11 Cooper Street, New York 34, N.Y.; Kazimierz Trojanowski, 8805 Neal St., Detroit 14, Michigan; S. Sokółowski, 4856 E. Stiles St Philadelphia 37 Pa.; Polish Ame- rican Book Center, 2300 Caniff St., Detroit 12, Mich. W. BRYTANIA: «Gryf» Publications Ltd., 169/ 171, Battersea Church Road, London, S.W.11.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
WŁOCHY: Ewa Wierusz-Kowska, Corso Tri- ste 130/5, Roma, tel. 859632.	3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
	250 lir	1.500 lir	2.500 lir

W krajach niewymienionych prenumeratę liczymy tak jak we Francji,
doliczając na koszty porta 180 frs półrocznie i 360 frs rocznie.
Koszta przesyłki pojedynczego numeru: 30 fr. fr.

Należność we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na
adres: Jerzy GIEDROYC, 1, Av. Corneille, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)

Cena ogłoszeń: cała strona 10.000 fr.; 1/2 strony 6.000 fr. fr.

“LIBELLA”

SKŁADNICA KSIĄŻKI POLSKIEJ

12, rue St-Louis-en-l'Île - Paris-4^e

Telephon DANton 51-09

poleca ostatnie wiadomości wydawnicze :

WŁADYSŁAW BEŁZA

DZIECI POLSKIE W DAWNYCH CZASACH

W oprawie. Z ilustracjami.

Cena fr. fr. 750

DANTE ALIGHIERI

BOSKA KOMEDIA

W oprawie

Cena fr. fr. 3.500

RYSZARD KIERSNOWSKI

ZA DRZWIAMI BEZ KLAMEK

Cena fr. fr. 300

WANDA MIŁASZEWSKA

B O G A C T W O

Cena fr. fr. 695

HERMINIA NAGLEROWA

SPRAWA JÓZEFA MOSTA

Cena fr. fr. 695

JERZY DOŁĘGA-KOWALEWSKI

ROZPRAWY POETYCKIE

Wydanie bibliofilskie Oficyny Poetów i Malarzy
z drzeworytami Stefana Barana

Cena fr. fr. 600

BRONISŁAW PRZYŁUSKI

STROFY O MALARSTWIE

Wydanie bibliofilskie Oficyny Stanisława Gliwy

Cena fr. fr. 500

Żądajcie bezpłatnych katalogów książek

oraz

POLSKICH PŁYT GRAMOFONOWYCH